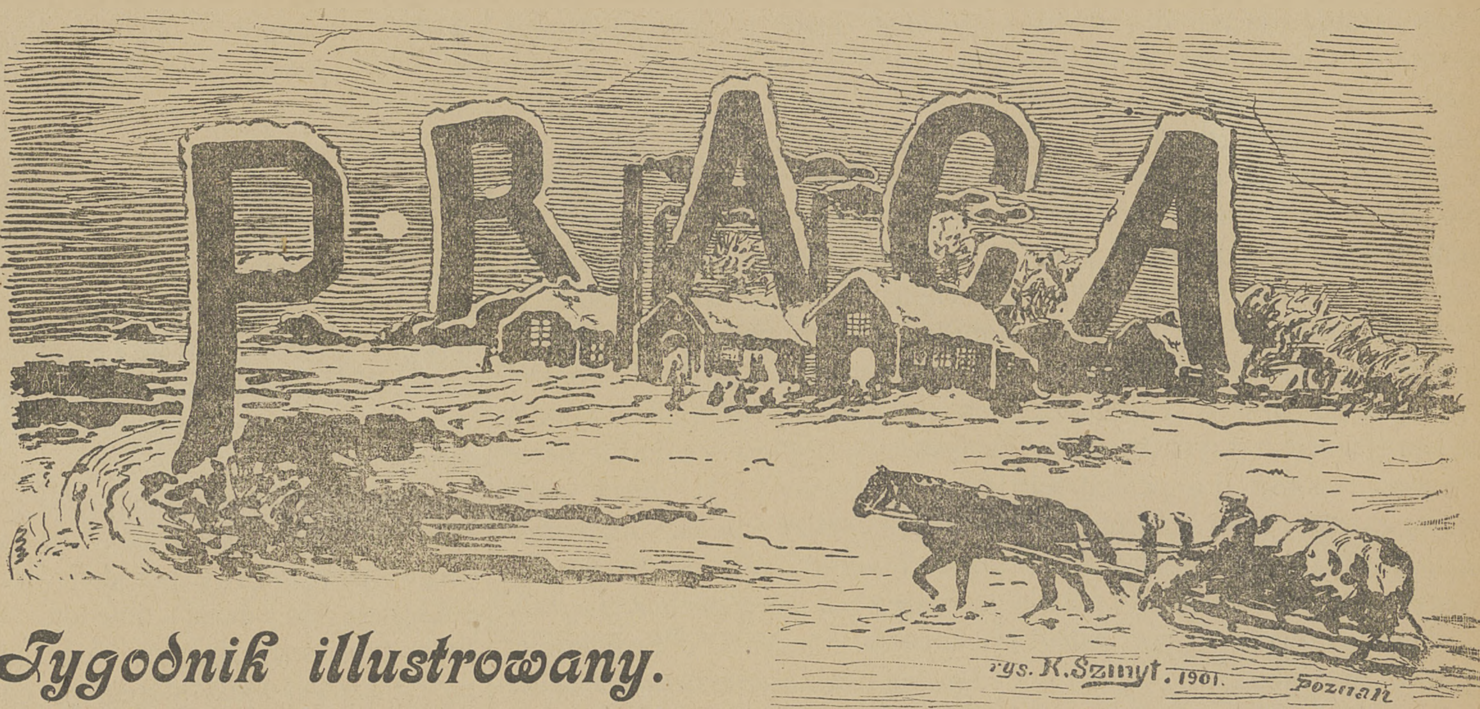
Nr. 10. Poznań, Niedziela 10-go Marca 1901 r. Rok V.



Tygodnik illustrowany.

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 mk.***; *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.***, *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.***, *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Konfiskata.

Ostatni numer tygodnika naszego w nakładzie blizko *14,000* egzemplarzy znajduje się w ręku policyi. W chwili, gdy pierwsza jego część znajdowała się już na poczcie do rozsyłki gotowa, zjawili się nagle w piątek, dnia 1-go bieżącego miesiąca, o godzinie pół do 2-ej z południa w lokalach wydawnictwa naszego przedstawiciele policyi z oświadczeniem, iż z rozkazu król. prokuratoryi kładą areszt na cały nakład i zobowiązani są nadto ścisłą zarządzić rewizyą. Jednocześnie inni funkcyonaryusze policyjni pospieszyli na pocztę i zabrali wszystkie egzemplarze pierwszej pocztowej wysyłki. Tłumy ludzi towarzyszyły przed pocztą główną i przed gmachem naszego wydawnictwa wykonaniu rozkazu prokuratora, przyglądając się z zadziwieniem, z jakich to przyczyn setki i tysiące zeszytów „Pracy“ sypały się do koszy a następnie na wóz, zatoczony przed bramę a strzeżony przez policyą.

Dziwiono się i pytano, co też to za groźne rzeczy wydrukowano w „Pracy“, iż władza tak spiesznie i tak nagle wkroczyła do lokalów wydawnictwa i zabierała wszystko co było w zapasie. Pytały się tłumy, pytali się też funkcyonaryusze, w redakcyi i administracyi „Pracy“ zatrudnieni, mając to przeświadczenie, że i ostatni numer naszego tygodnika nie zawierał niczego, coby z prawdą i sprawiedliwością, a więc też i z prawem było w rozterce. A jednak konfiskata nastąpiła i to rzekomo z powodu uwag nawiązanych do procesu żydka Loevego, skazanego w Chojnicach za krzywoprzysięstwo na 4-letnie więzienie w domu karnym. W toku procesu chodziło o dowód, że Loevy znał osobiście Wintera, czego się poprzednio wypierał pod przysięgą. W tym celu przesłuchiwano świadków, a w długim ich szeregu także agenta śledczego Magorrę. Tenże Magorra zeznał pomiędzy innemi, że kierujący śledztwem komisarz rozkazał mu jedynie stwierdzić, „z *którémi dziewczętami* złych obyczajów przestawał Winter“, „znajomości więc zamordowanego z Loevym nie dociekał i nic o niej nie wie“.

Zeznanie agenta Magorry nasunęło nam rozmaite uwagi krytyczne o pieczy władzy policyjnej a także władz szkolnych nad moralnością młodzieży. Do wyrażenia tych uwag skłaniał nas a nawet zniewalał *wzgląd na dobro publiczne, wzgląd na dobro młodzieży, wzgląd na zdrowie cielesne i moralne przyszłych pokoleń.*

Celem zaś wywodów było to, ażeby obie władze roztoczyły baczniejszą opiekę nad obyczajami dziatwy i dorastającej młodzieży i chroniły się od zarzutów ze strony ojców i matek, że źle czuwano nad wychowaniem ich potomstwa. Wszakże ważnym, bardzo ważnym jest postulat, ażeby pokolenia nasze nie zatracały cnót wyniesionych z domu, nie karłowaciały cieleśnie i duchowo, nie wypaczały się w charakterze?!

A cóż dziwnego, że w toku rozmyślań nad ważną kwestyą wychowania moralnego, przypomniały nam się liczne rewizye, zarządzane po mieszkaniach polskiej młodzieży, konfiskaty Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, Sienkiewiczów, konfiskaty dzieł szlachetnych i wielkich twórców nieskalanej myśli ludzkiej, chroniącej serca od upodlenia a wznoszącej ducha do wyżyn idea-

łów. Zdawało nam się, zdaje nam się dzisiaj i zdawać się nam będzie zawsze, iż tam, gdzie się zgnilizna moralna skrada łacno do duszy dziatwy i młodzieży, że tam, tam czujność zwierzchników się zaleca i jest świętym obowiązkiem; ale nie tam, gdzie ta dusza urabia się dodatnio, upiększa i uzacnia pod natchnieniem ludzkiego geniuszu, a odwraca się od tego, co pospolite i nikczemne! Nie zatruje też duszy młodzieży naszej wspólna nauka historyi ojczystej, ale ją uszlachetni, albowiem pamięć o czynach ojców i praojców, miłość do przeszłości ojczystej zawsze tylko uszlachetnić zdolna, a znaczyłoby upodlać serca młodociane, gdyby się chciało gwałtem zamykać przed niemi księgi dziejów ojczystych.

Zwróciliśmy też odnośnej władzy uwagę na to, czy niebyło by może lepiej szperać właśnie za tą młodzieżą, która książek Sienkiewicza, Kraszewskiego, Mickiewicza i t. d. nie czyta a nawet w danym razie z ramienia władzy dostarczać książek z przepięknej historyi polskiej i zachęcić młodzież do jak najpilniejszego czytania, gdyż młodzież czytająca podobne książki, nabiera powagi, nie zejdzie na pochyłą drogę, nie rzuci się w stek kału niemoralności, nie zatraci czystości duszy. Młodzież czytająca dzieła Mickiewicza, Sienkiewicza, Kraszewskiego i t. d. pozostanie zdrową na duszy i ciele, a więc nie utrudniać, lecz owszem zachęcać ją należy do pilnego czytania tych dzieł. —

Takie oto myśli wzbudził w nas przebieg procesu przeciwko krzywoprzysięscy Loevemu, takie pragnienia odezwały się w naszem wnętrzu, gdyśmy jednocześnie wspomnieli o rewizyach i konfiskatach dokonywanych wśród naszej młodzieży. Sądzimy, iż dobra intencya, przejawiająca się w artykule naszym, intencya, zastrzeżona nawet w ustawodawstwie niemieckiem słowami „*Wahrnehmung berechtigter Interessen*“, powinna była uchronić nas od wszelkich przykrości.

Tymczasem nietylko zabrano nam cały nakład „Pracy“, nietylko część form drukarskich i klisze, ale przetrząśnięto wszystkie ubikacye i obłożono aresztem wszelkie manuskrypty, prywatne listy i korespondencye handlowe, ażeby znaleść rękopisy artykułów zamieszczanych w „Pracy.“ Daremnemi są w oczach naszych zabiegi dla wyszperania autorstwa artykułów, myślą narodową i prawdą ludzką podyktowanych, a chybionem dociekanie, skąd te myśli i uczucia pochodzą. Druk — to widomy ich znak tylko! Źródłem ich zaś — jeśli to policyą i prokuratoryą ciekawi — źródłem ich każde serce szczerze polskie! *W głębi serca polskiego należy szukać autorstwa myśli i uczuć, które tu lub tam się wyrażają pod mniej lub więcej silnem wrażeniem krzywd doznawanych. A to autorstwo będzie zawsze i zaiste nigdy nie podlegnie żadnej konfiskacie!* *Redakcya „Pracy.“*

Obywatele — wyborcy!

W dniu 11 marca, w poniedziałek, mamy wszyscy dać dowód politycznej dojrzałości.

Poznań — jak niegdyś było — będzie wybierał swego posła bez walki stronniczej w łonie ogółu wyborców!

Dzień 11 marca powinien być dla naszego społeczeństwa świętem, prawdziwem świętem zgody i pojednania, wszyscy bowem, bez różnicy i antagonizmów stronniczych staniemy przy urnie wyborczej, aby jednogłośnie zadokumentować, że *solidaryzujemy się wszyscy pod sztandarem narodowym, pod sztandarem polskim!* Ogół wyborców poznańskich i kierujące nim miarodajne władze wyborcze rozpoznały, że wobec zaostrzenia się stosunków polsko-pruskich *nie wolno nam toczyć wewnętrznych walk w obliczu przeciwnika, który też solidarnie i bez różnicy stronnictw przeciw nam się szykuje.* Pokażmy mu zatem przy urnie wyborczej, że do tych samych rezultatów w liczbie oddanych głosów, do jakich przy poprzednich wyborach doprowadziliśmy przy gwałtownej agitacyi stronniczej, doprowadzić możemy i *doprowadzimy w imię wspólnego, narodowego, demokratycznego programu.*

Kandydata naszego już znamy wszyscy dostatecznie i nie potrzeba o nim się tu rozpisywać. Ten mandat poselski należy mu się słusznie jako dowód zaufania naszego społeczeństwa; należy mu się *jako przedstawicielowi zasad zgody i jedności narodawej na drodze postępu społecznego.*

Dzień 11 marca, przyszły poniedziałek, niechajże będzie dla naszego społeczeństwa pożądaną sposobnością do dania dowodu, że tu w tym starodawnym Poznaniu, na ratuszowej wieży którego po dziś dzień jeszcze orzeł polski świeci, — że *tu bije serce Wielkopolski, tu żywem tętnem drga rozbudzone poczucie narodowe i tu znajduje się zastęp obywateli światłych, patryotycznych, wykształconych politycznie.*

Wobec coraz dalej idących uroszczeń hakaty winniśmy wszyscy dać jej taką odprawę, aby się przekonała, że wbrew uciskowi, siła w nas potężnieje i wzrasta.

Nie za lat 50, jak przepowiada minister, ale *dziś powinien być Poznań tem, czem jest dla Czechów Praga — ogniskiem ruchu umysłowego, narodowego i politycznego.*

Z uczuciem dumy więc, że uniknęliśmy rozdwojenia we własnym obozie, pospieszajcie wszyscy, obywatele-wyborcy, do urny wyborczej.

Oddajcie wszyscy głos na jedynego kandydata Polaków, mecenasa Bernarda Chrzanowskiego z Poznania!

Niechże ani jeden głos polski się nie uroni! Idźmy do urny pod hasłem:

Jednością silni — dajmy dowód tej siły!

Nie pod sztandarem partyjnym, ale pod sztandarem ogólno narodowym czeka nas tu zwycięstwo!

W niepamięci pogrzebiemy smutne wybory poprzednie, gdy waść niezgody rozdarła ogół wyborców na dwa obozy! Niech z dniem 11-go marca na zawsze zniknie przedział

warstw i stanów różnica, niech wszyscy, ożywieni jedną tylko myślą narodową podążą, aby wspólnemi siłami zerwać palmę zwycięstwa. Dawny „dworus“ obok dawnego „ludowca“ niechaj ramię przy ramieniu spieszy do urny, w jednym szeregu, jako żołnierz jednej sprawy — narodowej.

A gdy damy w przyszły poniedziałek dowód naszej siły, naszej solidarności, naszego poczucia obowiązku, i palmę zwycięstwa silną dłonią zerwiemy, całe społeczeństwo polskie w uznaniu tego zawoła, jak niegdyś:

Cześć Poznaniowi! —

„*Praca*“.

Legenda.

Przed kilku tygodniami w kilku pismach niemieckich czytałem następującą wiadomość:

„*Zmarły król Władysław.* W powiecie Chełmińskim podczas pauzy zapytał w szkole mały uczniaczek Polak swego kolegę-Niemca: Jak się nazywa nasz król? Na to otrzymał od Niemca odpowiedź: „król i cesarz Wilhelm II.“ Tem się nie zadowolnił chłopczyna Polak i objaśnił Niemcowi: Wilhelm II to jest wasz *niemiecki król,* a nasz *król polski* nazywa się Władysław i obecnie już nie żyje.“

Ta mała anegdota, którą podawały jedno po drugiem pisma niemieckie, nie spostrzegając nawet całego uroku tej naiwnej, budzącej się w duszy dziecka, samowiedzy narodowej, zasługuje na to, aby ją rozpowszechnić w setkach tysięcy egzemplarzy. — Opowieść o dziecku polskiem, które nie chciało wierzyć, że królem polskim może być niemiecki cesarz, któremu na imię Wilhelm, jak czysta, niepokalana brudnem tchnieniem życia perła świeci wśród wszystkich tych objawów żywotności ducha polskiego, na jakie zdobył się ten duch w ostatnich czasach.

Ten mały chłopczyna, wierzący święcie w to, że i my — Polacy — mamy naszego króla, tak jak inne narody swych królów mają, jest symbolem samorodnej siły ducha tkwiącej w naszych duszach od dziecka polskości, która nie chce i nie może się pogodzić z rzeczywistością, a choć wieki przechodzą nad jej głową, ona wciąż odradza się wiecznie młoda, wiecznie świeża, niespożyta, niezwalczona — jak wiosna, którą napróżno chcą okuć w kajdany lodu i śniegu.

Ten chłopczyna wierzący w swego króla Władysława, króla polskiego, jest dowodem tego, że natura sama sprzeciwia się i protestuje z żywiołową siłą przeciwko temu, abyśmy mogli być lojalnymi i wiernymi Niemcami, mówiącymi po polsku....

Dziecięca dusza już łaknie tego symbolu odrębności narodowej, tego „króla polskiego“, i wyobraźnia stwarza mu postać Władysława, może Jagiełły, a może Warneńczyka, co bohaterską śmiercią legł na polach Bałkanu, a dziecięca logika, co powiada z nieprzepartą siłą, że jeśli Niemcy mają swego Wilhelma II, króla i cesarza, to i my, Polacy, też mieć musimy swego, — ta logika zapewne każe dziecku wierzyć w to, że ten umarły król-bohater Władysław, co koroną królów polskich skroń swoją zdobi, obudzi się kiedyś ze snu wiekowego i przyjdzie nam powiedzieć: Otóż jestem między tobą, uciśniony mój ludu polski!

Czy chłopczyna dał się w istocie przekonać, że my, Polacy, nie mamy żadnego króla, — że jesteśmy poddanymi bez ojczyzny i że król Władysław nieotrząśnie się ze snu swego i nie przyjdzie w koronie i purpurze? — Nie wiem.

Ale czuję, że te słowa, które owemu chłopczynie dyktowała dziecięca wiara, powinny być balsamem ukojenia dla tych, co sądzą, że ziemia nasza stanie się kiedyś „ziemią mogił i krzyżów;“ te słowa wlać powinny nową nadzieję w serca walczących o prawa swego ludu, bo one dowodzą, że jak około uschłego pnia wije się i wspina ku górze bujna latorośl, tak i w naszem społeczeństwie zieleni się u samych podstaw gałązka nadziei.

A wy, politycy pruscy — co każdego dnia gotowiście skalać swą godność człowieczą cynicznem wyznaniem, że nas zgnieść chcecie i musicie, — cóż wy powiecie wobec tego, że w młodych sercach pod działaniem ucisku powstaje niezwykła, dziwna, cudowna wyobraźnia — król polski Władysław? Cóż powiecie, gdyby wam taki chłopczyna, jeden i dziesiąty, wyznał, że kocha tylko tego *naszego* króla polskiego Władysława. Ten król Władysław w purpurze królewskiej, z berłem Jagiellonów, ze szczerbcem starodawnym i koroną królów polskich stoi u wezgłowia naszych chłopiąt, gdy w półśnie mrużą się ich oczy do spoczynku nocnego. On stoi żywo w ich wyobraźni, on ich ściska serdecznie za głowę i pocałunek uroczysty na czole im składa, gdy który, zaledwie się nauczywszy czytać, uczy się historyi ojczystej. Ten król polski, którego rezydencyą dziś są niewinne serca dziecięce, czuwa nad polskością młodego pokolenia. On szepce dzieciom do ucha, że nasza Ojczyzna jeszcze nie zginęła, on się nie lęka waszych rewizyi, aresztowań i wydalań...

Spróbójcie go wyprzeć z jego królestwa królowie Europy! On lepszy ma tron od waszego: jemu nic nie grozi, jego setki matek nie oskarżają o śmierć synów. On żyje wciąż i odmładza się — *król polski!*

Vester.

Polacy w Westfalii i Nadrenii.

Powiaty, w których w znaczniejszej liczbie mieszkają Polacy (przeważnie górnicy z rodzinami) są w Westfalii następujące:

Dortmund	40	tysięcy Pol.
Recklinghausen	32½	„ „
Bochum	30	„ „
Essen	30	„ „
Gelsenkirchen	20½	„ „
Mülheim	5	„ „
Ruhrort	3,350	Polaków
Hattingen	3,000	„
Hörde	3,000	„
Hamm	2,500	„
Hagen	250	„

Odpowiednio też do liczb powyższych rozdziela się po powiatach ilość miejscowości zamieszkałych przez Polaków.

Oto szczegółowy przegląd tych miejscowości:

Powiat dortmundzki zatrudnia w przemyśle górniczym przeszło 25% Polaków z ogólnej liczby górników. Nie mówiąc o Dortmundzie samym, jako o miejscowości, zasługującej na osobną obszerną wzmiankę, wymieniamy *Altenderne*. Jest to miejscowość, w której przebywa do 800 głów ludności polskiej. Górników-Polaków jest 350. Jest to siedziba polskiego towarzystwa św. Marcina.

W pobliżu leży osada *Klöterheide*, (500 głów ludu pol.) również posiadająca towarzystwo polskie św. Barbary.

W przeciwległym kierunku, ku Dortmundowi, spotykamy zaludnione w znacznej części przez Polaków miejscowości: Ewing, które liczy przeszło 600 głów ludności polskiej i posiada dwa towarzystwa: Towarzystwo św. Barbary i towarzystwo św. Józefa, założone w roku 1894, liczące około 80 członków i posiadające bibliotekę. Górników Polaków podaje statystyka urzędowa 270. — Dalej — *Kirchlinde*, gdzie przebywa do tysiąca głów ludności polskiej i gdzie są również dwa towarzystwa, mianowicie towarzystwo św. Wojciecha, mające przeszło 70 członków, bibliotekę, oraz towarzystwo Postęp. Statystyka urzędodowa podaje liczbę Polaków górników na 370.

Sąsiednią miejscowością jest *Huckarde* (750 głów ludn. pol. — 300 górn. pol.) z towarzystwem św. Józefa, założonem w 1898 roku.

Idąc dalej na Zachód, napotykamy Lütgendortmund i *Marten* z pokaźną liczbą ludności polskiej (do 1500 głów). Samych górników Polaków wykazuje urząd górniczy 640. Tutajsze towarzystwo polskie św. Piotra i Pawła ma znaczną liczbę członków i jest dość ruchliwe. Ono się zajęło zebraniem funduszu na zakupienie do kościoła w Marten okna z malowanym na szkle wielkim obrazem M. B. Częstochowskiej z polskim napisem.

W dość znacznej odległości od Marten leży *Kottenburg* z przeszło tysiącem ludności polskiej i towarzystwem św. Alojzego, które liczy 170 członków, a zostało założone w 1895 roku. Jest to towarzystwo bardzo dzielnie prowadzone i ruchliwe. (Jako jedno z pierwszych odesłało kwestyonaryusz. Red.) Szkoda tylko, że ma bardzo maleńką bibliotekę. Jest tu jeden kupiec Polak. Prawie wszyscy tutajsi Polacy pochodzą z Księstwa Poznańskiego i to ze wsi. Znaczna część ich przebywa dłużej, niż od pięciu lat, na miejscu. Przychodzą następujące gazety: „*Praca*“, „*Wielkopolanin*“ „*Wiarus*,“

W bespośredniem sąsiedztwie z Kottenbergiem leży *Kastrop* (Alt Castrop). Jest to jedna z największych kolonii polskich w Westfalii i liczy do 5 tysięcy polskiej ludności. Górników jest do 600. Istnieją trzy towarzystwa polskie, mianowicie św. Wawrzyńca, założone w 1887 roku i liczące około 150 członków, towarzystwo śpiewu „Halka“ i „Bractwo różańcowe niewiast polskich.“

W *Rauxel* mieszka około dwa tysiące polskiej ludności. Jest 530 górników i parę set hutników Polaków. Towarzystwo św. Szczepana, odbywające posiedzenia w sąsiedniem Habinghorst, liczy dziś przeszło 100 członków a zostało założone w r. 1892. Towarzystwu temu należy się wielka publiczna pochwała za to, że członkowie abonują bardzo dużo pism polskich.

Więcej niż połowa wychodźców pochodzi z Księstwa Poznańskiego.

Co miesiąc przyjeżdża ksiądz mówiący po polsku i odprawia popołudniowe nabożeństwo z przemową polską.

Wspomniane powyżej *Habinghorst* jest osadą, która liczy około 800 głów ludności polskiej i posiada towarzystwo polskie św. Antoniego (90 członków). Abonuje „Pracę“, „Wiarusa“, „Orędownik“ i „Postęp.“

Zebrawszy powyżej wyszczególnione miejscowości otrzymujemy około 25 tysięcy ludności polskiej; ponieważ jednak na podstawie wykazów górniczych liczba ta powinna wynosić przynajmniej 40 tysięcy, zatem na inne miejscowości powiatu Dortmundzkiego, nie wyszczególnione powyżej, jako nieposiadające towarzystw, przypada liczba 15 tysięcy.

Przejdźmy do sąsiedniego powiatu — Recklinghausen. Jest to powiat, który niemniej jak poprzedni, daje zatrudnienie tysiącom Polaków. W kopalniach Polacy stanowią około połowy wszystkich zatrudnionych robotników.

Największym koloniom polskim w Bruch, Bottrop i Buer poświęcimy osobne obszerne wzmianki.

Co do liczby ludności polskiej na pierwszem miejscu stoi gmina *Recklinghausen*. Wykazy urzędu górniczego podają liczbę Polaków górników — 3045, co każe wnosić, iż ogółem ludność polska w Recklinghausen przenosi 7 tysięcy. Istnieje tu znaczne towarzystwo polskie „pod opieką serca Jezusowego.“ (Dlaczego nie odesłało jeszcze formularza? ani też wogóle nikt nie napisał korespondencyi do nas? Red.) Najbliższa okolica obfituje w miejscowości, zaludnione polskim ludem. W takiem np. Hochlarmark, gdzie niema nawet towarzystwa polskiego, pracuje 580 górników Polaków, a liczba ludności polskiej przenosi tysiąc.

Najbliższą miejscowością okręgu Recklinghausen, który posiada towarzystwo polskie jest *Herten*, gdzie przebywa 1260 górników polskich. Towarzystwo nosi nazwę św. Barbary. (Jest też podobno towarzystwo św. Józefa, ale poczta zwróciła nam listy adresowane do tego towarzystwa, z dopiskiem: nie istnieje. Prosimy Czytelników o wyjaśnienie tego. Redakcya).

W sąsiednim *Buer* pracuje blizko 2 tysiące Polaków-górników. Towarzystwo polskie nosi nazwę Towarzystwo pod opieką św. Franciszka z Assyżu. W Buer w kopalniach pracuje półtora tysiąca polskich Mazurów, ewangielickiego wyznania.

W *Gladbach* mieszka przeszło 800 ludności polskiej i istnieje Towarzystwo św. Wojciecha. Górników polskich jest 374.

W *Horst* n. Ruhrą znajduje się przeszło 600 ludności polskiej. Towarzystwo św. Piotra liczy do 70 członków, założone w r. 1885, ma charakter religijnego stowarzyszenia. Polacy pracują nietylko w kopalniach, ale i w hutach żelaznych. Jest jeden kupiec Polak.

W *Osterfeld* znajdujemy 386 górników Polaków i dwa towarzystwa polskie, mianowicie „Towarzystwo św. Józefa“, liczące do 150 członków i posiadające własną bibliotekę (68 tomów) oraz Koło śpiewaków „Gwiazda Jedności.“

W znacznej odległości od wymienionych powyżej miejscowości i od zgęszczonej masy polskich kolonii znajduje się miejscowość *Erle-Middelich*. Istnieje tam „Towarzystwo św. Józefa.“ Ludność polską szacować można na 500 głów.

Z zestawienia liczb ludności powyższych miejscowości przekonujemy się, że liczba ogólna dosięga 30 tysięcy. Ponieważ podług wykazów urzędowych winno być $32\frac{1}{2}$ tysiąca, więc zaledwie $2\frac{1}{2}$ tysiąca przypada na Polaków zamieszkałych w miejscowościach, gdzie niema towarzystw.

Znamy już jedną taką miejscowość (wspomnianą powyżej: Hochlarmark) która sama liczy do tysiąca ludności polskiej.

Gdy zważymy, że powiat Recklinghausen obszarem swym przynajmniej w czwórnasób przewyższa powiat Dortmundzki, odrazu się nam rzuci w oczy, jako charakterystyczna cecha powiatu dortmundzkiego: znaczna ilość kolonii drobnych rozsianych po całej przestrzeni, — powiatu zaś Recklinghausen: kilka bardzo silnych liczebnie osad, pomiędzy niemi zaś znaczne obszary bez ludności polskiej.

Następny powiat, powiat *Bochumski* ma znowu zbliżony charakter do Dortmundzkiego i na niewielkiej przestrzeni wykazuje znaczny szereg mniejszych

i większych osad. Do największych zaliczyć należy same *Bochum, Herne, Hamme, Altenbochum, Horsthausen* i *Langendreer*.

Pomiędzy powiatem Dortmundzkim a Recklinghauseńskim we wschodniej części powiatu leży osada *Bladenhorst*, z tysiącem górników polskich i dwoma towarzystwami: „Towarzystwem św. Stefana“ i kółkiem śpiewu „Fiołek“. Pierwsze liczy przeszło 100 członków, drugie — 30, założone bowiem zostało dopiero 1900 r. Ludność polską wogóle szacować można na 2 tysiące. Większa część pochodzi z Poznańskiego. — Jest kilku kupców Polaków.

W *Solingen* i *Börnig*, dwóch osadach, stanowiących dziś jedną całość a sąsiadujących z jednej strony z Herne, a z drugiej z Horsthausen, mieszka około 1200 ludności polskiej. Istnieje też towarzystwo św. Jakóba.

W *Hofstede* i *Riemke* mieszka 400 górników Polaków i istnieje towarzystwo polskie św. Franciszka serafickiego, założone r. 1891 i liczące około 100 członków. Biblioteka ma do 200 tomów. Liczba ludności polskiej wynosi ogółem około 1,000 głów.

W bezpośredniem sąsiedztwie znajduje się osada *Grumme* z towarzystwem św. Stanisława, (które, czy istnieje jeszcze, nie wiadomo, bo na listy nie odpowiada. Red.) Polskiej ludności jest ze trzysta głów.

W *Gerthe* znajduje się do tysiąca głów ludności polskiej. Górników Polaków jest 475. Istnieje towarzystwo św. Jadwigi, liczące około 60 członków. Towarzystwo abonuje tylko *Wiarusa* i ma bibliotekę złożoną ze 149 tomów.

W *Weitmar* znajdujemy do 500 dusz polskich i towarzystwo św. Aloizego z 60 członkami i biblioteką (144 tomy).

W *Wiemelhausen* przebywa około 1200 ludności polskiej, a liczba górników Polaków dochodzi do 560. Jest towarzystwo Błog. Bronisławy, mające 110 członków. Zebrania odbywają się, nie jak powszechnie co dwa tygodnie, lecz trzy razy w miesiącu, za co zasługuje towarzystwo na szczególniejszą pochwałę. (Towarzystwo z największą skrupulatnością formularz swój wypełniło. Red.) Biblioteka liczy 240 książek.

W *Witten* istnieją rzekomo dwa towarzystwa, mianowicie św. Jana Ewang. i św. Józefa. Nic o nich bliżej nie wiadomo. Ludność polska wynosi mało co ponad 200 głów. Górników Polaków jest 95-ciu.

W *Annen* jest dzielnie prowadzone towarzystwo św. Barbary, mające 50 członków i bibliotekę. Górników polskich jest 200, ludności polskiej wogóle 500 głów. Oprócz górników są także robotnicy w fabrykach i hutach żelaznych.

Ogółem w powiecie bochumskim ludność polska wynosi 30 tysięcy, a że powyżej wymienione miejscowości wykazują około 22 tysięcy Polaków, zatem blizko 8 tysięcy znajduje się rozrzuconych po całym obszarze powiatu, w miejscowościach, nie mających towarzystw polskich.

Powiat *Essen* przedstawia pod względem ruchu przemysłowo-górniczego dwie zupełnie odrębne części. Część bardzo ożywiona przemysłowo i posiadająca największy ruch w górnictwie podzielona jest na trzy rewiry górnicze (West-Ost i Süd Essen), część zaś powiatu o małym ruchu przemysłowym wcielono do rewiru górniczego Werden. Mówiąc tedy o powiecie Essen, omawiać będziemy właściwie tylko połowę powiatu, stanowiąca wymienione trzy okręgi górnicze. Wśród górników jest 40% Polaków.

O samem Essen, Borbeck i Dellwig — już pisano w „Pracy.“ Pozostaje jeszcze: Stoppenberg, Rotthausen, Katernberg, Altenessen i Kray b. Essen.

Stoppenberg liczy około 800 głów ludności polskiej i posiada towarzystwo św. Wojciecha. Górników Polaków jest 367.

Rotthausen liczy około 1,500 głów ludności polskiej (w tem 750 górników) i ma dwa towarzystwa polskie: „Towarzystwo św. Augustyna“ i „Koło śpiewu Harmonia“.

W *Katernbergu* jest do 4-ch tysięcy polskiej ludności i istnieją też dwa towarzystwa: „Tow. św. Stanisława Kostki“, mające 160 członków, oraz Koło śpiewu „Wanda“. Górników Polaków liczy urząd górniczy 1645.

W *Altenessen* liczba ludności polskiej wynosi około 1500, a górników jest 706. Istnieje towarzystwo św. Jana Chrzciciela, mające 160 członków.

W *Kray*, pod Essen, założono w roku 1899 towarzystwo św. Marcina. Ludności polskiej jest do tysiąca głów, — górników 460.

Przechodzimy do następnego powiatu — *Mülheim* (należy odróżnić od Mühlheim n. Renem).

W powiecie tym mieszka stosunkowo nieznaczna liczba Polaków, która jednakowoż dochodzi do 20% Polaków w stosunku do górników Niemców. Powiat sam niewielki, więc i miejscowości, gdzie mieszkają Polacy w większej liczbie, nie jest wiele.

Na pierwszem miejscu należy postawić miasto *Oberhausen*, w którem liczba osiadłych Polaków wynosi blizko cztery tysiące. Górników polskich jest podług wykazu 1110, coby odpowiadało najwyżej 3 tysiącom ludności; być może więc, że liczba podawana przez korespondentów naszych jest nieco przesadzona. Zresztą nie wszyscy Polacy pracują w kopalni węgla. Część pewna znalazła zatrudnienie w hutach, jest też kilku kupców, pewna liczba rzemieślników i robotników.

Jest pięć towarzystw. Najlepiej rozwija się Towarzystwo św. Barbary, założone w r. 1897 i mające obecnie blizko 250 członków. Obok tego istnieje Towarzystwo św. Ignacego, oraz „Sokół“, Koło śpiewu „Lira“ i Koło śpiewu „Mickiewicz“. Do Oberhausen przychodzi znaczna liczba pism polskich, mianowicie „Przewodnika Katolickiego“ (30 egzempl.) „Pracy“ (55 egz.) i „Wiarusa“ (22 egz.) i kilku innych. Obecnie szczególniej „Goniec Wielkopolski“, „Wielkopolanin“ i „Praca“ zaczynają tu być poczytne.

Co do opieki duchownej — to słychać tu, jak i wszędzie, gorzkie skargi, gdyż tylko zrzadka i to po południu w niedzielę przybywa zakonnik-Niemiec, aby wypowiedzieć kazanie polskie.

W Mülheim ludność polska wynosi najwyżej 400 głów. Istnieje towarzystwo polskie „Skała“ (wiadomość powyższą podają niemieckie źródła — wiarogodność jej nie jest sprawdzona). Statystyka urzędowa podaje 235 górników Polaków.

W Altendorf liczba ludności polskiej dochodzi do 800. Urząd górniczy notuje 410 górników Polaków. Istnieje towarzystwo św. Antoniego.

W Altstaden istnieją trzy towarzystwa, a mianowicie: św. Jerzego (75 członków) św. Józefa, św. Piotra i Pawła i Koło śpiewu „Kościuszko“ (18 członków), założone w 1899 r. Ludność polska wynosi około 500 głów. Urząd górniczy notuje 312 górników Polaków.

Podług statystyki opartej na rządowych źródłach, liczba Polaków w całym powiecie Mülheim wynosi 5 tysięcy. — Liczby powyższe z cyfrą tą się zgadzają.

Z powiatem Mülheim sąsiaduje powiat *Ruhrort*, w którym liczba Polaków górników w stosunku do Niemców trzyma się na wysokości podanej dla powiatu Mülheim. Są tylko trzy miejscowości, w których w znaczniejszej liczbie mieszkają Polacy, a mianowicie: Laar, Meiderich i Hamborn. W tych trzech miejscowościach tylko istnieją towarzystwa polskie.

W Laar mieszka około tysiąc Polaków, z których część tylko pracuje w kopalni węgla, większość zaś w żelaznych hutach, oraz w przedsiębiorstwach handlowych i składach drzewa. Towarzystwo św. Antoniego liczy 148 członków. Wychodźcy pochodzą po większej części z Poznańskiego. Jest bardzo dużo osiadłych oddawna rodzin polskich.

W Meiderich mieszka około 300 głów ludności polskiej. Towarzystwo św. Jana chrzciciela liczy 25 członków. Urząd górniczy wykazuje 125 górników Polaków.

W Hamborn jest przeszło 1800 polskiej ludności. Istnieją dwa towarzystwa

polskie, mianowicie św. Barbary i „koło śpiewu Jedność“ (30 członków).

Górników-Polaków jest 784.

Statystyka Polaków w powiatach oznacza liczbę Polaków w powiecie Ruhrort na 3500. Około 400 zatem mieszka po rozmaitych innych miejscowościach.

Powiat Gelsenkirchen, względnie do swego niewielkiego obszaru, daje przytułek wielkiej liczbie naszych wychodźców. Nie mniej jak 15 liczy miejscowości, w których tak znaczna liczba Polaków przebywa, że mają swe towarzystwa.

Na czele tych miejscowości postawić należy miasto *Gelsenkirchen*, gdzie przebywa blisko 2 tysiące Polaków, a drugie tyle w sąsiadujących z niem osadach Hessler, Eppendorf, Westenfeld i innych.

W Gelsenkirchen istnieje jedno ze starszych w Westfalii towarzystw, Towarzystwo św. Barbary, założone w r. 1882. Istnieje też towarzystwo św. Floryana, oraz koło śpiewaków polskich „Lutnia“.

W Wanne mieszka blisko dwa tysiące ludności polskiej i trzy towarzystwa polskie: św. Józefa, założone 1898 r., ma 180 członków; dalej — Towarzystwo św. Walentego i koło śpiewaków „Harfa“. założone w r. 1895, liczy 130 członków.

W Bickern, gdzie istnieje towarzystwo św. Walentego (150 członków) mieszka do trzech tysięcy Polaków. Wykaz górniczy oznacza liczbę pracujących w kopalniach Polaków na 1980.

W Schalke mieszka do dwóch tysięcy polskiej ludności. Górników Polaków jest 1064. Istnieją dwa towarzystwa: św. Stanisława, (87 czł.,) oraz św. Barbary, które prawie wyłącznie składa się z górników.

W Röhlinghausen można znaleść prawie trzy tysiące Polaków. Górników polskich notuje urząd górniczy 1625. Istnieją dwa towarzystwa: św. Wojciecha (126 czł.) i św. Józefa.

Baukan należy również do znaczniejszych kolonii polskich. Liczba przebywającej tu ludności polskiej dochodzi do 2-ch tysięcy, górników Polaków jest 1100. Są następujące towarzystwa: św. Józefa, św. Izydora, św. Kazimierza (209 czł.) i św. Wojciecha (34 czł.), założone w 1898 roku. Jest wreszcie towarzystwo „Jedność“, którego charakterystyczną cechą jest, że składa się wyłącznie z emigrantów, pochodzących z tej samej miejscowości, mianowicie z Powidza w Ks. Poznańskiem. Dziś liczy ono 48 członków.

W Braubauerschaft liczba polskiej ludności wynosi dwa tysiące. Górników Polaków jest 960. Są trzy towarzystwa: św. Jacka (150 czł.) św. Szczepana i kółko śpiewackie „Gwiazda Jedności“ (24 czł.) *W Bulmke* jest z tysiąc Polaków. Górników polskich — 550. Towarzystwo św. Czesława liczy 36 członków. Mało!

W Höntrop przebywa 500 ludności polskiej. Górników — 240. Są dwa towarzystwa: św. Wojciecha i koło śpiewu „Ujejski“.

W Hüllen jest około 500 głów ludności polskiej. Towarzystwo polskie św. Jana Ewangelisty liczy 108 członków.

Eickel jest jedną z większych kolonii polskich w powiecie Gelsenkirchen. Ludność polska liczy przeszło 2000 głów. Górników polskich jest 1175. Towarzystwo św. Pawła liczy 115 członków.

W Günnigfeld jest około 400 Polaków. Górników polskich — 203. Są dwa towarzystwa, mianowicie św. Idziego i św. Izydora.

Osady *Preisenbruch i Steele* należą do mniejszych i liczą niewiele ludności polskiej. Liczbę jej ocenić można najwyżej na 400 głów. W Preisenbruchu istnieje towarzystwo św. Piotra i koło śpiewaków „Dzwon“ (w Steele) górników polskich jest 127.

Neckendorf należy do większych osad w powiecie Gelsenkircheńskim. Ludność polską szacować można na 2000 głów. Górników Polaków jest 1160.

Są trzy towarzystwa. Towarzystwo św. Jana Chrzciciela (144 czł. z biblioteki korzystało tylko 25 członków!! Dlaczego tak mało?) towarzystwo św. Antoniego (95 członków.) i koło śpiewaków „Sokół.“

W Wattenscheid liczba ludności polskiej wynosi przynajmniej półtrzecia tysiąca. Górników Polaków jest 1494. Są trzy towarzystwa, dwa męskie i jedno kobiece: Towarzystwo św. Józefa (228 czł.) koło śpiewaków polskich „Harmonia“ (założone w r. 1895, a liczące dziś 48 czł.) oraz Bractwo Różańcowe Polek.

Powiat *Hattingen* liczy tylko dwie miejscowości ze znaczniejszą liczbą polskiej ludności. A temi są:

Linden, gdzie przebywa do tysiąca Polaków. Górników jest co prawda tylko 70, ale Polacy też i w innych gałęziach przemysłu pracują, mianowicie przy fabrykacyi sztucznego kamienia. Towarzystwo św. Wacława, założone w 1892 r., liczy przeszło 100 członków. W *Welper* jest z 500 Polaków. Towarzystwo św. Stanisława liczy bardzo niewiele członków.

W powiecie Hattingen jest oprócz tych dwóch — cały szereg innych, drobniejszych miejscowości, gdzie się znajdują Polacy; a więc — Buchholz, Stiepel, Eiberg, Freisenberg.

W powiecie *Hörde* pracuje stosunkowo bardzo mało Polaków. Procent polskich górników do ogólnej liczby wynosi zaledwie 10%. Są tylko cztery miejscowości ważniejsze z powodu towarzystw polskich i większej liczby Polaków, a mianowicie: Hörde, Aplerbeck, Barop i Hombruch.

W *Hörde* jest około 1000 głów ludności polskiej. Towarzystwo polskie św. Walentego liczy 101 członków. W okolicy są drobne miejscowości, w których mieszkają Polacy po kilku dziesięciu i więcej: Holzwickede, Soelde, Schüren, Halheney, Kirchhörde, Nienglinghausen i t. d. Razem liczyć można te drobne miejscowości na 1500 głów.

W *Aplerbeck* jest do 500 głów ludności polskiej. Górników 40. Inni pracują w hutach żelaznych i przy kolejach. Prawie wszyscy pochodzą z Poznańskiego. Towarzystwo św. Barbary założone w r. 1897 liczy 35 członków.

W *Hombruch*, gdzie istnieje towarzystwo św. Jana, liczba ludności polskiej nie przenosi 250 głów.

W *Barop* jest z 500 Polaków. W miejscowem towarzystwie św. Jana Nepomucena jest 111 członków. Górników-Polaków notuje urząd górniczy 250.

W powiecie *Hamm* znajdujemy tylko dwie miejscowości, godne wzmianki ze względu na znaczniejszą liczbę mieszkających tam Polaków: mianowicie Hamm i Camen.

W samem *Hamm* mieszka ze 300 osób narodowości polskiej. W okolicy przebywa zato znacznie więcej. W Unna, w Heeren, w Bergkamen — znajduje się przeszło tysiąc pięćset.

W *Camen* (inaczej: Kamen) jest stale mieszkającej ludności polskiej około 500 osób. Górników jest 190. Dużo Polaków pracuje w cegielniach. Latem przychodzą tu obieżysasi do robót polnych.

W powiecie Hagen jest tylko jedna miejscowość *Wetter* zasługująca na wzmiankę. W całym powiecie mieszka 250 Polaków, prawie wszyscy zaś w Wetter, najlepszym czego dowodem jest fakt, że w tutajszem towarzystwie św. Jana z Matty jest 92 członków.

Dla ścisłości dodać trzeba, że podług wykazów jest 23 górników Polaków i w ostatnim z należących do górniczego obwodu dortmundzkiego w powiecie *Schwelm*. Naturalnie miejscowości, gdzie przebywają, oznaczyć niepodobna.

Na tem kończymy przegląd szczegółowy miejscowości w Westfalii, gdzie mieszkają Polacy. Niektórym ważniejszym — opuszczonym powyżej — miejscowościom poczęści już poświęciliśmy, poczęści poświęcimy osobne korespondencye.

Rzucając okiem na te dziesiątki tysięcy naszych braci, którzy na obczyźnie, szukając chleba, tyle miejscowości obcych zaludnili sobą, mimowoli trzeba z głębi serca zawołać:

„Daj Wam Boże, abyście tam znaleźli dla siebie drugą ojczyznę, która Was nakarmi, ale nie zapominajcie nigdy i o tej naszej wspólnej Ojczyźnie, która Was nieraz karmiła — łzami.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Bank Przemysłowców.

Jedną z najdzielniejszych instytucyi, które są u nas czynne na polu ekonomicznego rozwoju, jest bezwątpienia *Bank Przemysłowców*, od czasu swego założenia t. j. od roku 1861 rozwijający się coraz lepiej z prawdziwą korzyścią dla społeczeństwa.

Pod umiejętnem i wytrawnem kierownictwem dyrektora M. Więckowskiego Bank tak się z roku na rok rozwija, że w roku bieżącym Rada nadzorcza mogła zaproponować walnemu zebraniu do podziału $7^1/_2$ % dywidendy, jako czystego zysku. Jest to cyfra, wybornie illustrująca rozwój tej instytucyi, tem bardziej, że od pięciu lat dywidenda wynosiła stale 6%. Należy przytem zważyć, że będąc pomocą naszym kupcom i przemysłowcom, Bank Przemysłowców nigdy nie dąży do zbytnich zysków, lecz dobro ogółu, dobro społeczne ma zawsze na oku.

Jak się przekonywujemy ze sprawozdania, ruch finansowy Banku wzmógł się znacznie.

Przyrost udziałów wynosił w roku 1900 przeszło *121 tysięcy marek*, co jest wymownym dowodem zaufania, jakiem się ta instytucya cieszy w szerokich kołach naszego społeczeństwa. Ilość depozytów też wzrosła blizko o sto tysięcy.

Na walnem zebraniu, które się odbyło w końcu lutego, a którego przebieg streszczamy, wykazał się w całej pełni kwitnący, pełen siły, zdrowia i pięknych nadziei na przyszłość stan tego przedsiębiorstwa, którego rozwojem słusznie możemy się szczycić wobec Niemców.

Na walnem zebraniu przewodniczącym obrano mecenasa p. Wolińskiego, a ten na sekretarzy powołał pp. Budzyńkiego i St. Mana, poczem wspomniał o stracie, jaką Bank poniósł przez śmierć wielce zasłużonego, jednego z założycieli dzisiejszego Banku, t. j. śp. radzcy posła St. Mottego. Członkowie pamięć jego uczcili przez powstanie.

Po odczytaniu porządku obrad zabrał głos dyrektor Więckowski i zdał sprawę z czynności całorocznej Banku. Odczytał potem nazwiska członków Rady nadzorczej występujących na mocy regulaminu, a było ich 4 i to pp. B. Chrzanowski, A. Chłapowski, Gruszczyński i St. Ołyński. Wszystkich obrano ponownie.

Przez cały czas obrad, w których uczestniczyło samych członków głosujących około 240, bardzo dodatnie wrażenie sprawiały przedmiotowe wywody i ton przyzwoity, świadczący korzystnie o postępującem świetnie wyrobieniu obywatelskiem we wszystkich sferach, albowiem z wszystkich sfer rekrutują się członkowie największej tej z polskich Spółek, liczącej obecnie już blisko 3000 członków! Równocześnie zaznaczyło się w toku dyskusyi godziwe i rozumne zapatrywanie na sprawę „Domu przemysłowego,“ która przez czas niejaki w niepomyślną pogrążona fazę, obecnie zbliża się do rozwikłania, z którego wszyscy członkowie powinni być na razie zadowoleni.

Pan dyr. Więckowski w treściwych słowach przedstawił obecnym pomyślny rozwój i świetny stan instytucyi, którą kieruje, a przeszedłszy do kwestyi „Domu Przemysłowego“ wyjaśnił zebranym powody, dlaczego Bank tego pięknie zapomyślanego zbiorowego przedsięwzięcia finansami swemi dotychczas nie mógł poprzeć tak, jakby tego sobie wszyscy życzyli.

Pan Preiss rzuciwszy krytycznem okiem na finansową stronę kupna i budowy „Domu Przemysłowego“ wyjaśnił pokrótce dobre widoki, jakie się w ostatnich dniach odsłoniły i stawił wniosek o wyrażenie życzenia przez walne zebranie, ażeby Bank ze względu na pomyślny kontrakt, mający się zawrzeć z pewnym zasobnym przedsiębiorcą hotelowym, nie uchylał się od finansowania sprawy.

Sprawa „Domu Przemysłowego,“ której traktowanie w prasie wymagało pewnej rezerwy ze względu na mającą się zawrzeć umowę z pewnym dzierżawcą, weszła na niepomyślne tory wskutek wystąpienia pisma polskiego (nie hakatystycznego) mianowicie „Orędownika.“

Przed samem walnem zebraniem, któreby bezwątpienia doprowadziło do pomyślnego rezultatu umowę z dzierżawcą, „Orędownik“ poruszył sprawę „Domu Przemysłowego“ w sposób, który, wedle słów p. Anatazego Biskupskiego prawdopodobnie spowoduje rozbicie się dzierżawy. Mianowicie w numerze z dnia 28 lutego „Orędownik“ wystąpił przeciw Bankowi Przemysłowców, jeśliby tenże zajął się sfinansowaniem „Domu Przemysłowego“. Godny ten organ posunął się nawet do groźby, że udziałowcy wycofywać będą fundusze swe z Banku. Groźbę tę znamy już z czasów dyskusyi o Banku Związku Spółek. Wtedy to swą agitacyą wypędził „Orędownik“ pół miliona z banków polskich do niemiecko-żydowskich. Ale teraz ta destruktywna robota została w sam czas zdemaskowana świetnem przedstawieniem kwitnącego stanu Banku na walnem zebraniu.

Bankowi pismo to nie zaszkodziło, ale natomiast rozbiło projekt wydzierżawienia Domu Przemysłowego zamożnemu hotelowi, który chciał poprzednio zawrzeć umowę, ofiarując 60 tys. marek rocznie, a teraz pod wpływem „Orędownika“ nietylko że nie chce złożyć kaucyi, lecz wymaga takowej ze strony „Domu Przemysłowego.“

Zawarcie lub rozbicie się planu budowy „Domu“ zależy od tej dzierżawy. „Orędownik“ nią zachwiał — i pewnie będzie się mógł poszczycić nowym tryumfem w rujnowaniu mozolnej pracy społecznej.

Takimi tryumfami znaczy się droga tego pisma.

Niebawem przypomnimy mu o tem, jak to rozbił i uniemożliwił fundusz Kościuszkowski i inne instytucye społeczne. W mieście i prowincyi fala oburzenia była odpowiedzią na ten niegodny wybryk i nadesłano nam masę materyału, abyśmy oświetlili całą robotę antispołeczną „Orędownika.“ Zużytkujemy to niebawem, choć nie jesteśmy tego pewni, czy prokuratorya lub policya, konfiskując nasz numer, nie przyjdzie z pomocą „*Schwarzweisserowi*“ i nie uchroni go od tego ciosu.

Panom Preissowi, Rzepeckiemu i Komendzińskiemu należy się podzięka, że na walnem zebraniu energicznie poparli sprawę „Domu przemysłowego.“ *X.*

Specyalne korespondencye „Pracy“.

Gryfia, dnia 26. 2. 1901.

Do głębi przeraziła tutejsze obywatelstwo niemieckie wieść o założeniu Towarzystwa Polskich Robotników na Gryfię i okolicę. Spokojnym obywatelom przez myśl nigdy nie przeszło, że wpośród ich grona są Polacy obywatele oprócz stutentów Polaków i sezonowych obieżysasów. Nie dziw przeto, że wieść o założeniu Towarzystwa polskiego przejęła ich taką trwogą, jakby wpadł do miasta groźny nieprzyjaciel. Polacy w Gryfii... nadto Towarzystwo Polaków!... nie, to za wiele złego na pobożnych pastorów à la profesor Letzius.

Polacy tutejsi poczęli działać — zwołali w niedzielę dn. 17. 2. w lokalu p. Ihlenfelda wiec Polaków z Gryfii i okolicy i założyli „*Tow. Polskich Robotników.*“ Gromadnie stawili się ci, którym mowa polska pozostała jeszcze mową ojczystą, nie wykluczając takich nawet, którzy pod przewodnictwem księdza Niemca i Towarzystwa katolicko-niemieckiego poczęli wstydzić się języka polskiego i używać w domu gwary niemieckiej. Niespokojnie spoglądali niektórzy, słysząc li tylko mowę polską, w stronę małego stolika, przy którym siedziało poważnie w strojach urzędowych dwóch wyższych stróżów porządku publicznego z tłomaczem szpakowatym, bardzo przez nich szanowanym. Studenci, którzy powodowani czcią i miłością do ludu, przybyli

na miejsce wieca swoich braci, wnet rozproszyli wszelkie obawy pomimo, że śledził ich z kąta rozparty na fotelu pedel uniwersytecki.

Wiec rozpoczął się o $^{1}/_{2}$3 po południu przy udziale 30—40 osób. Błogie zdziwienie i wzruszenie ogarnęło wszystkich uczestników, kiedy student, p. Majkowski, obrany przewodniczącym, tłomaczył cel wieca, z ogniem i zapałem przedstawiał niedolę ludu polskiego i potrzebę łączenia się! Zapał mówcy przeobraził tę niedawno jeszcze wątpiącą grupę ludzi w mgnieniu oka prawie we wierzącą; już uświadomieni — wzrośli w zapale, chwiejni przed chwilą wstydzą się dawniejszej obojętności — i wszyscy domagają się założenia Towarzystwa polskiego, głośno, bez obawy przed policyjnemi przeszkodami. Wszystkich Polaków złączyła w silne koło mowa ojczysta i wspólna niedola; 14 zapisało się zaraz jako członkowie. Z zapałem i radością zarazem obradowano nad statutami, przyczem zachowano jak największy spokój i porządek. Dwa główne cele postawiło sobie Towarzystwo:

1) obrona języka polskiego i narodowości,

2) obrona prawna członków wobec wykroczeń chlebodawców.

Po skończeniu obrad tych i załatwieniu spraw formalnych, piosnki i pieśni tak dawno nie słyszane, a jednak tak drogie i miłe, uzupełniły świetność uroczystości, podniosły ducha i utwierdziły w uczuciach i zamiarach powziętych podczas wiecu. W porządku i spokoju porozchodzono się do domu, ażeby tam zwiastować swoim tę wielką, słodką nowinę. Policyi imponował ten spokój i porządek, w jakim Polacy wiec urządzili, lecz nie podobał jej się ten duch wskrzeszony w duszach polskich. Trzeba było patrzeć i zdumiewać się nad wytrwałością policyantów, z którą zwiedzali na wzór pielgrzymki wszelkie lokale i zawiadamiali o Towarzystwie, któremu nie należy dać lokalu.

Dziwić się nie wypada, że mimo najenergiczniejszych starań nie można dla Towarzystwa dostać lokalu, że wolanoby socyalistom i anarchistom wygodzić, niż tym „przeklętym Polakom.“ Policya może zbyt wcześnie uśmiecha się, z zadowoleniem myśląc o swoim rozumie, niech zważy, że jeszcze prywatnych pomieszkań jest mnóstwo, i że duch wskrzeszony i przeciwnościami podniecony zdolny jest do wszelkich ofiar, ażeby się odbywać mogły posiedzenia. Charakteryzując zapał i ducha w tutejszym ludzie polskim, podaję tylko odpowiedź, którą dał na zaczepkę robotnik swojemu panu lieutnantowi: „Mów pan, co chcesz, lokalu nie dostaniemy, to wiem, lecz mamy nasze Towarzystwo, więc posiedzenia być muszą, chociażby nam wypadło swój własny dom pobudować.“

Towarzystwo, w którem panuje taki duch, nigdy nie upadnie, i tylko można teraz życzenie wyrazić, ażeby duch ten nigdy nie zginął.

Vivat! Crescat! Floreat!

Gryfijczyk.

* * *

Z Magdeburga i okolicy.

Miasto Magdeburg, będąc położone niemal w środku okolicy o nader rozwiniętym przemyśle, posiada dość znaczną kolonię polską, w blizkiej styczności z którą pozostaje cały szereg innych, pomniejszych, rozrzuconych w niewielkim promieniu gęsto jedna obok drugiej.

Liczbę Polaków w Magdeburgu korespondenci podają na 3 $^{1}/_{2}$ do $4^{1}/_{2}$ tysiąca głów. Są to przeważnie robotnicy, zatrudnieni w przemyśle żelaznym. Dużo ich też pracuje w cukrowniach. Zarobek wynosi 28—32 fen. na godzinę. Obok tych jest kilka set rzemieślników rozmaitego rodzaju zawodów, którzy pracują w fabrykach wyrobów skórzanych, wytłaczalnych materyi itd. Samodzielnych krawców i szewców Polaków jest niewielu. Kolonii w Magdeburgu nadają zasadniczy ton robotnicy, pracujący w wielkim przemyśle fabrycznym.

W Magdeburgu od r. 1892 istnieje polsko-katolickie „Towarzystwo św. Jana Nepomucena.“ Towarzystwo to zwłaszcza za pierwszych lat swego istnienia cieszyło się bardzo pięknym rozwojem, bywały regularnie odczyty, a liczba członków w r. 1898 dochodziła do 120. Obecnie brak odczytów, ogólny prąd antypolski u pracodawców Niemców, utrudnione stosunki z policyą, oraz brak opieki duchownej w polskim języku przyczyniły się do pewnego zastoju w tak zasłużonem towarzystwie. Liczy ono dzisiaj 56 członków. Brak niezmiernie kilku dawnych członków, którzy byli duszą towarzystwa, a z rozmaitych względów zarobkowej natury wyprowadzili się z Magdeburga.

Wśród kolonii polskiej w Magdeburgu jest cały szereg ludzi dość wykształconych i inteligentnych, którzy tu przebywają jako urzędnicy pruscy. Ten ich urzędowy charakter niepozwala im brać najmniejszego udziału w życiu polskiej kolonii.

Ogromny rozwój przemysłu niemieckiego, który się dokonał w ostatnich latach, zaznaczył się dobitnie na lokalnym rozwoju Magdeburga.

Dziś *Magdeburg-Sudenburg* i *Magdeburg-Buckau* to osobne rozległe miasta fabryczne, gdzie tysiące kominów fabrycznych wymowne składa świadectwo o liczbie zatrudnionych tu pracowników.

Osłabienie Towarzystwa polskiego w Magdeburgu równoważy się do pewnego stopnia założeniem i dobrym rozwojem nowego Towarzystwa polskiego w tej specyalnie przemysłowo-fabrycznej dzielnicy — w Sudenburgu. W r. 1900 założono „Tow. polsko-katolickie Jedność.“ Młode to Towarzyswo liczy do pięćdziesięciu członków i coraz więcej nowych zyskuje. Honorowym prezesem dawniej był ksiądz proboszcz, poprzednik obecnego, Niemiec wprawdzie, który nie umiał po polsku, ale oceniał trafnie dobroczynny wpływ, jaki wywiera Towarzystwo na poziom moralny wychodźców. Chętnie też radą i opieką wspierał Towarzystwo. Prosimy Czytelników naszych w Magdeburgu, których tam mamy kilkudziesięciu, aby zechcieli kapłanowi temu napisać, że „Praca“ gotowa zawsze ocenić i uznać sprawiedliwe obchodzenie się z naszymi wychodźcami i choć nasi wychodźcy w Magdeburgu i wtedy nie mieli dostatecznej opieki, bo był brak kazań polskich jak i dziś, to wszakże nie księdza proboszcza o to winili, bo tu winien obrzydliwy system polityki germanizacyjnej — a proboszczowi za życzliwość zaś życzliwością płacili.

W samym Magdeburgu jest 4-ch księży, ale żaden z nich nietylko że nie umie po polsku, ale nawet nie chce zrozumieć tego głodu duchowego za żywem słowem bożem w języku ojczystym, jaki mają nasi wychodźcy.

Na prośby o kazania polskie odpowiedziano naszym rodakom bezlitośnie i nie po chrześciańsku: „Kiedy nie macie tu dostatecznej opieki duchownej — to *poco tu przychodzicie?* A jeśli pomimo to jesteście tu, to wolą lub niewolą zastosować się musicie do tych, czyj chleb jecie?“

Zresztą i policya baczy na to, aby kolonia polska germanizowała się z powodu braku kazań polskich. Dawniej był tu kapłan życzliwy Polakom i poprzednik obecnego przewodniczącego Towarzystwa w Sudenbergu, ogłosiwszy sprawozdanie w „Wiarusie polskim“ w Bochum, napisał, że kapłan ten otacza opieką Polaków, a ponieważ redakcya nieopatrznie to umieściła, księdza owego niezwłocznie przeniesiono gdzieindziej.

Odbył się potem wielki wiec w sprawie braku opieki duchownej i wysłano prośbę do władzy wyższej o kapłana mówiącego po polsku, lecz prośbie tej władza dyecezyalna odmówiła.

Najbliższa osada polska znajduje się, jak mówią Polacy magdeburscy, „w Gomrach.“ Te Gomry — to fabryczna osada *Gommern.* Polacy (400 głów) pracują w kamieniołomach. Istnieje tam towarzystwo polskie św. Szczepana.

W *Schönnebeck* jest kilkaset Polaków. Towarzystwo zdaje się, istniało, ale obec-

nie nie daje nam znaku życia o sobie.

Dalej z okolicznych kolonii wymienić należy *Helmstedt*, *Frellstedt* (w Brunświckiem) z Towarzystwem św. Barbary, i *Egeln* z Towarzystwem św. Piotra i Pawła, które liczy 25 członków, ale żaden z nich naszej „Pracy“ nie czyta, bo znaku życia o sobie nie daje.

Dalej wymieniamy *Offleben*, z 500 Polakami i Towarzystwem św. Stanisława biskupa oraz w pięknej położone miejscowości pod Harzem trzy miasteczka ze sporą liczbą ludności polskiej i polskiemi Towarzystwami: *Nienenburg, Blankenburg i Thale am Harz.*

Nienenburg daje zatrudnienie naszym wychodźcom w kopalniach soli, w fabrykach gipsu i przetworów chemicznych. Rzecz naturalna, że i w tych okolicach, jak niemal wszędzie, jest pełno robotników polskich przy roli. Ludność polska wynosi około 500 głów. Istnieje Towarzystwo polskie św. Jana Chrzciciela, mające 38 członków, a założone w 1894 roku. Towarzystwo to posiada dzielny zarząd, który się stara o to, aby i pracujący w okolicy przy roli Polacy uczęszczali do Towarzystwa.

W *Blankenburgu*, gdzie ludności polskiej jest tyleż co i w Nienenburgu, istnieje założone w r. 1898 „Towarzystwo katol. polskie“ o religijnym charakterze; liczy 40 członków.

W *Thale a. H.* jest przeszło tysiąc głów ludności polskiej. W roku 1892 założono Towarzystwo pod opieką Serca Jezusowego. Ma dziś do 70 członków. Ręka w rękę z niem pracuje Towarzystwo kobiece „Bractwa św. Barbary“, do którego należy 30 dziewcząt. Meżczyźni pracują w przemyśle żelaznym: w hutach, lejarniach, w fabryce maszyn i w fabryce narzędzi kuchennych, dziewczęta zaś tylko w hucie.

Opieki duchownej w polskim języku naturalnie niema. Wogóle cieszyć się muszą nasi emigranci tamtejsi, że mają księdza katolickiego. Kościoła niema wcale. Licha sala przy zabudowaniach hutniczych służyć musi za dom Boży.

Peregrinus.

Z TYGODNIA.

„Stosunki pomiędzy Niemcami a Rosyą radykalnie się popsuły“. „Rosya przygotowuje się do wojny celnej.“ „Możliwość ostrego zatargu z Rosyą nie jest wykluczona“ — takie i temu podobne pogłoski obiegają już prasę europejską od tygodnia.

Istotnie zaostrzenie stosunków z Rosyą, którego pierwszą poważną zapowiedzią było odwołanie posła niemieckiego, ks. Radolina z Petersburga, jest dziś faktem dokonanym. Nawet pisma niemieckie, które mają styczność z rządowemi sferami, nie starają się zakryć tego faktu i otwarcie przypisują polityczną misyę wyjazdowi hr. Werdera do Petersburga. Werder jest reprezentantem przyjaźni rosyjsko-pruskiej z czasów Bismarka i jako poseł niemiecki był długi czas czynny w Petersburgu. Tego więc dyplomatę wysłały Niemcy do Rosyi, aby ratował naprężone stosunki. Są trzy sprawy, co do których niemiecki rząd napotyka na niechęć w Petersburgu. Jedna — to sprawa podwyższenia ceł, która grozi rolnikom z tamtej strony granicy znacznemi stratami na zbożu. Druga sprawa — to sprawa chińska: feldmarszałek Waldersee uskarża się, że go Rosyanie nie chcą słuchać, a nadto sami zabierają to wszystko, co onby rad zabrał dla Niemiec. Trzecia sprawa — to sprawa polska. Prusy z niepokojem śledzą szerzące się w zaborze pruskim nadzieje przyłączenia do Rosyi. Jak zapewnia jedno z pism zagranicznych, generał Werder ma polecone zapytać się rządu rosyjskiego o jego zamiary co do prowincyi polskich, będących w posiadaniu pruskiem. Jak tam sobie dyplomaci te sprawy załatwiać będą przy zielonym stoliku, mniejsza o to. Sam fakt, że potrzeba specyalnego posła, aby połatać rwące się nici stosunków niemiecko-rosyjskich dostatecznie już świadczy o tem, że zbliża się chwila, kiedy buta pruska, zdążająca do opanowania całego świata, spotka się oko w oko z butą rosyjską, zdążającą do tego samego celu. Chwila ta, na którą pewnie wszyscy jeszcze patrzeć będziemy, przedstawi bezwątpienia jeden z najbardziej interesujących momentów dziejowych XX-go stulecia.

W polityce zagranicznej dokonywują się poważne zmiany, mogące wpłynąć na ukształtowanie wewnętrznych stosunków w Niemczech.

Na pierwszym planie stoją wypadki w Austryi. Parlament austryacki wprawdzie kulawo funkcyonuje, ale trzymany jest pod grozą obstrukcyi, zapowiedzianej tym razem przez posła czeskiego Klofaca.

Któż to jest p. Klofac, groźny bohater dnia na politycznym widnokręgu wiedeńskim?... W najogólniejszem określeniu jest to czeski Wolf, tylko podniesiony do kwadratu; co się zaś tyczy szczegółów biograficznych, to ma on za sobą przeszłość bardzo urozmaiconą. Był niegdyś, jak sam twierdzi, współpracownikiem, a rzeczywiście reporterem „Narodnich Listów;“ z fachu agitator polityczny, miał do czynienia głównie z młodzieżą i robotnikami, którzy za nim przepadają tak, że dzięki im obecnie w dwóch naraz okręgach został wybrany do rady państwa; kara, jaką poniósł za odezwanie się *zde* zamiast *hier*, męczeńskim wieńcem okoliła jego skronie.

Naturalnie mąż takiej miary nie mógł jechać do Wiednia z próżnemi rękami, jak pierwszy lepszy poseł. On jechał tam z ułożonym już programem, którym zamierzał wprawić świat w zdumienie i pokazać, do czego zdolny jest radykał czeski. Program ten polegał na przerwaniu cesarzowi mowy tronowej w Burgu, naturalnie z jakąś grubą impertynencyą.

Z zamiarem tym nie krył się bynajmniej; owszem zaraz na pierwszem posiedzeniu rady państwa zapowiedział go wyraźnie panom ministrom, nazwawszy ich wprzódy uprzejmie: „osłami.“

Pogróżka ta obiegła zaraz cały Wiedeń i stała się przedmiotem gorączkowego zajęcia wszystkich niemal warstw ludności. Łamano sobie głowę nad tem, czy nietykalność poselska ochroni swoją tarczą Klofaca, a jeżeli nie, to jakie będą następstwa jego aresztowania. Sam cesarz zaniepokoił się tem i wezwał do siebie ministra sprawiedliwości, żeby zasięgnąć jego opinii w tej mierze.

Na szczęście, skończyło się wszystko na strachu, ale pan Klofac w dalszym ciągu jest postrachem parlamentu wiedeńskiego.

W parlamencie niemieckim znowu była debata o Polakach. Omawiano sprawę zakazu kupowania u kupców polskich, wydanego żołnierzom w prowincyi poznańskiej przez komenderującego generała. Nie będziemy tu opisywali szczegółowo przebiegu debaty. Dowiodła ona żywo, że społeczeństwo nie może liczyć na żadne względy ze strony nam wrogiej, że natomiast przygotować się musi na najgorsze środki represyjne.

Do takich środków zaliczano obecnie zakaz kupowania u kupców polskich. Nie ulega wątpliwości, że w najbliższym czasie zostanie wydany zakaz, aby urzędnicy państwowi, choć i Polacy, nie kupowali nic od Polaków.

Wobec tego społeczeństwo nasze powinno się poczuwać tem bardziej do obowiązku popierania swoich kupców i przemysłowców, którym represye podobne chcą utrudnić byt i odebrać możność zarobkowania.

Interpalacyę polską uzasadnił w tej sprawie poseł Jażdżewski.

Mówca uskarżał się na to, że żołnierzom Polakom zakazano czynić zakupy u polskich kupców.

Minister wojny Gossler odpowiedział, że zachowanie się polskiej ludności wobec rzemieślników i kupców niemieckich było tego rodzaju, iż musiano zarządzić pewne środki zapobiegawcze. Egzystencya wielu

niemieckich przemysłowców była wskutek agitacyi polskiej utrudnioną i krzywdzoną, dlatego wydano rozporządzenie, że potrzeby armii mają być o ile możności u niemieckich kupców zaspokajane. „Nie myśmy zaczęli spór — kończy minister — który nam ofiarowano.“

P. Jażdżewski zaprzeczył, jakoby Polacy agitowali przeciw kupcom niemieckim, na co Gossler odpowiedział, że przytaczano w polskich dziennikach nazwiska tych Polaków, którzy kupowali u kupców Niemców.

Zdaje się, że zapomocą znanego szablonu — wycinków z gazet polskich, pan minister wojny chciał zmusić polskich posłów do milczenia. Gruntownie się to mu nie udało, bo nie znamy pisma polskiego, któreby po nazwisku wymieniało osoby kupujące u Niemców. Nawet przecież dotychczas nie znalazło się pismo, któreby ogłosiło listę sprzedawczyków ziemi w ręce kolonizacyi! Więc pan minister Gossler złą drogę sobie obrał do dowodzeń, nietrudno było bowiem wykazać naszym posłom całą bezpodstawność jego twierdzeń.

Zewnętrzna polityka niemiecka po coraz to gorszych błądzi bezdrożach. Aby się wydobyć z kłopotliwej sytuacyi, feldmarszałek Waldersee postanowił Chińczyków zwyciężyć siłą broni, a nawet wprost kroczyć do podziału Chin. Ale mu się ta wyprawa nie udała. Posłowie mocarstw zagranicznych założyli formalny lubo cichy protest i wyprawa wojowniczego feldmarszałka spełzła na niczem. Podobnych niepowodzeń doznają też usiłowania niemieckiej polityki zagranicznej, aby zagarnąć w niemieckie ręce protektorat nad katolickiemi zakonami na Wschodzie. Wyborną illustracyą tych niepowodzeń niemieckich daje następujący obrazek:

Opat Trapistów z Sept Font, trzy tygodnie temu, miał kazanie w kościele św. Eugeniusza w Paryżu, wobec wykwintnej publiczności, po którem zbierał składki na klasztor Trapistów w Palestynie, leżący o parę mil od Jerozolimy. Zakonnik następującemi słowy zakończył swoją mowę:

„Niedawno cesarz niemiecki Wilhelm rozkazał napisać list do naszego jenerała tej treści: „Dowiadujemy się, że budynki francuskie Trapistów w Ziemi świętej są bardzo zrujnowane, a rząd francuski żadnej nie daje pomocy waszym zakonnikom. Zamieńcie francuskich zakonników na Niemców, a cesarski rząd odbuduje wasz klasztor, otoczy was opieką i materyalną pomocą“. Nasz Ojciec jenerał odpowiedział na to zaproszenie: „Z tej okoliczności nie zbiorę mojej kapituły na naradę. Jako dawny żołnierz, który walczył w roku 1870, odpowiadam w imieniu moich zakonników: „Trapiści w Palestynie pozostaną ubogimi, ale zawsze Francuzami“.

Odkrycie zamiarów cesarza Wilhelma, który wszelkiemi sposobami stara się osięgnąć protektorat nad katolikami na Wschodzie wielkie uczyniło wrażenie na słuchaczach, należących do arystokracyi i bogatych mieszczan Paryża.

Dnia 5-go b. m. odbywały się w Koźminie uzupełniające wybory do sejmu pruskiego z okręgu jarocińsko-koźmińsko-krotoszyńsko-pleszewskiego. Głosów oddano 537; z tych nasz kandydat p. dr. Antoni Chłapowski z Poznania otrzymał 378, kandydat niemiecki budowniczy Köppel z Krotoszyna 159 głosów. Pan dr. Chłapowski wybrany przeto został posłem w miejsce ś. p. radzcy Mottego.

Miesiąc luty i marzec są w Watykanie miesiącami rocznic: śmierci Piusa IX, wyboru Leona XIII, jego urodzin i koronacyi. Z rocznic tych obchodzone bywają rocznica zgonu Piusa IX (żałobną uroczystą Mszą św. w kaplicy Sykstyńskiej) i koronacyi Leona XIII (dnia 3 marca), oraz urodzin (dnia 2 marca). Dwudziestego lutego Papież obchodził 23 rocznicę wyniesienia na Stolicę Apostolską, a w dniu 2 marca skończy rok 91 życia. Jeszcze dwa lata i pontyfikat Leona XIII będzie obok panowania Piusa IX najdłuższym, jaki dzieje Kościoła zapisały. Jego Świątobliwość Leon XIII dostąpił rzadkiego szczęścia, aby módz obchodzić jeden po drugim jubileusz: kapłański, biskupi a za dwa lata, jeśli dożyje, oczekuje go jubileusz — papieski. Jak zapewniają dalej, papież postanowił z końcem marca zwołać konsystorz, na którym zamianowani zostaną nowi kardynałowie, między innymi biskupi: krakowski ks. Puzyna i praski ks. Skrbenski. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Na wieść o niebywałych dotychczas repressaliach skierowanych przeciw naszemu pismu, cały szereg pism polskich w zaborze pruskim i za kordonem pospieszył nam przesłać wyrazy współczucia, a pare gazet, jak np. „Gazeta Grudziądzka, najpoczytniejsze dziś pismo w Prusach Zachodnich specyalnie zaleciła czytelnikom swoim popieranie „Pracy.“ Pisma warszawskie, a mianowicie galicyjskie miały bez wyjątku specyalne telegramy z pola walki „Pracy“ — z policyą, a kilka pism, jak np. „*Dziennik Polski*“ i „*Przedświt*“ w całej rozciągłości powtórzyły artykuł „Mene Tekel Phares“ jako jędrny wyraz niezależności ducha polskiego od więzów pruskiej polityki, dalej „Wiek“ Warszawski, „Kraj“ Petersburski i t. d.

Naturalnie i na łamy naszych pism prowincyonalnych weszła dyskusya, czy nasza prasa ma obowiązek zachowywania jakichkolwiek względów wobec coraz bardziej srożących się hakatystycznych pressyi. W przeciwieństwie do „Orędownika“, który wydrukował deklaracyę prusofilską w obronie hakatystów przed ostrymi artykułami, umiarkowany „**Dziennik Poznański**“ sądzi, że na prasie naszej *dziś bardziej niż kiedykolwiek* cięży *obowiązek* dodawania sił do walki o byt narodowy i podsycanie wytrwałości w obronie:

„Z całego przebiegu zaś najświeższych obrad parlamentarnych i „obrad polskich“, wynika wprawdzie niedwuznacznie, że posłowie nasi zdołali przywieść przeciwnika do uczucia poniesionej klęski, że na cały świat obniżyli opinią o polityce pruskiej i niemieckiej, ale nie zdołali przeciwnikowi odebrać nadziei, że ostatecznie jeszcze zwycięży.

„Jak zwykle, tak i w tym wypadku awansował się hakatyzm szkolny i pocztowy w przypuszczeniu, że bez szemrania zniesiemy jego ciosy, a dziś, kiedy zawodu w tej mierze doznano, pocieszają się miarodawcze czynniki tem, że jak zapały, tak i oburzenia nasze zwycięzkie niedługo potrwają, a potem rzecz pójdzie nie torem ustępstw w systemie, lecz, po niejakim odpoczynku, torem dalszych zamachów na prawa i słuszność naszą.

„Zatem, choćby z narażeniem się na nowy zarzut agitacyi, będzie to *zadaniem prasy*, żeby budzić tego usypiającego ducha, bo polska prasa nie na to istnieje, żeby torować drogi hakatyzmowi przez szerzenia popłochu i przeświadczenia, że „to się wszystko na nic nie zda“.

„Jak hakatyzm nie ustanie w swych usiłowaniach, póki sam sobie nadmiarem krzyżactwa karku nie nałamie, tak i my ustać nie możemy w nawoływaniach skutecznej obrony, pamiętając o tem zawsze, że przeciwnicy nasi spekulują na naszą wygodę, obojętność i brak wytrwałości. *Któż ma nawoływać usypiającego ducha, jeżeli nie prasa?* A nie tylko nawoływać, ale i od czasu do czasu przeprowadzać śledztwa, co się też dzieje z naszemi środkami obrony?

„W dzisiejszym przypadku n. p. zapytujemy, co się stało z tak powszechnem zapowiadaniem procesów, wytoczonych poczcie o odszkodowanie? Jeszcze nie usłyszeliśmy, żeby którykolwiek proces został rozstrzygniętym choćby w pierwszej instancyi. Prosimy o tem pamiętać i informować opinią.

„Nie pozwoli nam też, jak przypuszczamy, zasnąć choćby tylko przebieg dalszych obrad etatowych.

„Ważne jeszcze dla nas będą obrady etatu szkolnego i wojskowego, pierwszy ze względu na rozporządzenie ministra Studta, drugi ze względu na nieprawdopodobną wieść o antypolskiem rozporządzeniu w sprawie ogłodzenia polskich kupców i przemysłowców.

„Nie spodziewamy się w tej mierze długich i przewlekłych obrad, mianowicie bezowocnych tradycyjnie w sprawie szkolnej, ale spodziewamy się poważnej, lecz dosadnej stanowczości *bez dygów i pokłonów, z których się śmieją przeciwnicy*, a wobec których dopytywać się przy dzisiejszym stanie rzeczy zaczynają „spry-

mierzeńcy“, co one oznaczają: „sprawę publiczną czy prywatną?“

Z wyjątkiem jedynego „Schwarzweissera“, który radziłby polskim gazetom zawarcie zgody z rządem i miota się przeciwko „Pracy“, że „Praca“ zbyt ostro naciera na hakatystów, cała prasa polska jest jednomyślnie zdania, że utrzymanie poczucia narodowego możliwe jest tylko przez prasę — choćby i nie bez pewnych ofiar.

Kogóż bowiem nie pomawiają o agitacyę wielkopolską? Trafnie o tem pisze jędrnie redagowana **„Gazeta Grudziądzka:“**

„Słowo to dzisiaj na niejednych Prusaków działa tak samo jak czerwony płat na buhaja... Na wspomnienie wielkopolskiej agitacyi niejeden polakożerca dostaje zaraz owej modnej choroby, którą nazwano po polsku „bzikiem polakożerczym“ a po niemiecku „Polenkoller“, i gdyby od niego zależało, podpisałby pewnie wyrok zagłady na cały naród polski.

„Ale czemże to właściwie jest ta wielkopolska agitacya, — że niejedni Prusacy na samo wspomnienie o niej tak się zaraz — niepokoją? To pytanie nieraz już stawiali Polacy Prusakom, a nigdy nie otrzymali dokładnej odpowiedzi. Jeden powiedział: Jeżeli ktoś zatknie szpilkę z polskim orzełkiem w krawat, to wielkopolska agitacya, drugi znowu w czerwono białych wstążeczkach upatrywał wielkopolską agitacyę, inny zobaczył w polskim adresie wielkopolską agitacyę, czwarty znalazł w polskiem szyldzie nad składem wielkopolską agitacyę i tak każdy przytaczał co innego jako objaw owej wielkopolskiej agitacyi, a nikt nie chciał dokładnie określić, czem właściwie jest wielkopolska agitacya.

„Aż dopiero w tych dniach blaty pruskie objawiły to światu. Otóż wielkopolską agitacyą jest wedle niejednych blatów pruskich przywiązanie nasze do mowy naszej polskiej, do dziejów naszych polskich, do ziemi naszej polskiej, do obyczajów naszych polskich i wogóle do naszej ukochanej polskości. Wyraźniej mówiąc wielkopolską agitacyą jest to, że my Polacy nie chcemy się dać poprzerabiać na Niemców.

„A więc w tem niejedni Prusacy upatrują wielkopolską agitacyę!

„Ha, to trudno, panowie! W takim razie zapewnić was możemy, że tej wielkopolskiej agitacyi nie zaprzestaniemy, dopóki krwi w żyłach, a tchu w piersiach nam starczy. Bylibyśmy łajdakami najgorszego gatunku, gdybyśmy mieli uczynić wam do woli, gdybyśmy mieli wyprzeć się naszej ukochanej polskości, naszej pięknej mowy polskiej, naszych wspaniałych dziejów polskich, naszych ślicznych obyczajów polskich. Nie, nigdy nie uczynimy tego! Nazywajcie to wielkopolską agitacyą, a nas agitatorami, nie przynosi nam miano to żadnej ujmy. Pan Bóg na niebie, w którego wy nie wierzycie, (bo tylko ludzie bezbożni mogą żądać, aby ktoś zaparł się swej narodowości) on nas nie potępi, ale nagrodzi hojnie za to, że przechowaliśmy wiernie skarby mowy ojczystej i narodowości. Ten Pan Bóg, który stworzył nas Polakami nie na to, abyśmy się dali przerabiać na Niemców i Prusaków, On i was kiedyś nauczy: „że On jest nierychliwy ale sprawiedliwy.“

Zaciekawiającym jest obecnie zwrot opinii publicznej w Niemczech w sprawie polskiej. Podczas, gdy niektóre pisma jak np. bawarskie, oraz „Kölnische Volkszeitung“, zwracają uwagę na konieczność nawiązania dobrych stosunków z Polakami przez wzgląd na możliwość zatargu z Rosyą, podnoszą się też głosy z czysto etycznego stanowiska potępiające antypolską politykę. Do takich głosów na pierwszem miejscu zaliczyć należy głos profesora uniwersytetu w Berlinie, Paulsena. Napisał on w **„Ethische Kultur:“**

„Nie ma dążenia, któreby się celom wykształcenia i kultury ludzkiej tak sprzeciwiało, deptało tak sprawiedliwość jak dążenie do zniszczenia narodu na drodze gwałtu i przewagą siły. Niema okrutniejszej historyi nad historyą polską pod zaborem rosyjskim: polityka moskiewska jest po prostu wstrętna. Ale i nasza (t. j. prusko-polska) nie jest wiele lepszą.

„Trzeba ubolewać nad tem, iż w teraźniejszych czasach popełnia państwo, zajmujące pomiędzy kulturalnemi państwami przodujące stanowisko, takie okropności, że wyrywa narodowi język, ażeby zamilczał na zawsze jak człowiek, któremu wyrwano język.

„Tak dalej pozostać nie może. Dwie drogi stoją nam otworem: albo asymilizacya, która nie wiele ma sensu, albo równouprawnienie różnych narodowości w państwie. Pierwsza droga nie doprowadzi do żadnego rezultatu — sądzi prof. Paulsen w kwestyi polskiej; naród polski nie może być wynarodowiony, ani przez obecną politykę szkolną, ani agrarną. Druga droga może do celu doprowadzić, w czem nam za dowód służą Stany Zjednoczone i Szwajcarya, gdzie najrozmaitsze narody żyją w zgodzie i jedności ze sobą. Wzajemna pomoc jest celem ludzkości; narody mają przez stykanie się wspólne wzajemnie zbogacać się i własne życie wydoskonalić. Każdy musi uważać sobie za szczęście za chwałę nawet życia swego, że zachowuje narodowość swoją. Lecz obok swej narodowości trzeba szanować też i drugą i nie powinno się nią pogardzać w sposób wrogi. Wszyscy wielcy ludzie, jak Goethe i Schiller uznawają wdzięcznie to zgodne pożycie („das Nebeneinander“). Tak też powinno być. Wszystkie narodowości powinny sobie przypomnieć wspólność pochodzenia i jedność swoją.“

„Krótko przedtem wypowiedział prof. Paulsen następujące zdanie:

„Nie na wojnach wielkich, na zdobyczach, nie na obszarze państwa i liczbie ludności polega wielkość i znaczenie narodu, lecz na moralnej i duchowej wartości jego; im więcej narody dążą do wypełnienia humanitarności i kultury ludzkiej, im więcej przez to zasłużą się dla całej ludzkości, — tem wyżej stoją one.

„Zaiste słowa, które najlepiej oznaczają zwycięstwo nasze nad „pierwszym narodem“ w świecie, „który się niczego nie boi, prócz (o szyderstwo!) — Boga.“

Jak się ukształtują stosunki polsko-niemieckie w przyszłości — trudno przesądzać. Dziś jednak, to pewna, dalekie są one od ideału, bo heca hakatystyczna przekracza wszelką miarę i granicę.

W niedzielę 3-go b. m. odbył się okazały wiec w Babkach pod Głuszyną niedaleko Poznania i udał się pod każdym względem. Przez śniegi i błota pospieszyło około 250 uczestników i uczestniczek na miejsce zboru, ażeby naradzić się wspólnie i zachęcić do spełnienia obowiązków obywatelskich przy blizkim już wyborze p. mec. Chrzanowskiego, a nadto zagrzać się wzajem do obrony języka ojczystego i wiary.

Przewodniczył zebraniu administrator dóbr p. Kauss, do protokółu zasiadł rządzca p. Bogdański, a jako główny mówca wiecowy wystąpił gospodarz, pan Prenzler z Wiorek. W słowach dobitnych i jasnych scharakteryzował on system walki zwrócony przeciwko wierze i językowi naszemu i napominał rodziców i rodziny polskie do obrony.

„Goniec Wielkopolski“, z którego bliższe dane o wiecu czerpiemy pisze dalej:

„Po p. Prenzlerze zabrał głos p. dr. Szymański, pouczając wiecowników, że warstwy pracujące *„nie mają co liczyć“* ani na szlachtę? ani na duchowieństwo? ani też na inteligencyą? ale powinny same o własnych siłach garnąć się do narodowej obrony. *„Ruch ludowy“* powinien *sam* bronić zagrożonych pozycyi.“

Nam się zdaje, że nie *sam* ruch ludowy, a raczej „Orędownikowy“, jak go p. dr. Szymański pojmuje, lecz *ogół cały* chłop czy szlachcic, ksiądz czy mieszczanin, kupiec czy rzemieślnik, uczony czy prostaczek, wszyscy złączeni jednem ogniwem miłości bratniej, owiani jednym duchem winni bronić zagrożonej Ojczyzny. Do obrony tego najświętszego ideału mają wszyscy równe prawo i równy obowiązek.

Zresztą ruch „Orędownikowy“ jest za słaby, za mało znaczący, by z pominięciem wszystkich warstw mógł *sam* brać na barki obronę zagrożonej pozycyi naszej; tu już musi p. dr. Szymański nieco pofolgować, by się nie podźwigał pod nadmiernem ciężarym — jak przed dwoma laty. — —

W tej kwestyi zabrał też zaraz głos p. Dr. Karchowski, redaktor „Gońca“, który na wiecu był również obecny i słusznie z naciskiem zaznaczył,

„że wprawdzie cenną i rozumną jest zachętą, ażeby lud i „warstwy średnie“ rozbudziły w sobie poczucie samoobrony, ale że niesłusznem jest *lekceważenie* współdziałania innych wspomnianych przez p. dr. Szymańskiego sfer społecznych, mających porówno z ludem obowiązek, a dzięki Bogu — *żywe poczucie* obywatelskie do wspólnej narodowej obrony. *Bez różnicy płci i wieku, bez różnicy pochodzenia i stanu, bez różnicy wykształcenia — wszyscy porówno i wszyscy wspólnie ramię przy ramieniu bronić powinni, bronić też chcą i będą zagrożonych placówek.*“

Przemawiał też bardzo treściwie p. Stefan Chociszewski z Poznania, zarówno dzielny kupiec jak i gorący patryota w sprawie nauki ojczystego języka i religii, a ciepłemi słowy porówno rozniecał w sercach słuchaczów miłość do mowy ojczystej i wiary, jak też zagrzewał do sumiennej pieczy w domu nad temi najświętszemi skarbami narodowemi.

Wreszcie przemówił raz jeszcze p.

dr. Karchowski charakteryzując położenie nasze w zaborze pruskim i zaznaczając

„iż w systemie antypolskim uwydatniają się jednocześnie dwa środki i sposoby groźne: i to środek upośledzenia materyalnego, zakrawający w przyszłości na to, ażeby głodem złamać energią narodu i środek wygłodzenia duchowego. Upośledzenie zarobkowe, materyalne, nakazuje nam tym skrzętniejszą pracę i tym większą oszczędność; przeciwnie upośledzenie duchowe! Wymaga ono właśnie poświęcenia grosza, — choćby z zarobków skąpych, na strawę duchową, a przedewszystkiem na katechizmy, elementarze, na pieśni polskie, ażeby nie przycichły nigdy i zabrzmieć mogły kiedyś swobodniej w pomyślniejszej dobie.“

W końcu uczczono dzielnego gospodarza p. Mizerę, a także głównego mówcę p. Prenzlera, okrzykiem, za okazane w staraniach i zabiegach przygotowawczych obywatelskie poczucie.

Zamykając wiec przewodniczący, pan Kauss podniósł słusznie fakt, że inicyatywa budującego zebrania wyszła ze sfery włościańskiej, co dla ogółu społeczeństwa tym większą stanowi otuchę.

„Dziennik Berliński“ podaje następujący opis rewizyi u gimnazyasty w Rogoźnie:

„Czuję się zobowiązanym, donieść Szanownej Redakcyi o rewizyi odbytej w naszem kochanem Rogoźnie u gimnazyasty K. W nieobecności jego zjawił się sędzia śledczy p. Engel, burmistrz p. Weise z policyantem Ganzke'm w mieszkaniu tegoż i rozpoczęto ścisłą rewizyę. Znaleziono i zabrano jako corpus delicti: kilka numerów Tygodnika illustrowanego z miesiąca lipca, kilka numerów historyi polskiej Sokołowskiego i tomik literatury przez Doleżana. Rewidowano z całą skrupulatnością, przewracano łóżka, i nawet w skrzypcach poszukiwał p. Weise niebezpiecznych jakich przedmiotów. Przedtem jeszcze posłano policyanta Ganzkego po K. do gimnazyum, i w towarzystwie stróża bezpieczeństwa musiał „delikwent“ wędrować do domu przez większą połowę miasta, zapewne wcale nie miła sytuacya. Podczas przesłuchów w sądzie dowiedział się z ust p. Engla ciekawych szczegółów, i tak, że padło na niego podejrzenie, jakoby należał do jakiegoś politycznego związku tajnego, że znaleziono jego nazwisko w notesie pewnego gimnazyasty ze Sremu, i t. d. Donoszę o tem dlatego Szanownej Redakcyi, ażeby się dowiedziano, że policya państwa pruskiego musi mieć wielki respekt przed młodzieżą polską, kiedy tak baczną na nią zwraca uwagę.“

Naturalnie, że w całej tej sprawie rewizyi u uczniów polskich „Orędownik“ stoi konsekwentnie po stronie pruskiej. Energicznie go za to karci w dalszym ciągu **„Dziennik Berliński:“**

„Nieproszony opiekun młodzieży alias „Orędownik“ strasznie oburzył się na naszą korespondencyą, zawartą w artykule „Naganka na młodzież gimnazyalną“; twierdzi, że robimy sport z całej sprawy, że prezentujemy uczucia i myśli młodzieży w sposób jarmarczy itd. itd., ostatecznie przychodzi do przekonania, że — z redakcyą „Dziennika Berl.“ trudna rozprawa. Istotnie trafił „Orędownik“ w sedno, że z nami trudna rozprawa; to właśnie „Oręd.“ doprowadza do pasyi, że z nami nie może sobie tak łatwo dać rady, jak z poznańskimi politykami. Dlatego odzywa się, już nie do nas, lecz do młodzieży, żeby w kierunku jego uwag zechciała działać. A broń Boże! Mielibyśmy zamiast młodych dzielnych szermierzy — samych kretynów politycznych, przedwcześnie zwiędłą latorośl! Może też być „Orędownik“ przekonanym, że się tego nie doczeka, stanowczo nie!

„Przy tej okazyi zwracamy „Przeglądowi Wszechpolskiemu“ uwagę na tendencyę wszystkich artykułów orędownikowych o rewizyach u młodzieży. „Orędownik“ ani słowem nie zaznaczył jeszcze, że zmienia się nasz stosunek do rządu pruskiego i wskutek tego polityka rządu wobec nas zupełnie inny przybiera charakter. „Orędownik“ jest stanowczym przeciwnikiem prądu, który powoli ogarnia i z czasem ogarnie całą zdrową częścią społeczeństwa.

Nas bynajmniej postępowanie „Orędownika“ nie dziwi. Nie rzucił on dotychczas przekleństwa i swych gromów secesyonistycznych na naszą młodzież, której jedyną winą jest to że zbyt gorąco dążyła do poznania literatury ojczystej, boi się bowiem, aby „warszawską metodą“ nie załatwiono z nim rachunku, ale zresztą jest dobrym „kolegą“ Posenerki, jak to samo przed dziesięciu dniami z wielkiem uznaniem stwierdziła.

Jak z Krakowa donoszą do **„Kuryera Warszawskiego:“**

„Odbył się tam szereg odczytów, które wygłosili najwybitniejsi uczeni i profesorowie tamtejszej wszechnicy. Pierwszym prelegentem był ks prałat dr. Chotkowski, a przedmiotem jego odczytu „Tragedja królewiecka z r. 1566-go“, t. j. mało znany ostatni krwawy akt długoletniego sporu o zwierzchnictwo Polski nad Prusami Książęcemi w XVI wieku. W świetnej formie nakreślił tu uczony badacz zawiązek owych potężniejących usiłowań władców z dynastyi Hohenzollernów, dążących świadomie a wytrwale naprzód do ugruntowania protestantyzmu, następnie do wyzwolenia się z pod zwierzchniczej władzy Zygmunta Augusta, dopóki karzący miecz sprawiedliwości nie wymierzył sobie krwawego odwetu na sprawcach królewieckiego buntu, którzy, przekonani o zdradzie wyrokiem królewskim zginęli na szafocie d. 28-go października 1566-go r.“

Odczyt ks. prałata Chotkowskiego, jednego z chlubnie znanych naszych historyków, podamy po wyjściu z druku w obszernym streszczeniu. Nadmieniamy tylko, że „Orędownik“ będzie musiał znowu stanąć w obronie Hohenzollernów i Prus, odczyt byłego rektora wszechnicy Jagiellońskiej bowiem był jednym aktem oskarżenia przeciw krzyżakom. Szkoda, że protektora Prus, pana Dra Szymańskiego, mistrza dobrego tonu w stylu secesyi, nie proszono na te odczyty, byłby miał bowiem sposobność publicznie tam rozedrzeć na sobie szaty, posypać głowę popiołem i zapłakać, że już chyba Polska zgubiona, skoro nietylko „Praca“, ale i pierwsi luminarze historyi naszej w tak niegrzecznej formie wyrażają się o Prusakach.

W jednem z następnych artykułów zajmiemy się omówieniem kwestyi stosunku do Rosyi. Jak sprawa ta jest w polityce aktualną, dowodzi najlepiej poniższy artykuł **„Kölnische Volkszeitung“:**

„W związku z wielkiemi kwestyami polityki międzynarodowej jedną z najwięcej zajmujących jest ta, że w obudwóch środkowo-europejskich państwach jest walka pomiędzy Słowianami i Niemcami jednym z pierwszych punktów na politycznym porządku dziennym. U nas w „kraju“ ma walka ta wprawdzie mniejsze znaczenie niż gdzieindziej; słowiańska część mieszkańców jest liczebnie tak słaba, że nie może nigdy zakwestyonować narodowo-niemieckiego charakteru państwa. Inaczej w Austryi, tam chodzi w ostatniej instancyi o to, czy państwo ma mieć niemieckie, czy słowiańskie piętno.

„Jeżeli w Austryi Niemcy nie mogą zawojować Słowian, to tłómaczy się to większą liczbą ostatnich. Zresztą uczynili oni w ostatnich latach bardzo znaczne postępy w wykształceniu i dobrobycie. Że jednakże i u nas w kraju germanizacya Polaków nigdy się nie udawała, pokazuje jasno, jak wyższość kultury w walce międzynarodowej nie gra wcale rozstrzygającej roli. Prof. Delbrück zastanawia się w „Preuss. Jahrbücher“ nad tem, które stronnictwo w Niemczech jest najszczęśliwsze, i dochodzi do wniosku, że Polacy. Bo najpierw są niezwyciężonymi, powtóre utrzymuje ich rząd przez dawane im ciągle szturchańce zawsze w czujności, po trzecie wychodzą wszystkie środki wyjątkowe, które tylko wymyślono na ich zgubę, na ich korzyść. My wierzymy, pisze dalej „Köln. Volksztg“, że prędzejby jeszcze można zmienić socyalnych demokratów na monarchistów, żydów na chrześcian, a wolnohandlowców na zwolenników ceł ochronnych, jak Polaków na Niemców.

„W Rosyi śledzą pilnie walkę pomiędzy Słowianami a Niemcami i w obydwóch środkowo-europejskich państwach, a ponieważ w Polsce kongresowej stoi pod bronią 500,000 żołnierza rosyjskiego i nowego powstania polskiego już się obawiać nie trzeba, narzuca się tam gwałtem myśl, żeby skorzystać z tej walki narodowościowej, aby skierować wodę na młyn rosyjski. Jeżeli Rosya ma zamiar narzucić się jako opiekunka wszechsłowiańszczyźnie, potrzebne jej naturalnie zapoczątkowanie przyjaznego stosunku z Polakami i, rzecz charakterystyczna, teatr polityki rusyfikacyjnej przenosi się w najnowszych czasach coraz więcej od Wisły do prowincyi nadbałtyckich; nawet Finlandczycy, którzy dótąd pozostawali niezaczepiani, cierpią obecnie więcej, jak Polacy (?). Powinniśmy przecież patrzeć jasno, dokąd ten kierunek prowadzi. Idzie ruch przeciwko niemczyźnie, a na służbie tej panslawistycznej polityki stoją, Bogu ducha winni, w dziecięcej nieświadomości poczciwi hakatyści, którzy, jak naganiacze na polowaniu, *starają się przepędzić Polaków do obozu rosyjskiego.*“

Uwagi pisma kolońskiego są najzupełniej trafne, aczkolwiek spóźnione.

Nie mieliśmy dotychczas sposobności zacytować wybornego artykułu **„Wielkopolanina“** p. t. „Germanizacya przez kościół;“ oto co „Wielkopolanin“ w Nr. 19 pisze:

„Jeżeli mówimy „germanizacya przez

Kościół", nie należy tego tak rozumieć, jakoby niebezpieczeństwo to mieściło się w zasadach naszego kościoła. Niebezpieczeństwo germanizacyi przez Kościół polega na tem, że głosicielami nauk Kościoła są często kapłani, innej niż my narodowości, a więc innych narodowych wyobrażeń i zapatrywań.

„Zanim bliżej wyświetlimy trudność stanowiska księdza Niemca-katolika w polskiej parafii, trzeba nam wyjaśnić inną kwestyą.

„U nas jest jeszcze wielu takich, którzy nie rozróżniają dość ściśle narodowości od wiary.

„Otóż tak mało jest Polaków niekatolików, że pojęcie polski i katolicki tak silnie z sobą się złączyło, że trudno nam jedno od drugiego odłączyć.

„A jednak mamy przecież Polaków ewangelików, mamy Polaków kalwinów — pokazuje się więc z tego, że można być Polakiem, a nie potrzeba być katolikiem.

„Niech naszych słów nikt mylnie nie rozumie. My tak silnie zrośliśmy się z Kościołem katolickim, tak bardzo przywiązaliśmy się do wiary katolickiej, do wiary bohaterskich naszych ojców, że z całego serca życzymy, aby wszyscy Polacy byli prawymi i szczerymi katolikami,zresztą nasz interes polityczny wymaga, abyśmy byli katolikami.

„Jeżeli więc napisaliśmy, że można być Polakiem, chociaż się nie jest katolikiem, to jedynie dla wykazania, że polskość a katolicyzm to nie jedno i to samo, że narodowość i wiara są pojęcia inne, jakkolwiek dzieje narodu mogą w poszczególnym razie tak ściśle te pojęcia z sobą złączyć, że pojęcia te uważa się niemal za równe, co u nas zachodzi.

„Dlatego my możemy prawie bez wahania powiedzieć, że wszystko co polskie to i katolickie, ale w żadnym razie nie możemy powiedzieć, że wszystko co katolickie jest zarazem polskiem.

„To koniecznie trzeba zrozumieć, aby ocenić i zrozumieć pojęcie „germanizacya przez Kościół".

„Germanizacya przez Kościół, jako instytucya Boska nie istnieje, ale jest niebezpieczeństwo, że sługa Boży, całkiem przejęty swą narodowością, i innej niż parafianie narodowości, będzie chciał swym parafianom narzucić swą narodowość, korzystając z tego wszystkiego, co mu daje wspólność interesów wiary.

„Na takie niebezpieczeństwo narażone są polskie parafie mające księży Niemców katolików.

„Widzimy to na Górnym Slązku, widzimy to w Prusach Zachodnich, a już i u nas znachodzą się takie parafie. A kto wie, czy pod coraz większym naciskiem niemczyzny niebezpieczeństwo to z dniem każdym rosnąć nie będzie.

„Dlatego uczmy się już dziś ściśle odróżniać narodowość od wiary."

Artykuł powyższy właśnie dlatego, że się pokazał na łamach „Wielkopolanina", jest bezwątpienia najdonioślejszy ze wszystkich, które się od dawnego czasu ukazały na łamach pism naszych.

„**Przegląd Katolicki**" zamieszcza tekst ody Ojca św. na początek nowego stulecia, oraz przekład p. J. Wabnera. Tekst nosi tytuł: „An. Christ. MDCCC Pridie Kalendas Januarias Jesu Christo adventis saeculi auspicia." Oda rozpoczyna się słowami: „Cultrix bonarum nobilis artium decedit aetas." Przytaczamy z niej początek i ostatnie strofy w przekładzie:

Stoczył się w wieczność stary wiek, który z zapałem
Uprawiał sztuk tak wiele. Czy z dobrem niemałem
Dla wszystkich i czy nowe siły znów przyrody
Odkryto, o tem, kto chce, niechaj pisze ody,
Ja zaś na to myśl zwracam, jakie spłodził grzechy.

Dalej Ojciec św. zwraca uwagę na błędy stulecia i kończy:

O! Zbaw nas, o Jezu, czasów przyszłych wodzu!
Oto dziś ich zaczątek; — niech łaski Twe schodzą
Na nas — niechże narody na skinienie Twoje
Ku lepszym dążą celom, porzuciwszy boje.

Rozsiej w koło nasiona błogiego pokoju;
Niechaj odetchną ludy po wojennym znoju;
Niech koniec wezmą gniewy i rozterki zdrożne:
Niechaj w otchłań zapadną zamysły bezbożne.

Niech myśl jedna pod wodzą Twą połączy trony,
By prawom Twym należny honor był zwrócony,
Niech wiara wspólna wszystkich zgodzi i pojedna;
Niech Pasterz jeden będzie i owczarnia jedna.

Jam u kresu pielgrzymki: secinę lat prawie
Za łaską Twą pracuję; zwieńcz trud mój łaskawie;
Uczyń to, Panie, uczyń:— niechaj nie zostanie,
Bez skutku to gorące Leona błaganie.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Berlin, w lutym.

Kochana „Praco!"

Jakkolwiek nie upoważniony, czuję się jednak uprawnionym do wyrażenia Szanownej „Pracy" od nas wszystkich serdecznego uznania i słów podzięki za tak życzliwe i troskliwe zajmowanie się sprawą, która kolonią polską w Berlinie coraz to więcej zajmuje — sprawą braku opieki duchownej i sprawą germanizacyi wychodźców przez kościół. Do tej to sprawy i ja słów parę chcę dorzucić, a to tembardziej, że ze strony żywiołów, które się obecnie narzucają w Berlinie na przewodników kolonii polskiej, podniesiono zarzut, iż dotychczasowi kierownicy, a w pierwszej linii zasłużony p. Berkan, niedość starali się o polskie nabożeństwa.

Jak wiadomo, pod przewodnictwem p. Berkana odbył się w grudniu 1900 roku w Berlinie wielki wiec polski w celu żądania od władzy duchownej więcej polskich nabożeństw dla Berlina, a zaprowadzania ich choć w wyjątkowe święta w tych parafiach, które — jak np. Rüdersdorf, — mają kilka tysięcy parafian Polaków, a doprosić się nie mogą polskich kazań.

Na tym wiecu podnoszono rozmaite zarzuty przeciw duchowieństwu berlińskiemu i przytaczano rozmaite fakty, świadczące o nietolerancyi księży berlińskich.

Jeden z mówców przytoczył przykład, że wypadło mu raz prosić jednego z miejscowych księży, ks. Kapenberga, aby w dniu poświęcenia chorągwi dla polskiego towarzystwa mogło się odbyć wyjątkowo już nie polskie kazanie, ale polskie śpiewy i przemowa polska. Ks. Kapenberg stanowczo odmówił i oświadczył, że na polskie nabożeństwo nie pozwoli, ponieważ naraziłby się na słuszne krytyki ze strony konfratrów i parafii niemieckiej.

Gdy petent oświadczył, że sam uprosi któregokolwiek z posłów, polskich księży, aby odprawił nabożeństwo z polską przemową, proboszcz i na to się nie zgodził, a nawet zauważył, że księża polscy są fanatykami, lud bałamucą, odwodzą od wierności dla państwa itd.

Wogóle kwestya śpiewu polskiego w kościele traktowaną jest przez niemieckich księży z punktu widzenia wyłączności niemieckiej. Jeszcze za szczęście uważać sobie może kolonia polska, gdzie jej wogóle pozwolą w pewne niedziele odśpiewać jedną lub dwie pieśni polskie, naturalnie za odpowiedniem — opodatkowaniem.

W Berlinie w parafii św. Piusa, gdzie mieszka 15 tysięcy Polaków, ubogie towarzystwo polskie św. Cecylii, mające na celu pielęgnowanie śpiewu kościelnego, opłaca organiście podatek miesięczny za to, aby tylko wolno było w pewne niedziele śpiewać polskie pieśni.

Ten system specyalnego opodatkowania Polaków wywołuje naturalnie protesty. W styczniu 1901 roku odbył się wiec Polaków parafii św. Piusa, na którym przyjęto taką rezolucyę:

„Zebrani na wiecu w dniu 6 stycznia parafianie z parafii św. Piusa ubolewają, że władze parafialne nie traktują Polaków tak jak niemieckich katolików pod względem polskiego nabożeństwa, wypełniania obrządków kościelnych oraz stosownego wynagradzania organisty i opłacania wydatków na śpiew kościelny. Wiec domaga się, aby dozór kościelny usunął wszelkie powody do skarg i odtąd opłacał odpowiednio organistę polskiego i ponosił wydatki na polski śpiew kościelny i wogóle starał się uczynić zadość wszelkim potrzebom polskich parafian. Wiec wyraża ubolewanie, że żaden z księży parafialnych na wiec nie przybył."

Takie traktowanie po macoszemu sprawy polskiego duszpasterstwa budzi w najszerszych warstwach ludności polskiej żywe niezadowolenie i oburzenie. *D.*

* *
*

Bochum.

Kochana „Praco!"

Naturalnie, że tak ożywiona kolonia polska, jak Bochum, posiada większy niż inne kolonie westfalskie procent kupców i rzemieślników Polaków. Są tu Polacy krawcy, szewcy, stolarze, piekarze, właściciele handli z wiktuałami i z gotowemi ubraniami.

Zamieszkali w Bochum Polacy pochodzą po większej części z Poznańskiego. Jest też pewien procent z Prus, natomiast ze Slązka pochodzi bardzo mało.

O organizacyi bochumskiej kolonii polskiej dobrze świadczy istniejący tu komitet, który urządza dla dzieci polskich wspólne wycieczki w lecie.

W Bochum przebywa wielka liczba polskich Mazurów wyznania ewangelickiego. Mają oni swe odrębne towarzystwa, swój specyalny dom modlitwy (*Betsaal*) i z Polakami się nie komunikują.

Bardzo byłoby pożądane, aby „Związek Polaków“ mający siedzibę swą w Bochum zechciał wydrukować swe statuty i rozdać pomiędzy członków. Dziś bowiem tak jest, że się tylko płaci, otrzymuje się kartę legitymacyjną na dowód, że się zapłaciło, a o prawach członków mało co kto wie.

Słyszałem, że tutajsze Towarzystwo św. Barbary nie odesłało jeszcze swego formularza statystycznego rzekomo z powodu obaw, że wszystko będzie wydrukowane, co poda zarząd. Naturalnie, że tak nie będzie, bo na tem właśnie polega cała statystyka, że na podstawie pojedyńczych cyfr, wiadomych tylko jednej osobie, otrzymuje się obraz ogólny, a więc w danym razie — całe położenie wychodźtwa polskiego w Niemczech. Nadmieniam przytem, że obecny przewodniczący jest człowiekiem niezmiernie rozsądnym, który własnej swej pracy i umiejętności zawdzięcza dobry kawałek chleba i znaczenie między wychodźcami. *K.*

* * *

Zgorzelice.

Kochana Praco!

O ile pominiemy Sląsk Górny, jako czysto polski, to na całej przestrzeni pruskiego Śląska napotkamy tylko trzy osady polskie, a mianowicie: kolonię we Wrocławiu, w Zgorzelicach i Zielonej Górze (*Grünberg*).

Naturalnie pomijamy tu miejscowości, w których czasowo tylko bawi ludność przechodnia — obieżysasi. Obieżysasów polskich jest pełno wszędzie: na Sląsku pracują przeważnie przybysze z Galicyi.

W Zgorzelicach (Görlitz) mieszka wprawdzie około 800 Polaków, ale to jest jedna z najmniej ożywionych kolonii.

Przed czterema laty założono w Zgorzelicach towarzystwo Przemysłowców polskich, które po krótkim czasie upadło. Założono później towarzystwo socyalistyczne „Oświata“, które też długo się nie utrzymało i ustąpiło miejsca „Towarzystwu Robotników polskich“, założonemu w 1899 roku. Towarzystwo to, bardziej pomawiane o socyalizm, niż naprawdę socyalistyczne, pokaźnej liczby członków pod swym sztandarem nigdy nie zgromadziło. Liczba członków waha się pomiędzy 40-ma a 14-ma. Obecnie ma tam być kilku bardzo inteligentnych i gorliwych ludzi, którzy się starają o zorganizowanie kolonii polskiej. W 1900 roku zawiązało się towarzystwo „Czytelni Ludowych“, mające na celu rozpowszechnianie książek polskich. Sprowadzono z „Czytelni Ludowych“ w Poznaniu książki i w ciągu pięciu miesięcy rozpożyczono 120 książek, a zapotrzebowanie coraz się wzmaga.

Z wyjątkiem kilku drobnych kupców, cała kolonia polska w Zgorzelicach składa się z rzemieślników i robotników fabrycznych.

Łączność pomiędzy Polakami jest po za towarzystwem dość wielka. Przyczyniają się do tego mianowicie co kwartał urządzane zabawy i amatorski teatr. Ponieważ jednak niema polskich dziewcząt, z musu zapraszane są na zabawy Niemki, co nadaje całej zabawie charakter niemiecki. Na te zabawy przyjeżdżają niejednokrotnie polscy robotnicy aż z Budziszyna (Bautzen, w Saksonii), którzy tam pracują w fabryce wagonów.

Nawpół socyalistyczny charakter towarzystwa polskiego, objaśnić sobie można lokalnymi warunkami, mianowicie stosunkiem do władzy duchownej. Księża tamtejsi nie chcą słyszeć nawet o tem, aby choć raz na rok sprowadzić kapłana Polaka, któryby mógł wyspowiadać nie umiejących po niemiecku i powiedzieć kazanie. Opieka duchowna w polskim języku przyczyniłaby się znakomicie do podniesienia etycznego poziomu pracujących w okolicy Zgorzelic setek ludu polskiego wiejskiego. Gdy jednak wydelegowana z łona kolonii Zgorzelickiej deputacya zwróciła władzy uwagę, że w Zgorzelicach i okolicy jest parę tysięcy ludu polskiego, który nie chodzi do kościoła, bo nie rozumie po niemiecku, — usłyszano odpowiedź: „Jeśli nie rozumieją, to niech nie chodzą, dopóki się nie nauczą“.

Słowa takie naturalnie wywołały rozgoryczenie przeciwko miejscowym księżom, które się tem bardziej wzmogło, gdy księża, chcąc poskromić oponentów, ogłosili ich za socyalistów. W istocie jednak są to ludzie, o bardzo gorącem poczuciu narodowem, socyalizm ich ogranicza się do robienia, słusznych zresztą zarzutów pod adresem miejscowego duchowieństwa i do żądania lepszych warunków bytu dla klasy robotniczej. Między nimi rozpowszechniona jest bardzo poznańska „Praca“ — organ, który z socyalną-demokracyą nie miał nigdy nic wspólnego. [redacted]

Do wielkiego rozgoryczenia rozbudzonej narodowo części kolonii polskiej w Zgorzelicach przyczynia się niezmiernie i ta okoliczność, że księża niemieccy, wciągają Polaków do t. zw. „Katholischer Männerverein“. Ogółem liczy towarzystwo to ze dwustu członków, z których przynajmniej jest stu Polaków. Ale tak ich trzymają tam w ryzach, że niema ich ani w zarządzie, ani nie znać na zebraniach, że tam istnieją. Gdyby się dosstali do towarzystwa polskiego, to po upływie roku już trzymali by gazety polskie, ale pod opieką księdza za parę lat zapomną ojczystego języka. „*Kriegerverein*“ niemiecki też liczy sporą liczbę Polaków. *Silesius.*

* * *

[redacted] *Brandenburg.*

Szanowna Redakcyo!

„Praca“ ma tu w mieście Brandenburgu nad Hawelą cały zastęp zwolenników i przyjaciół, do których i piszący ten list należy.

W Brandenburgu Polaków nie jest wielu — ogółem może z 500 osób, urodzonych w prowincyach polskich. Koncentrująca się w Brandenburgu dla północnych Niemiec fabrykacya rowerów i automobilów daje dobry i pewny zarobek zdolnym mechanikom i ślusarzom. Od r. 1890 istnieje towarzystwo polskie „Sobieski“, liczba członków którego nie dochodzi wprawdzie jeszcze 50, które jednak stara się o przeciwdziałanie germanizacyi przez odczyty oryginalne lub z „Pracy“. Przy towarzystwie istnieje kółko śpiewackie i dobrze się rozwija. Księdza polskiego naturalnie niema na miejscu: kazanie i spowiedź polska odbywa się raz do roku, gdy w porze letniej przybywa ksiądz Polak do Brandenburga. *Towarzysz.*

* * *

Hamme, Westfalia.

Kochana Praco!

Ośmielam się napisać słów kilka o Polakach, zamieszkałych w Hamme (Westf.)

Hamme położone jest w bezpośrednim sąsiedztwie Bochum, a z tego powodu Bochum koncentruje niejako wszelkie objawy życia polskiego, a to tembardziej, że tylko w Bochum odbywają się nabożeństwa polskie.

Hamme jest to mała osada fabryczna. Polaków ogółem jest jednak dość znaczna liczba. Samych górników podług statystyki urzędowej jest 740 co wraz z ich rodzinami i pracującymi w innych branżach uczyni do 2-ch tysięcy. Są to przeważnie ludzie ze wsi, którzy choć mogliby równie dobrze mieszkać w Bochum, pracując w tej samej kopalni węgla, przekładają pobyt w małej osadzie. Istniejące tu towarzystwo polskie „pod opieką serca Jezusowego“, rozwija się szybko. W r. 1899 liczyło 46 członków, dziś ich ma przeszło stu i abonuje dużo gazet. Znaczna liczba przebywa tu już od lat kilku, a nawet kilkunastu. Oprócz kopalń istniejące tu fabryki żelazne dają licznym Polakom zatrudnienie.

Z pozdrowieniem

Wędrowiec.

* * *

Bottrop, Westfalia.

Szanowna Redakcyo!

Bottrop jest jednem z tych miast westfalskiego okręgu przemysłowego, które najwięcej liczą ludności polskiej. Podług zestawień urzędowych przebywa w Bottropie 7—8 tysięcy Polaków. Samych górników jest 1971, — reszta przypada na ich rodziny i zatrudnionych w innych gałęziach przemysłu Polaków. Pomimo tak znacznej liczby przebywających stale Polaków istnieją zaledwie dwa małe kramiki, prowadzone przez Polaków.

Towarzystwa tutajsze są dość liczne i ruchliwe.

Charakterystycznym rysem tutajszej kolonii polskiej jest to, że składa się ona w przeważnej części z Górnoślązaków, których między górnikami jest 1500. Odpowiednio do tego i w towarzystwach procent Górnoślązaków jest największy. Naturalnie, że z małymi wyjątkami czują się oni Polakami i również energicznie krzątają się około zachowania narodowości, jak i Wielkopolanie.

Opieka duchowna jest niżej wszelkiej krytyki. Ani proboszcz ks. Müller, ani rektor ks. Holtz (w Boyer) nie dbają o zadośćuczynienie potrzebom ludności polskiej.

Na wzmiankę osobną zasługuje „Związek wojacki“ (Kriegerverein). Składa się on prawie wyłącznie z Polaków. Rozmawiają oni ze sobą na posiedzeniach po polsku wtedy, gdy się już w żaden sposób po niemiecku ze sobą porozumieć nie mogą. *Wędrowiec.*

* * *

Bruch.

Kochana nasza „Praco“.

Gdy widzę, jak z całej naszej Westfalii do Ciebie Polacy pisują o miejscowościach, gdzie mieszkają, i mnie bierze chętka zapytać, czy nasz *Bruch* wywiązał się dobrze z obowiązku nadesłania formularza statystycznego. (Nadesłało Tow. św. Michała, natomiast inne, drobne Towarzystwa *nie* nadesłały, więc o nich wzmianki nie będzie. Red.)

Bruch należy do największych kolonii polskich w Westfalii. Jest tu przeszło 7 tysięcy Polaków i cały szereg towarzystw polskich. Prawie niema domu, w którymby Polacy nie mieszkali, a na ulicy się wciąż słyszy mowę polską.

Prezesem największego towarzystwa nietylko w Bruchu, ale w Westfalii — towarzystwa św. Michała — jest p. Wojciech Chwałkowski. Towarzystwo św. Michała, założone w 1888 roku, rozwija się pomyślnie i liczy dziś 760 członków. Wpływ tego towarzystwa na życie miejscowych Polaków jest bardzo doniosły, najlepszym zaś tego dowodem jest fakt, że z pomiędzy 300 członków, którzy się ożenili na obczyźnie, tylko 20 ożeniło się z Niemkami, a i to w większości wypadków z katoliczkami, które się uczą po polsku.

Wychodźcy tutajsi pochodzą przeważnie z Poznańskiego. „Pracy“ z Poznania przychodzi około 60 egzemplarzy.

Oprócz towarzystwa św. Michała jest kółko śpiewackie „Fiołek“, liczące 100 członków, a założone w roku 1896, bardzo pożyteczne i ruchliwe. (NB. dotąd jeszcze nie odesłało swego formularza. Redakcya.)

Towarzystwo „Przemysłowców“ liczy niewielu, bo tylko 30 członków.

Pozatem są jeszcze dwa towarzystwa loteryjne, jedno złożone z samej młodzieży, a drugie z żonatych ludzi, oraz towarzystwo różańcowe Polek i towarzystwo św. Wincentego á Paulo, które opiekuje się wdowami i sierotami polskiemi. Na czele tego towarzystwa stoi 30 członków, którzy odwiedzają co miesiąc zamieszkałych w Bruchu rodaków, zbierają datki i powierzone swej pieczy podupadłe rodziny wspierają. Wsparcia udziela się co tydzień, a z wydanych zasiłków obowiązkowo nabywać biedni muszą wszystko tylko u kupców Polaków, którzy otrzymują pieniądze wprost z towarzystwa, a towar wydają za okazaniem kwitków.

Polacy tworzą w Bruchu połowę parafii katolickiej. Jest około dwóch tysięcy kobiet polskich, tyleż dzieci a do trzech tysięcy mężczyzn, którzy pracują poczęści w kopalniach, poczęści zaś we fabrykach i koksowniach. — Pozdrowienie „Pracy“ w imieniu rodaków z obczyzny.

Z szacunkiem

W. C.

(O przyobiecany obszerny list bardzo prosimy. Red.)

* * *

Brema.

Kochana „Praco!“

Dawno już nie czytałem wiadomości z naszej tu kolonii polskiej, wśród której przecież tyle Czytelników ma „Praca.“ Więc chcąc się przyczynić do ożywienia korespondencyi, donoszę przedewszystkiem, że jeszcze nie została ukończona sprawa funduszów owego polskiego ołtarza w Bremie. Jak wiadomo, wiec polski postanowił, aby wobec zakazu budowy polskiego ołtarza, przeznaczyć zebrany fundusz na czytelnię polskie, ale oto część funduszu, zebraną przez towarzystwo „Kościuszko“, zatrzymał ksiądz Niemiec i nie chce wydać.

Tutajsi księża chętnie rozdają Polakom książki niemieckie i namawiają do abonowania pism niemieckich, jak „Germania“, „Nordische Volkszeitung“ „Kölnische Volkszeitung“, a przeciwko polskim pismom i książkom agitują, wskutek czego wierzący katolik Polak dostaje się w przykre położenie zwracania uwagi na niestosowność takiego odmawiania gazet.

Zajścia, jak powyższe, przyczyniają się do otrzeźwienia narodowego i wydobycia z pod wpływów germanizujących towarzystw katolickich niemieckich. Ale grono ludzi krzątających się około wzbudzenia ruchu polskiego wśród wychodźców, uskarża się, że masy ulegają tym germanizującym wpływom księży. Niedawno Polacy założyli czytelnię polską, do zarządu której należy po 1 członku z każdego towarzystwa polskiego.

W okolicy Bremy jest bardzo dużo Polaków robotników z Królestwa.

Do towarzystw należy ogółem do stu dwudziestu członków. Jest to liczba niewielka, ale te towarzystwa są niejako osią ruchu polskiego, urządzają wiece, na które schodzi się do tysiąca Polaków i abonują cały szereg doborowych pism polskich. Niedawno przejezdny kolporter rozprzedał kilkaset książek polskich i naukowych broszur — co dobrze świadczy o potrzebach umysłowych tej kolonii polskiej. Każdy wiec i każde wystąpienie publiczne Polaków zgóry jest omówione i obmyślane przez delegatów towarzystw. W ostatnich trzech latach odbyło się 17 wieców, na których wygłoszono referaty: 1) narodowo-historyczne, 2) polityczne 3), ekonomiczno-społeczne. Kilkakrotnie już sprowadzano zamiejscowych prelegentów — aby tylko ożywić kolonię polską.

Polacy, zamieszkali stale w Bremie, znajdują zajęcie przeważnie w warsztatach okrętowych, przy robotach w porcie, wyładowywaniu okrętów, w fabrykach oleju, przędzalniach juty, w zakładach szewskich, krawieckich i przy przedsiębiorstwach murarskich.

W towarzystwach poraz pierwszy zapoznała się z gazetami polskiemi prawie połowa członków.

Z zawartych na obczyźnie przez członków towarzystw 60 małżeństw — było przeszło 50 z Polkami.

Wszystkie towarzystwa bremeńskie najskrupulatniej wypełniły swój kwestyonaryusz i odesłały do „Pracy“ dając tem dowód swej inteligencyi.

Z szacunkiem

K. S.

* * *

Z Bernburga. (Anhalt.)

Szanowna Redakcyo!

Już dawno oczekiwałem korespondencyi z naszego miasta, ale tutajsi czytelnicy „Pracy“ są widocznie zdania, że Redakcya nie chce im korespondencyi osobnej poświęcić, bo tylko 10 egzemplarzy „Pracy“ do Bernburga przychodzi. Ale teraz od kwartału powinno być lepiej.

W Bernburgu i najbliższej okolicy można naliczyć do czterysta rodzin polskich, a mianowicie ze trzysta osób w samem mieście, a ze siedemset w okolicy. przeważna część pochodzi z Poznańskiego. Z Prus Zachodnich i ze Slązka jest niewielu wychodźców. Są to przeważnie robotnicy. Rzemieślników prawie wcale niema, natomiast jest dużo takich, którzy się dawniej rzemiosłem trudnili, a dziś pracują jako prości robotnicy.

Zapotrzebowanie robotników jest znaczne, mianowicie do kopalń i fabryk, jak niemniej i do zajęć w polu (sezonowych).

W Bernburgu jest kilka fabryk soli i przetworów chemicznych, służących na sztuczne nawozy, fabryka cementu zatrudnia też dużo ludzi.

Skala zarobkowa nie wysoka: w kopalni i w fabrykach od 2 m. 50 fen. do 4 m. dziennie, w rolnictwie zaś, po okolicznych folwarkach wynosi od 2 m. do 3 m., przytem wolne pomieszkanie i $^1/_4$ do $^1/_2$ morgi pod kartofle.

Germanizacya robi bardzo szybkie postępy, mianowicie wśród pracujących po wsiach Polaków, którzy germanizując się równocześnie się protestantyzują i dzieci nie posyłają do szkoły katolickiej.

Natomiast w samem mieście zamieszkali Polacy nie ulegają tak szybkiej germanizacyi, choć i wśród tych łatwo znaleźć takich, co po polsku już zapomnieli, a po niemiecku jeszcze się nie nauczyli.

Towarzystwo polskie istnieje od roku 1894 i liczy obecnie 26 członków. Jest to bardzo mało — gdy się zważy, że prawie dwa razy tyle należy do „Katholischer Männer- und Jünglings Verein“.

Przy towarzystwie zawiązało się dzięki staraniom jednego z inteligentnych Polaków kółko śpiewackie i niemało się przyczynia do ożywienia towarzystwa.

Opieki duchownej wprawdzie niema w polskim języku, ale przynajmniej proboszcz ks. Schliz nie germanizuje z przekonania, lecz odznacza się życzliwością ku Polakom, pozwala im śpiewać polskie pieśni nabożne w kościele i nie sprzeciwia się jeśli chodzi o akompaniament na organach. Stosunek więc do miejscowej władzy duchownej nie byłby złym, gdyby nie brak polskich kazań. Proboszcz jednak obiecuje, że się po polsku nauczy i polskie kazania będzie miewał. Proboszcz bywa na posiedzeniach towarzystwa, a w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia pozwolił Polakom śpiewać polskie uroczyste pieśni na Boże Narodzenie, co wśród kolonii polskiej wywołało ogólne rozrzewnienie.

Z pozdrowieniem

Pokor: Spich:

Piosenka dzwoni...

Jest w każdem sercu pierworodna nuta,
Co w nie spłynęła z mlekiem karmicielki,
I choćby była pierś z granitu kuta,
Choćby ją spiżem pancerzył czyn wielki,
Dla tego dźwięku zawsze kącik miewa,
Nosi go w sobie i w zadumie... śpiewa!

Nosi go w sobie, jak szkaplerz święcony
Dla każdej doli i każdego chleba...
A gdy myśl rzuci wspomnień most zwo-
[dzony
Do pierwszych blasków dziecinnego nieba,
Piosenka dzwoni... dzwoni... dziwnie blizko!
Tuż... tuż! jak dawniej grała nad kołyską!

Czujesz jej oddech gorący na duszy
I prośbę rzewną, i dłoń, co cię tuli...
I znów jak dawniej oko łzami prószy...
I woła echem: luli, mały! luli!...
I chciałbyś zasnąć na wieki w tem echu,
Jak dawniej, dzieckiem... bez łez i bez
[grzechu!

I masz na chwilę wizyę odkupienia,
Jakbyś już kielich życia wypił do dna...
Jakby modlitwą były te wspomnienia,
A rozgrzeszeniem nuta pierworodna!
Jakby ci wszystko przemazanem było
Za ten dźwięk jeden, co go serce skryło!

Więc choćby była pierś z granitu kuta,
Choćby ją spiżem pancerzył czyn wielki,
Ilekroć w duszy załka owa nuta —
Wyciągnij ręce jak do karmicielki,
Jako przed matką uchyl hardej skroni
I proś niech śpiewa! niech wspomnieniem
[dzwoni!

K. Laskowski.

Warszawa, 3. III. 1901

Z ojczystych stron.

XXXIII.

Lwówek.

„Żywot krwawy — krwawej sławy,
„Kto zapomni z nas!
„Lud nasz chrobry i w czas dobry
„I w najgorszy czas!....“

Koło r. 1400 stały tam, gdzie dziś leży Lwówek, dwie wsie, Wojsina i Wieciewysina, należały zaś do jednego z najpotężniejszych magnatów polskich, Sędziwoja z Ostroroga, wojewody poznańskiego. Ogromne lasy i ziemie były jego własnością, a ponieważ wszystko to leżało odłogiem, przeto postanowił za przykładem innych panów zakładać osady i wsie i zaludniać je kolonistami. Przedewszystkiem jednak pragnął założyć miasto, i w tym celu wyjednał pozwolenie Władysława Jagiełły, bawiącego wówczas w Brodnicy, w Prusach. Król więc pozwolił mu obiedwie, wyżej wymienione wsie połączyć i utworzyć miasto, któremu też zaraz nadał prawo magdeburskie. Miasto zwało się teraz Wojsinem. Napływ kolonistów był tak wielki, że wkrótce zabrakło miejsca w obrębie nowozałożonego miasta, i Sędziwój zawarł z nimi kontrakt, (istniejący do dziś jeszcze) na mocy którego wolno im było budować domy po za obrębem Wojsina. Z tego wynikło, że w kilku latach powstało nowe miasto, w blizkości starego, i otrzymało nazwę: Lwów. Najwyższym urzędnikiem był burmistrz i radni, którzy musieli co rok składać dokładne rachunki najstarszym obywatelom — ostatnią zaś instancyą we wszystkich sprawach był dziedzic. Założono budy rzeźnickie, piekarskie i warsztaty sukiennickie, a nawet łazienki, w których dziedzicowi i rodzinie jego wolno się było kąpać za darmo, inni musieli za każdą kąpiel płacić.

Obywatele mogli kupować tyle ziemi, ile chcieli, podatek od włóki wynosił na dzisiejsze pieniądze 50 fen, dziedzic zaś podarował miastu cały kawał lasu z warunkiem, aby obywatele zakładali ogrody i uprawiali chmiel. Z podatków brał dziedzic tylko jedną połowę — drugą przeznaczył raz na zawsze kasie miejskiej, na pokrycie rozmaitych wydatków. Co do rzemiosła, to w pierwszych latach nie wolno było w obrębie mili osiedlać się ani szewcom, ani krawcom, ani kowalom, później ograniczono zakaz ten na pół mili. Tak samo działo się z piwowarstwem; w żadnej wsi sąsiedniej nie było piwowara, a każdy musiał pod karą brać piwo z Lwowa. W tym czasie wybudował Sędziwój kościół, szkołę i szpital.

Pod takiemi korzystnemi warunkami osiedlili się tutaj więc koloniści. W nowem mieście utworzono najpierw rynek, potem ulice na 4 strony i dalej znowu obszerny plac, na którym stanąć miał drugi kościół.

Miasto otoczono murem i rowem i zbudowano bramy, z których jedna, międzyrzecka, zachowała się jeszcze aż do naszego stulecia. Dlaczego miastu nadano nazwę Lwowa, tego nie wiadomo, podług podania ludowego leżą w jednym z stawów, w blizkości miasta dwa wielkie kamienie, za któremi znajdują się żelazne drzwi.

Skoro dwa potężne lwy, mieszkające poza temi drzwiami, wydostaną się na wolność, wtedy woda całe miasto zaleje. W dawniejszych czasach leżały także po nad drzwiami kościoła katolickiego dwa lwy, rzeźbione z drzewa, które jednak usunięto przy odnawianiu kościoła. W herbie miasta jest również lew. — Od połowy 16-go wieku nazwano miasto Lwówkiem.

Zkąd pochodzili najstarsi osadnicy miasta, tego także nikt nie wie, ponieważ jednak w starych kronikach spotykamy kilka nazwisk niemieckich, przeto można przypuszczać, że i Niemców tu nie brakło od samego początku. O dalszych losach Lwówka mało mamy wiadomości, co dowodzi, że mieszkańcy żyli spokojnie i że dobrze im się działo. Musiało to w każdym razie być dosyć wielkiem miastem, w razie wojny bowiem miało obowiązek dostarczenia 11 zbrojnych, podczas kiedy sąsiednie Pniewy stawiały tylko 2. W r, 1582 było we Lwówku 24 rzeźników, 18 krawców i 28 kapeluszników. W 16 stuleciu znajdowały się tam 4 katolickie kościoły, z których Fara zbudowana w stylu gotyckim, później często zmieniana i odnawiana, do dziś jednak po części zachowała swój właściwy charakter.

Najważniejszem zajęciem obywateli było piwowarstwo. Piwo tutejsze rywalizowało nawet z piwem grodziskiem a sławę jego zawdzięczano głównie Andrzejowi Wolanowi, który urodzony we Lwówku w r. 1530 udał się później z Radziwiłłem na Litwę i stał się jednym z najsławniejszych mądrością mężów stanu. On i ojciec jego, Jan Wolan, burmistrz miasta, sprowadzali piwowarów z Czech do Lwówka i Grodziska i uprawiali w całej okolicy chmiel. Oprócz piwowarstwa kwitło tu sukiennictwo i muzyka, a muzykanci z Lwówka słynęli w kraju daleko i szeroko.

Po śmierci Sędziwoja objął syn jego, Dobrogost, cały majątek, z powodu zaś wyjścia za mąż ostatniej z domu Ostrorogów, Barbary, za Leszczyńskiego, przeszedł Lwówek w posiadanie Leszczyńskich, którzy w r. 1633 odstąpili go wojewodzie poznańskiemu, Janowi z Bnina Opalińskiemu. Był to mąż bardzo szlachetny, dbały o szczęście swych podwładnych, a po jego śmierci nigdy już Lwówek nie miał tak dobrego i troskliwego dziedzica.

W 18 stuleciu dużo tu było Polaków, którzy przyjęli wyznanie kalwińskie, a t. zw. „holendry“ w okolicy miasta wyłącznie były przez kalwinów zamieszkałe. Pomimo to kościoła ewangelickiego we Lwówku nie mieli i dopiero w r. 1775 wybudował hr. Łukasz Bniński kościół dla „obywateli luterskiego i kalwińskiego wyznania.“

Od czasu gdy Lwówek przeszedł pod panowanie pruskie, nie zwiększyła się liczba mieszkańców. Jest ich tam 2,500, przeważnie katolików i Polaków, trudniących się rolnictwem i handlem. W blizkości miasta znajduje się dominium Posadowo, należące do hr. Łąckich, starej magnackiej a godnej familii, których przodkowie a i następcy zawsze owiani gorącem uczuciem polskości — ostatnimi byli dziedzicami miasta. Pałac posadowski leży w pięknym parku i zawiera wspaniały zbiór starożytności. Lwówek jest jeszcze poniekąd dziś rezydencyą hr. Łąckich, a rozległe ich włości dokumentują niezbicie, że tu naszych praojców zagony.

Kronikarz „Pracy.“

Miarka za miarkę.

Kto trzymać w ręku miecz nieba się kusi,
Jeśli surowy, i świętym być musi.
Wzór życia drugim twardą cnoty drogą
Iść zawsze musi nieznużoną nogą.
Przeciw występnym chcąc stanowić karę,
Na swoich własnych słabościach bierz
miarę.
Hańba jest temu, co na śmierć skazuje
Występek, w którym sam równie smakuje.
Jak czarną duszę chować nieraz zdoła
Człowiek pod jasną postacią anioła!
Jak często zbrodnia strojna pozorami
Płaszczykiem cnoty zwiedziony świat
mami.

Szekspir.

Nieogłoszone fragmenty „Pana Tadeusza"

Juliusza Słowackiego.

(W otrzymanym świeżo dodatku do „Kuryera Lwowskiego" zamieszczony jest niedrukowany dotąd fragment z „Pana Tadeusza" Słowackiego. Fragment ten opatrzony został następującym dopiskiem d-ra Biegeleisena:

„Niniejsze urywki, dopełniające wiadomość o tym epicznym poemacie, podaną w „Warcie" poznańskiej z 1881 r., wychodzą tu po raz pierwszy w druku, podług autografu, znajdującego się w Zakładzie Ossolińskich między nieśmiertelnemi strofami „Króla Ducha." Podejmuje w tym utworze poeta, podobnie jak w ogłoszonych niedawno (w „Tygodniu") fragmentach „Dziadów" i znanych próbach „Wallenroda", wątek arcydzieła swego wielkiego rywala. Tłómaczę to sobie chwilowem, pod koniec życia, zbliżeniem się jego do Adama, w owej dobie, kiedy to oczyściwszy serce swe z wygórowanej ambicyi, zapalał w niem pochodnię miłości, ogarniającej świat cały. Na znak hołdu, osnuwszy czarem swej „bluszczowej" fantazyi nieśmiertelny pomnik sławy wieszcza, rozpoczął poemat swój na tem miejscu, gdzie go tamten skończył. *H. Biegeleisen*")

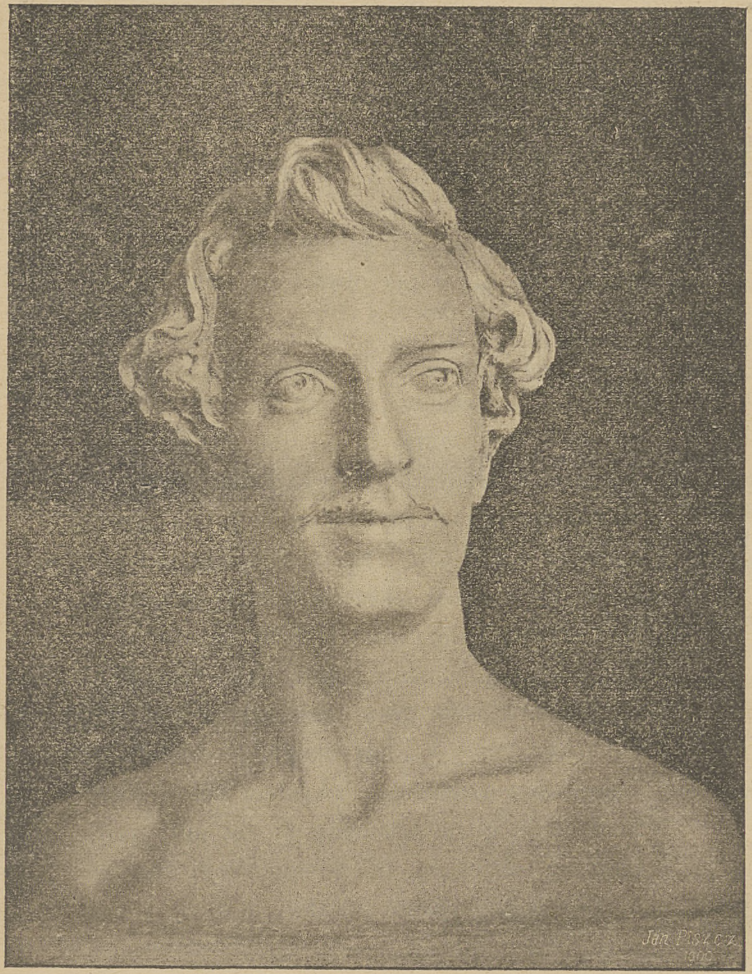
Pan Tadeusz został w armii adjutantem,
Rejent pisarzem, sędzia zboża liwerantem,
Hrabia dowodzi nowych ułanów szwadronem,
Wszystko się pociągnęło za Napoleonem,
Poszło w marsz... W domu smętne wzdychają małżonki,
Pani Tadeuszowa odmawia koronki,
Nowenny; Telimena klnie domową ciszę,
Smętek mgieł — patrzy w okna, wzdycha, listy pisze,
Albo z książką francuzką idzie w szary kątek,
Pod piec — i tonie w smętnych bałwanach pamiątek;
Wojski także, niezdolny do rycerskich czynów,
Został, dogląda w domu kobiet — i kominów.
Tymczasem nadchodziła ta okropna zima,
Twarda, groźna, iskrząca się komet oczyma,
Którą w Litwie przeczuwał wcześnie naród cały.
Niebo bladło — szron iskrzył — gwiazdy zczerwieniały,
Miesięczne tęcze całe stawały w kolorach,
Mroźne kameleony przy chatach, oborach,
Zostawiwszy w nim różne pamiątki przyjazdu,
Jak kukułka cudzemu, gdzie mieszkała, gniazdu,
Nie wszystkie dobre — było cośkolwiek grabieży
I rabunku na wiosce — kilku coś żołnierzy
Z flint do litewskich chłopów trzasło, jak do blanków,
Nie mogąc się rózmówić z ludem mową franków;
Pan ekonom ze łzami skargę o to czynił,
Sędzia się zrazu sierdził, potem zaś obwinił
Wojnę, wojnie przypisał zło i zwierzęcoście
Ludzkie — nawet francuzkie poturbował goście
Skargą i prośbą, ale cóż, gdy starca treny
Przejść musiały przez usta pani Telimeny,
Która Sędziego widząc po polsku i z płaczem
Mówiącego, stanęła mu zaraz tłómaczem.
Na taki język skargę oną przełożywszy,
Że się Francuz, słuchając, uczuł najszczęśliwszy.
„*Vos larmes* — rzekł — *et vos beaux yeux*" i tak komplimenta
Sypał, że najwierniejsza małżonka Rejenta...

* * *

I co pół mili drzewo pochylone czeka
Z krzyżem, jak z rąk otwarciem świętych do człowieka.

* * *

Inaczej na Podolu, tam kraina cała
W różne się kwiaty pięknie błyszczące ubrała
Te prowadzą wędrowca po obu stron drogi,
Tęczami ścielonemi. Czy to dziad ubogi,
Czy chłop jarmarczny wraca, to uroda żywa
Kłosków i kwiatów rzeką z pod nóg mu przybywa.
W tej krainie stał także dwór mały szlachecki,
Nad stawami, na model jeszcze staroświecki
Wybudowany. Jedno piętro, lecz rozciągłe,
Ganek, w którym drewniane stały słupki krągłe,
Od dziedzińca — zdala okopany i płotem
Ogrodzony dziedziniec, zwykłym kołowrotem
Zamknięty, gdzie bodiaków morze purpurowe
Lało się gdzieś od mogił, pod progi domowe,
I dziwnej przydawało domowi powagi,
Który był z drzewa, szary, zgrzybiały i nagi.
Rzekłbyś, że tak od dawnych napadu tatarów
Został dom opuszczony i patrzy się z jarów,
Aż przyjadą panowie od stepu husarni.
Szyb ostatkami błyszczy jak rzędem latarni...
W tym domu smętnym mieszkał niedawnemi laty
Szlachcic znacznej rodziny, ale niebogaty,
Wdowiec, wielki miłośnik dawnych starych czasów,
Sławny niegdyś wojownik, stronnik partyi sasów,
Pan Struś, zwany powszechnie teraz Złotą czachą,
Łeb bowiem miał rozbity i kruszczową blachą...
Prawdziwy ukrainiec, przez swe nieboszczyki
Ojce, wolne, jak orły, ustrzeżon za młodu
Od nizkich żądz — poeta przez natchnienie rodu
Milczący (niby instrument). Choć na ścianie wisi nieruszany,
A jednak kiedy księżyc uderzy rumiany
W okna; a świerszczyk w muru szczelinach zaśpiewa,
Odzywa się głos jakiś smętny w suszy drzewa.
Tak i on człowiek, byle gdzie od natchnień siły
Serce się ducha w Polsce dziejowe ruszyło
I podniosły nadzieje — wnet się cały mienił,
On zaraz ku tonowi temu aż w gwiazd koła
Wypuszczał ducha, ze świtem, jak sokoła,
I wnet zgadywał ruchu świętego przyczyny,
Wszystko w krąg obejrzawszy i błękitów krainy
Napełniwszy smętnemi myślami...



Juliusz Słowacki.

(Czytaj w rubryce wiadomości potocznych).

Setna rocznica śmierci

Daniela Chodowieckiego

pierwszego polskiego rytownika.

Daniel Chodowiecki pisze — dr. Flach — pochodził z Gdańska i był dobrym Polakiem. Godzi się więc w polskiem piśmie złożyć hołd jego pamięci. Tem bardziej, że u nas tak mało się o nim wie, tak mało się go zna. Polak, chcący się poinformować o Chodowieckim, może to tylko uczynić za pośrednictwem literatury niemieckiej, która posiada kilka dzieł o nim, dwa albumy jego rytowniczych prac w światłodrukach, wreszcie popularną, bogato obrazkową monografię.

Chodowiecki pochodził z rodziny polskiej, lecz od dwóch pokoleń zniemczonej; mimo to uważał się za Polaka. Biblioteka Jagiellońska przechowuje jego list do profesora astronomii Łęskiego: „Kiedy W. Pan Dobr. zechce mię liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli, to mię krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, ale Niemcem; a ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł.“ I, podając potem swój rodowód, sięgający połowy XVI-go



Daniel Chodowiecki.

wieku, zapewnia jeszcze raz: Stąd widzisz W. Pan, żem prawdziwy Polak.“

Jego twórczość ukształtowała się, jakby na dowód prawdziwości teoryi Taina. W rodzinie łączył się poważny, prawdziwy zmysł kupiecki ze szlachetnem upodobaniem w sztukach pięknych. Chodowiecki opowiada o tem w autobiografii, jak i o karyerze subjekta w handlu towarów korzennych; dopiero w Berlinie rozpoczął systematyczne studya artystyczne. Ich owocem były zrazu małe miniatury, emalie, zastosowane do przemysłu i zdobiące tabakierki, pudełka i t. p. Jednym z pierwszych jest rysunek, przedstawiający nabożeństwo śród ludu polskiego; własnoręczny napis zawiadamia, że artysta rysował tę scenę w czasie swego pobytu w Krakowie w r. 1750. Owe miniatury takim cieszyły się pokupem, że Daniel porzucił handel wuja, założył własne ognisko domowe i, kształcąc się dalej, zwłaszcza w rysowaniu z natury i w malarstwie olejnem, zarabiał na utrzymanie, dostarczając Berlińczykom miniaturowych portretów. Wtedy już wyszukał sobie najwłaściwszy zakres motywów: skromne sceny z życia familijnego niemieckiego mieszczaństwa. Wnet zrozumiał, że nie w olejnem malarstwie leży siła jego talentu i, przerzuciwszy się do rytownictwa, odrazu osiągnął i rozgłos i styl indywidualny. Prawie na początku tej sztycharskiej działalności stoi sławna wówczas rycina, przedstawiająca „Pożegnanie się Calasa“, owej mniemanej ofiary fanatyzmu religijnego, wsławionej namiętnem pismem Voltaira.

Odtąd Chodowiecki pracuje jako illustrator najgłośniejszych wydawnictw. Mnożą się obstalunki polskich panów: prymas Podoski chce mieć swój portrecik (jedno z arcydzieł Chodowieckiego, drogi skarb zbiorów medyckich), hr. Czapska prosi artystę do siebie, staro-ścianka Ledóchowska żyć będzie wiecznie na jego rysunku. Za powrotem do Berlina smutno mu jakoś, bo stolica fryderycyańska wówczas tak mało była owianą artystycznym nastrojem. Za to wziętość wzrasta ciągle; każdy sławny pisarz pragnie jego illustracyi. To Nicolai, głośny w dziejach niemieckiego oświecenia księgarz i pisarz, to Lavater, na wpół fantasta, na wpół uczony, to Gellert, typowy przedstawiciel poezyi filisterskiej. Idą illustracye do „Wikarego z Wakefieldu i do czułych romansów Richardsona, do kalendarzów i do — „Hamleta“, do tysiąca innych książek. Rozwinięta działalność nie przeszkadza artyście w pracy profesorskiej w akademii berlińskiej. Aż w roku 1801 śmierć przerywa to wszystko, zostają po nim trzy tysiące drobnych utworów.

Nie jest trudną rzeczą określić rodzaj talentu Chodowieckiego, był bowiem wielki, ale i prosty, nieskomplikowany.

Wielki był ten artysta i w tem także, że znał granice swoich zdolności i tylko bardzo rzadko je przekraczał.

Był potomkiem rodziny mieszczańskiej i w duszy był sam mieszczaninem. A że za jego czasów poezya i cała lite-

ratura w reakcyi przeciw sztywności i patentyczności dawniejszej chciała być naturalną, prostą, realistyczną, więc Chodowiecki był jej najlepszym illustratorem. Patrzał na świat zdrowem okiem, widział i pojmował rzeczy zdrowemi zmysłami, przenosił je na papier ze starannością bystrego a pracowitego obserwatora bez genialnej siły Hogartha, bez poetycznego wdzięku Chardina, ale zręcznie i prawdziwie.

A że był Polakiem, niech dziś wspomni o nim społeczeństwo polskie. Nie wydzieramy nikomu sławy narodowej, bo mamy swojej własnej wiele, tylko nie dość ogółowi znanej i za mało cenionej.

L. Re.

Młodociane talenta.

S. p. Ludwika Godlewska.

Piśmiennictwo nasze poniosło znów poważną stratę: w kwiecie dni, w zaraniu działalności literackiej, której odrazu towarzyszyło uznanie Czytelników i krytyki, przeniosła się do wieczności, w Görbersdorfie, ś. p. Ludwika Godlewska.

Pierwszą jej powieść „Po zdrowie" wydrukowało „Ateneum;" napisała ją pod wrażeniem pobytu w Meranie, dokąd udała się „po zdrowie", którego odzyskać już nie mogła. Po roku przerwy ukazała się nowa powieść „Kato." Oba te utwory wydała pod pseudonimem „Exterusa", a tyle męzkiej siły w nich było, że nikt nie domyślał się kobiety.

Dopiero redakcya „Głosu", przyznawszy na konkursie 1898 r. pierwszą nagrodę powieści „Dobrane pary", obwieściła, że otrzymała ją Ludwika Godlewska (Exterus").



Ś. p. Ludwika Godlewska.

Wreszcie, w dodatku do „Gazety Polskiej", ukazał się zbiór nowel Exterusa, nazwany „Kwiatem aloesu." Cały to prawie dorobek pisarki, od której, po bardzo obiecujących pierwszych krokach, spodziewano się niejednej jeszcze perły literackiej.

Dla nas najsympatyczniejszym z pośród wymienionych jest drobny obrazek, ze zbioru nowel, p. t. „Ksiądz Roch Osypka." Skłonność pisarki do realizmu i sarkazmu, dobitnie występująca w „Dobranych parach", ustąpiła w tym słonecznym obrazku na drugi plan, pod wpływem wrodzonej autorce poezyi, biorącej źródło w ukochaniu, nad wszystkie, rodzinnego kraju.

W pięknem wspomnieniu pośmiertnem, skreślonem ręką b. redaktora „Głosu", p. Z. Wasilewskiego, czytamy urywek z listu, pisanego z zagranicy: Zazdroszczę panu naszej wiosny... Jestem mazurka do głupoty, rozrzewnia mnie kwakanie kaczki, bo podobne do kwakania u nas. Alpy włoskie i tyrolskie i wszystkie świerkowe wzgórza Styryi oddałabym dziś, zaraz, natychmiast za jedną rosochatą sosnę na rozstajach i za jedną garść złotego, prawdziwie mazurskiego piasku..."

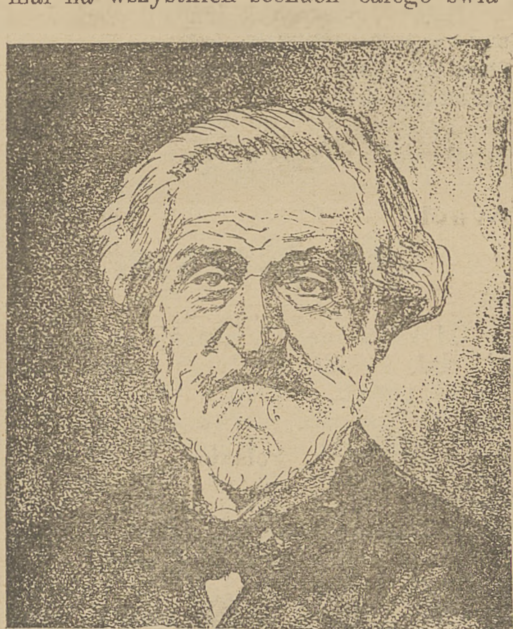
Zwłoki takiej Polki nie mogły spocząć na obcej ziemi — przewieziono je do Warszawy i pochowano na cmentarzu powązkowskim.

Złóżmy na jej grobie wianuszek z niw mazurskich...

B.

Józef Verdi.

Dnia 27-go z. m. rozstał się z życiem w Medyolanie najznakomitszy z muzyków włoskich, Józef Verdi. Twórca licznych oper, które grywane były niemal na wszystkich scenach całego świa-



Józef Verdi.

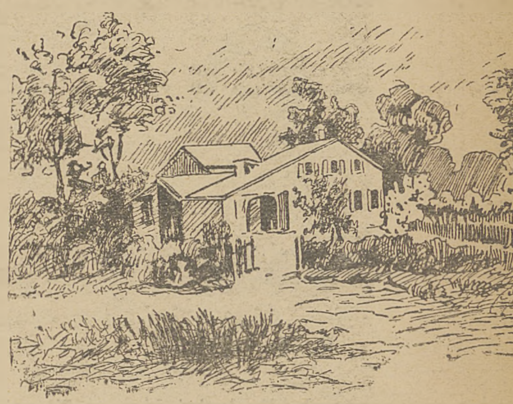
ta, mistrz melodyi, stworzył oddzielną szkołę i był jej przedstawicielem. Lata, w których Verdi tworzył, należą do najświetniejszych w dziejach muzyki włoskiej.

Oto kilka lat z życia genialnego kompozytora. Urodzony 9 października 1814 r. w małej wiosce Roncole, uczył się muzyki w Medyolanie; karyerę swą rozpoczął jako pianista. Wkrótce jednak przerzucił się do kompozycyi. Opera „Nabuchodonozor" napisana w roku 1842 zapewniła Verdi'emu sławę. Dwa następne dzieła, idące z szybkością po sobie, „I lombardi", „Ernani" wkrótce obiegły całą Europę.

Verdi w tych pierwszych dziełach roztoczył niezmierne bogactwo melodyi i siłę dramatycznego obrazowania.

Od tej chwili zaczęły się sypać opery jak z rogu obfitości, lubo nie wszystkie jednakowe uwieńczało powodzenie. „I due Foscari", „Giovanna d'Arco", „Alzina," „Attila", „Mackbeth", „Masnadieri", „La battaglia di Seganno", „Il Corsaro" i „Luiza Miller", wszystkie dziś już zapomniane zupełnie.

W 1851 r. święcił tryumfy operą „Rigoletto." Dbający zawsze o uliczną popularność mistrz znalazł w „La donne è mobile" temat, który całe Włochy przez czas jakiś śpiewały; pieśń ta, jeśli



Dom, w którym się urodził Józef Verdi.

uwierzyć urosłej już legendzie — miała być aż do pierwszego przedstawienia trzymaną w tajemnicy, tak, że orkiestra ją „prima vista" akompaniować musiała, ale też powodzenie jej było niesłychane.

Zachęcony tem maëstro, postanowił stworzyć dzieło zupełnie w stylu popularnym i napisał w r. 1853 „Trubadura." W tymże roku w Paryżu wystawiono „Traviatę", a w dwa lata później „Nieszpory sycylijskie."

Wyliczone dotychczas opery stanowią część pierwszą jego działalności. W drugiej sięgnął po trwalsze laury. Tu należą: „Bal maskowy", „Don Carlos", „Aida" — opery pisane w odstępach czasu tak dalece odległych, że wespół przedstawioną w 1862 „Mocą przeznaczenia" wypełniają przestrzeń niemal lat dwudziestu. „Bal Maskowy", należy do najlepszych w twórczości Verdi'ego i w historyi opery wogóle zajmie poważne miejsce.

W „Aidzie", wystawionej w Kairze 1874 r., Verdi przeszedł sam siebie i zadziwił oryginalnością charakterystyki, harmonią ciekawą i w wielu miejscach gienialną, instrumentacyą potężną i umiejętnie stopniowaną.

Po „Aidzie" Verdi czekał lat dwanaście i dopiero w roku 1886 wykończył „Otella." Opera „Falstaf", napisana w roku 1892, była ostatnią jego kompozycyą.

Z oper Verd'iego kilkanaście było wystawionych w Warszawie, a niektóre do dnia dzisiejszego cieszą się powodzeniem.

Z.

O. Hartmann.

O. Hartmann (w życiu świeckiem von des Lahn Hochbrunn), twórca „Oratoryum Św. Franciszek", urodził się w r. 1863 w Tyrolu. Uczęszczając do seminaryum duchownego w Bazylei, kształcił się w grze na skrzypcach i w teoryi muzyki pod kierunkiem profesorów: Zoperlego i An-

zoletti'ego. Wstąpiwszy do zakonu Franciszkanów, O. Hartmann dalej doskonalił się w muzyce, korzystając ze wskazówek O. Singera oraz profesorów: Pempauera i Homayera. Z biegiem czasu O. Hartmann zajmował różne stanowiska kościelne i w r. 1893 był mianowany dyrektorem muzyki w kościele jerozolimskim Zbawiciela, i organistą w bazylice Grobu Chrystusa, a zarazem polecono mu ułożyć nowy repertuar utwo-



O. Hartmann.

rów muzycznych dla kościołów w Ziemi św. Wezwany z powrotem do Rzymu, O. Hartmann w klasztorze Ara Coeli oddaje się w dalszym ciągu zajęciom religijnym i artystycznym. Prasa włoska i austryacka wysoko ceni jego talent i znacznie wyżej go stawia od Perost'ego. Pierwsze oratoryum O. Hartmanna: „Św. Piotr,“ wykonywane niejednokrotnie w Rzymie, wywołało ogólny zachwyt i zyskało swemu twórcy trwałą sławę. K.



Tomasz Zan,

według olejnego portretu, znajdującego się obecnie w posiadaniu syna poety, p. Abdona Zana, a malowanego przez A. Miniatta w kwietniu r. 1844, po powrocie z Orenburga; artysta przedstawił Mickiewiczowskiego druha, modlącego się podczas nabożeństwa w kościele połockim OO. Dominikanów. Następnego roku portret ten ofiarował artysta „na pamiątkę pierwszej znajomości, ziomkowi swemu, JW. panu Proniewskiemu w Petersburgu w dzień 7 lipca“, z dedykacyą, umieszczoną na odwrotnej stronie obrazu, który następnie przeszedł w posiadanie ks. kanonika Moszczyńskiego, byłego proboszcza kościoła katedralnego w Mińsku, zaś w r. 1870 dostał się synowi Tomasza Zana; litograficzna reprodukcya z autografem znakomitego męża, bardzo swego czasu rozpowszechniona, należy dzisiaj do rzadkości pamiątkowych. *B.*



Książę bułgarski Borys.

Książę bułgarski Borys, następca tronu, którego portret zamieszczamy powyżej, zachorował ciężko w ostatnim czasie.

Książę Borys, najstarszy syn księcia Ferdynanda, urodził się dnia 18-go stycznia 1894-go r. w Zofii; jego całkowity tytuł jest Borys, Klemens, Robert, Maryan, Pius, Ludwik, Stanisław, Ksawery, książę Tyrnawy.

Książę Borys jest już oficerem à la suite w kilku pułkach; na portrecie przedstawiony jest w uniformie rosyjskiego pułku kozaków, noszącego jego imię. *S.*

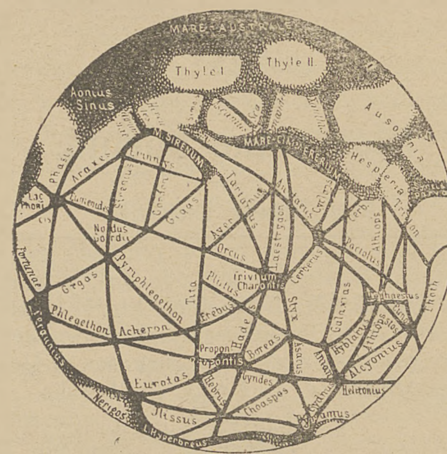
Na Marsie.

Od kilku mięsięcy ukazuje się na niebie ciało świetlane, którego blask zwiększa się powoli, lecz stale. Obecnie błyszczy, jak gwiazda pierwszorzędnej wielkości, jaśniejsza od Wegi. Tą gwiazdą, znajdującą się w pobliżu Regulusa, jest czerwony Mars, syn wspólnej matki wszystkich wędrownych ciał niebieskich, słońca, a tem samem brat ziemi. Początkowo istniał, jako gaz, aż wreszcie zgęstniał i zaczął krążyć naokoło swej



osi, wreszcie ostygł tak dalece, że utworzyła się na jego powierzchni skorupa, ale obracał się dalej naokoło siebie i słońca i będzie się obracał, dopóki nie powróci zkąd wyszedł — do słońca. Starszy i mniejszy od ziemi, ostygnie zapewne prędzej.

Obecnie Mars znajduje się na odległości 10 milionów mil od ziemi, największa odległość wynosi $53^1/_2$ mil. mil, najmniejsza, $7^1/_2$mil., będzie osiągniętą za lat kilka. Lecz już obecnie Mars jest blizkim od nas tak, że przy potężnych teleskopach można dojrzeć jego powierzchnię, a nawet przy średnich szkłach astronomowie dostrzegają morze Południowe, duże obszary lądów i tak zwane kanały. Należy dodać, że obecnie na północnej półkuli Marsa panuje teraz wiosna, a 17-go kwietnia nastąpi lato. Przy pomocy olbrzymich teleskopów można będzie widzieć lepiej. Znakomici astronomowie w Medyolanie, Teramo, Paryżu, Kalifornii i t. d. w miesiącu bieżącym i w marcu będą pilnie obserwowali Marsa, korzystając z jego blizkości.



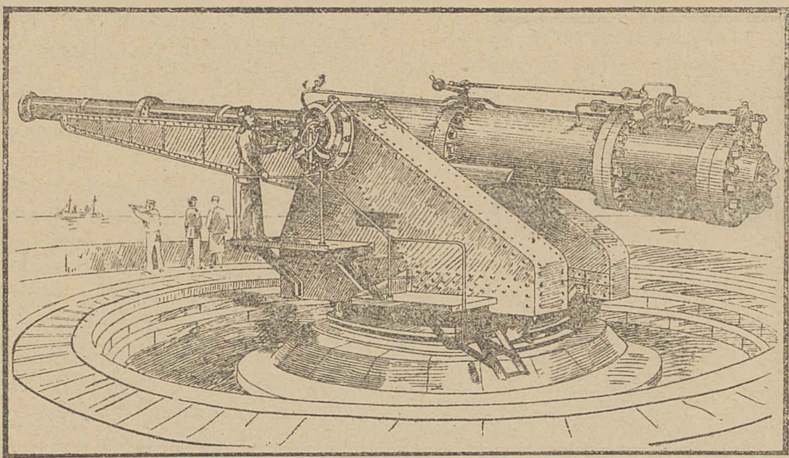
Czy Mars jest zaludniony istotami żywemi? To pytanie zastanawia uczonych od czasu do czasu, jak spostrzeżono coś w rodzaju regularnych kanałów. Aby módz dojrzeć jaki przedmiot na Marsie, musi on mieć przynajmniej dwie mile długości i rozmiar sześcianu tej samej proporcyi. Przed kilku tygodniami nadeszła wiadomość z Arizony, że widziano na powierzchni Marsa pas ognisty, długości 20 mil. Dowodzono, że to światło, jest niewątpliwie „elektrycznem“; świeciło przez 70 minut. To musiały być sygnały, na które Marsyanie pragną odpowiedzi. Takie przekonanie wyrażali nawet amerykańscy uczeni. Zaprzeczać, również jak i twierdzić — jest to pusta gra słów. Cóż my dotychczas wiemy w tym względzie? Te jasne pasy mogły być poprostu łańcuchem górskim, śniegiem pokrytym. Pozostawiając na boku hypotezy, uczeni skorzystają z przybliżenia się Marsa i zwrócą ku niemu wszystkie teleskopy; może też wyszperają one jaką prawdziwą, nie urojoną tajemnicę w rodzaju owego przypuszczalnego „telegrafu bez drutu.“ *Z.*

Nowa amerykańska armata olbrzymia do wyrzucania torpedów.

Armata, którą drugostronna illustracya przedstawia, przeznaczona jest do obrony portu w Nowym Jorku. Kształt lufy odróżnia się znacznie od lufy zwyczajnej armaty, gdyż ma w tylnej części bardzo wielką średnicę. Każdy nabój waży 500 kg. i zawiera w sobie około 300 kg. bawełny strzelniczej, jako ma-

teryał wybuchowy. Do wyrzucania pocisków nie używa się, jak zwykle, prochu, tylko zgęszczonego powietrza, które stosunkowo do prochu o wiele wolniej działa. Długość lufy wynosi 15 m., kaliber 45 cm., a waga 59,000 kg.

Skutek wystrzałów jest oczekiwany. Podług obliczeń wynalazcy, kapitana Gathman'a, może jeden pocisk najgrubszy pancerz okrętowy przebić. *K.*



Nowa olbrzymia armata.

Wspomnienie legionisty polskiego

z kampanii węgierskiej.

Przysługa sprawie węgierskiej przez legion wyświadczona, żywo przechowuje się w pamięci ludności węgierskiej. W roku 1894 już przecie 45 lat minęło od wojny węgierskiej, a jeszcze, kiedy w przybywającej do Pesztu na wystawę deputacyi krakowskiej wykryto byłego ułana z legionu, uwiadomieni o tem telegraficznie Peszteńczycy zatrzymali deputacyę, tryumfalnie wyprowadzili już cywilnego ułana, wsadzili na konia, przewiesili mu przez ramię ogromny wieniec laurowy i wśród morza głów i wniebogłośnych „elienów" zaprowadzili na ratusz. Deputacya została zdegradowaną na prostą świtę jego.

Dla zrozumienia powodu tej frenetycznej owacyi muszę przytoczyć pobieżnie nieco z dziejów legionu na Węgrzech.

Pierwszym występem broni polskiej w następstwach bardzo donośnym było odparcie natarczywego pościgu w celu zupełnego zniesienia północnej armii węgierskiej, która w bitwie pod Koszycami od samego szumu kul armatnich się rozpierzchła. Szlik szedł zastąpić drogę pobitej i przed Windischgrätzem uchodzącej głównej armii węgierskiej, aby wziętą we dwa ognie zmusić do złożenia broni. Ta utarczka ją ocaliła. Drobna utarczka, bo był tu czynny zawiązek 2-go pułku ułanów w Samborskiem przez Tchórznickiego formowany, a teraz ściągany do Koszyc. W braku koni chwycił za karabiny i z pewnością konno nie mógłby był tego dokazać, co dokazał pieszo. Różne niedogodności z tą klęską połączone sprawiły, że Szlik niemal po dwóch tygodniach dopiero wyruszył z Koszyc, kiedy armia północna już się była zebrała i znowu pod Siksowem zastąpili mu drogę. Pomimo poniesionej przez Węgrów klęski pościgu doraźnego już nie było.

Działo się to w jesieni 1848. W zimie już po śniegu i we mgle, wypadła bitwa pod Tarcalem, ale tam już pojawiło się wojsko z ocalonej głównej armii. Owi piesi ułani już liczebnie silniejsi i wzmocnieni kompanią prawdziwej piechoty polskiej, spędzili nieprzyjacielską z zajętej silnej pozycyi, a postępując za uchodzącą, przez odkrycie i udaremnienie zasadzki strategicznej pod osłoną mgły nastawionej, odparli niespodziany, nagły napad kirasyerów jeżami na prędce utworzonemi. Dowódzca austryacki, żeby usprawiedliwić poniesioną klęskę przedstawił to w raporcie jako zdradę Polaków. Główna armia węgierska już bezpiecznie mogła się przeprawić przez Cisę.

Z nadchodzącą wiosną występuje główny zastęp legionu przez jen. Wysockiego w Aradzie uformowany. Już na miejscu odznaczał się walecznością podczas oblężenia i wzięcia cytadeli. Formującego się nękali mieszkańcy naleganiami, bo tylko pod strażą legionu czuli się bezpiecznymi od wycieczek załogi przedsiębranych dla zdobycia prowiantu i furażu.

Po przeprawieniu się napowrót przez Cisę pierwszą bitwę stoczono pod Solnokiem. Podczas kiedy piechota razem z Węgrami szturmowała miasto, zawiązek szwadronu ułanów świeżo wsadzony na konie, nie liczący ich jeszcze sto, sam jeden rozbił cały pułk kirasyerów spieszący załodze na pomoc. Pułkownik, muzyka, mnóstwo jeńców i armaty, jakie przyprowadził ze sobą, popadły w ręce węgierskie z pomocą szwadronu huzarów, przybyłych po rozbiciu kirasyerów.

W bitwie pod Issaszek piechota legionu sama jedna — bo przydzielony jej pułk węgierski uciekł — powstrzymała i niedopuściła na plac boju cały korpus Szlika. Zabrano wskutek tego 3000 jeńca, ale legion z całej kampanii najcięższe tu poniósł straty.

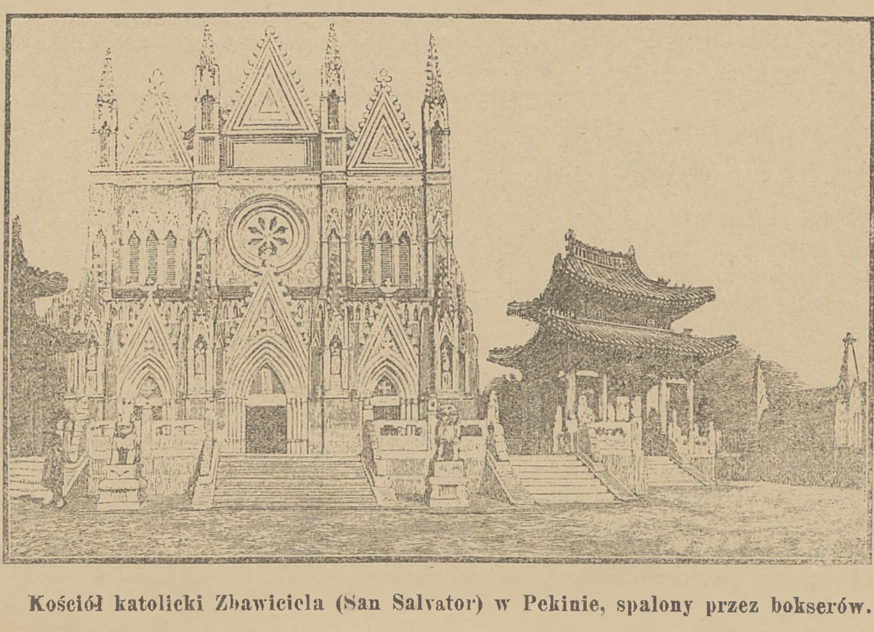
Waców wzięła szturmem także sama piechota polska, przebywszy most silniej jeszcze niżeli pod Arcole obwarowany. Zginął wtedy pod takiem ufortyfikowaniem bezpiecznym się czujący jenerał Goetz i sporo także zabrano jeńca.

Wogóle taka była u Węgrów wiara w niezwyciężoność Polaków, że w razach, kiedy zachodziła potrzeba stoczenia bitwy w nieobecności Polaków, na podwodach dowożono przynajmniej kilkudziesięciu dla podniesienia ducha; a nie było tu żadnego talizmanu, tylko strach pozostały po pierwszych zawadiackich razach zadanych pod Barcą i pod Solnokiem. Przed krakowską czapką dostać było niepodobna. O sukcesach legionu wiedziano na dworze Wiedeńskim nawet z przesadą, bo dowódzcy austryaccy chcąc usprawiedliwić ponoszone klęski i widząc Polaków ciągle na przedzie, aż do bajeczności przeceniali siły legionu.

Co może najbardziej podniecało te frenetyczne owacye wyprawiane byłemu legioniście, to pamięć zdarzenia zaszłego w samym Peszcie, drobiazg bez wpływu na kampanię, ale świadczący o przytomności żołnierza polskiego.

Podczas bombardowania Pesztu 2-gi pułk ułanów (2 szwadrony) nareszcie zaopatrzony w konie obozował po za miastem. Znalazł się w Peszcie jeden z ułanów pieszo (Adamski, może jeszcze żyje, bo młodym był chłopakiem). Pada przed nim z wysokiej elewacyi bomba. Szybko dobywa pałasza, obciął syczący knot i bierze ją na ramię. Niebawem wśród „elienów" sam się znalazł razem z bombą na barkach Peszteńczyków.

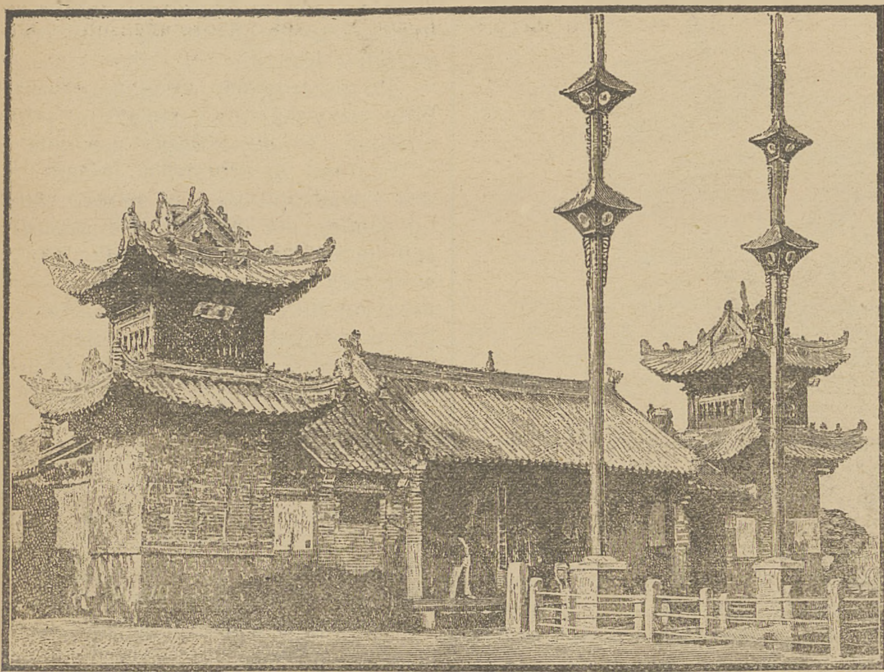
W dalszym ciągu kampanii z udziałem Moskali legion już stracił znamię ochotnicze. Straty wypełniane jeńcami polskimi i przyjmowanie zgłaszających się dobrowolnie sprawiło, że legion prawie w większej połowie zaludniony był



Kościół katolicki Zbawiciela (San Salvator) w Pekinie, spalony przez bokserów.

jeńcami, przybrał tedy już cechę regularnego wojska li tylko komendy słuchającego. Nie było już takich zawadjackich przedsiębiorstw, ale zachował się zawsze jako wzorowe wojsko liniowe. Na granicy tylko w potyczkach pomiędzy kozakami a ułanami odzywał się jeszcze duch ochotniczy.

Pod Abonią, gdzie Moskale 12 szwadronów atakujących huzarów literalnie rozprószyli, w popłochu jednak zaczęli uciekać, jak 4 szwadrony ułanów już



Świątynia chińska w Pekinie.

przerzedzone ogniem armatnim zrobiły ruch zmierzający do ataku. Komenda „stać“ pozwoliła im oddalić się, swobodnie. O usposobieniu jenerałów węgierskich, rozżalonych na legion za to, że przez niego Moskale naszli Węgry, które tutaj się ujawniło, lepiej zamilczeć.

Pod Segedynem Dembiński widocznie spodziewał się porażki, bo naprzód już ułanów przeznaczył do zasłaniania odwrotu. Była to niemal donżuanowska walka. Pamięć pogromu kirasyerów pod Sanokiem dotrwała widać do końca kampanii, bo nadaremno najeżyły się lance. Posłyszano tylko „Polen — Polen“ i zobaczono tuman kurzu przed sobą, zamiast nieprzyjaciela. Więcej zachodu było z uciekającymi huzarami, którzy próbowali zająć ze sobą ułanów. Dalej już tylko pękające granaty uwidoczniały, że to nie wymarzony nieprzyjaciel; to też o zmroku zagarnięto zwycięzką armię tak, że nagle umilkły tryumfalne okrzyki zwycięztwa, jak milknie śpiew pątników, kiedy w pobliżu piorun uderzy. Gdyby była istniała jeszcze pierwotna rezolutność ochotnicza, mogło było nastąpić co gorszego, ale komenda już ją była okiełzała.

Pod Temeszwarem znów ułanom przypadło odparcie natarczywego ataku na ustępującą, amunicyi pozbawioną armię węgierską; ale tu już musiały się groty zakrwawić, żeby go trzymać na wodzy, póki poza plecami nie przeszła pobita armia, aleć i tu podczas tego warowania nie obeszło się bez komicznych wydarzeń.

Brak amunicyi spowodował przegraną. Była to już fatalność, bo zaraz na początku bitwy zdarzała się bardzo łatwa sposobność zasilenia się nieprzyjacielską amunicyą wraz z armatami. Bem o tem nie wiedział i rozkazem cofnięcia się udaremnił korzystanie z tej sposobności. Wyprawieni na zwiady ochotnicy po powrocie nadaremno nalegali na komendę, żeby uderzyć. Pułkownik Tchórznicki odpowiedział: Alboż ja nie znam Bema, gotów mi kazać w łeb palnąć za to, żem nie posłuchał jego rozkazu.

Równie pamiętne były to chwile z roku 1848/9, nieco pomyślniejsze jak w Poznańskiem. Wypadki ówczesne późno wprawdzie, jednak przecie osiągnęły zamierzony cel. *R. G.*

Kronika.

„Kto groch sieje w marcu zbiera go w garncu“ — tak mówi dawne przysłowie, i podobno prawdziwe. Wspominam o tem przysłowiu nie dlatego, żeby rolników zachęcić do siewu grochu, tylko dlatego, że zbliża się wiosna.

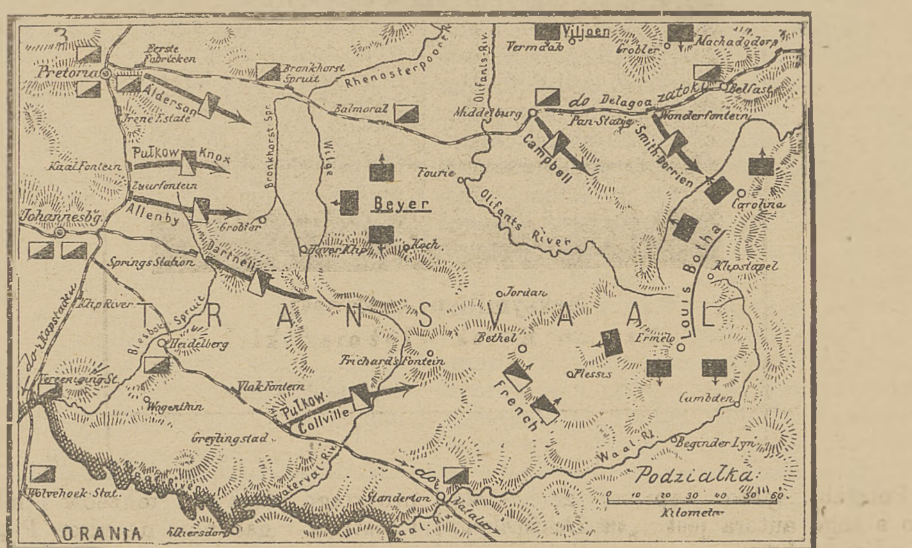
Są pewne cechy świadczące wymownie o zbliżaniu się wiosny, naprzykład, gdy ujrzysz na błoniach fiołki, możesz twierdzić na pewno, że wiosna jest. Tymczasem jednak daleko nam jeszcze do fiołków na błoniach i zadowalać się musimy fiołkami, które nam wykwitają na nosie od mrozu.

A pomimo to już nie tak daleko nam do wiosny, bo marcowe słońce zwycięzką stoczy walkę ze śniegiem i mrozem zimy.

Rok rocznie widzimy tę walkę, rok rocznie widzimy wiosnę zwyciężającą zimę i lodowe pęta zimy, a nie możemy się doczekać tej wiosny, która zerwie okowy ludów ciemiężonych, nie możemy doczekać się *wiosny ciemiężonych ludów!*

Lecz nie traćmy nadziei, nadejdzie i ona — czekajmy cierpliwie!

To też niezrażony konfiskatą 9 numeru „Pracy“ siadam do biurka i spi-



Lord Kitchener, naczelny wódz armii angielskiej w południowej Afryce zdecydował się nareszcie na wielką akcyę przeciw armii jen. Bothy, aby ją zniszczyć. — Równocześnie z siedmiu różnych punktów zdążają większe oddziały Anglików pod komendą najlepszych powag wojskowych w kierunkn ku Ermelo i Carolina, gdzie się znajduje główny obóz Burów, podczas gdy kilka tysięcy pod wodzą Beyera więcej na wschód stoi i — jak się zdaje przez Kitchenera jako quantite negligeable uważane będą.. Wojska angielskie, które w tej wyprawie udział biorą składają się w większej części z piechoty konnej. Kitchener chce przez wyparcie Burów zabezpieczyć sobie kolej żelazną do Natalu.

Gdyby plan ten się nie udał natenczas byłby Kitchener zmuszony wojska swe z Transwaalu wycofać. — Tak samo wiedzą na stronie przeciwnej, że zniesienie armii jen. Bothy byłoby może ciosem śmiertelnym dla sprawy burskiej z tego też powodu będzie się Botha prawdopodobnie starał z matni tej się wydostać, a jak telegramy donoszą zdołał już wymknąć się otaczającym go wojskom angielskim i uszedł na północ ku granicy portugalskiej w stronę Komaipoortu.

Rycina nasza oznacza stanowiska Burów czarnemi, stanowiska Anglików czarno-białemi czworobokami. — Posuwające się zaś wojska angielskie oznaczone się grubemi liniami z strzałą.

suję wrażenia i uwagi, jakie ta konfiskata wywarła ogólnie. „Dlaczego?“ „Po co?“ „Na co?“ pytają się mnie zewsząd. —

W miejsce odpowiedzi wzdrygam ramionami, robię minę ubolewającą, kładę palec na ustach i sza! — Nie mówię nic, tylko podziwiam nadpolityczne i dyplomatyczne zdolności pewnych władz.

Przypomina mi się właśnie w tej chwili, że kto się chce stać rozgłośnym, powinien kazać wsadzić się do kozy za drobne prasowe lub polityczne przestępstwo, a pismo skonfiskowane głębszy tylko obudzi interes. Wiadomo przecież, że niektórzy autorzy po prostu się cieszą, gdy policya stawi ich dzieło na indeksie.

Jeżeli minister, albo król pruski, przyjadą do Poznania i obejrzą muzeum, bibliotekę — teatr, gazony i kwiatowe aranżament wzdłuż alei, powiedzą: „Genialna głowa miasta!“ Nie ma już śladu „polnische Wirtschaft“ — „deutscher Geist“ wieje ku nam z muzeów, z bibliotek i teatrów, z napisów na tramwajach i domach, z adresów na listach, ze szkół, w których z polskich gardziołek pod przymusem trzcinki płynie „Deutschland, Deutschland über alles“, nawet z gazonów kwiatów wieje „deutscher Blumenduft“.

Takie wrażenie odniosą ci, co *oficyalnie* obwożeni są po mieście.

Lecz ja zawiózłbym ich gdzieindziej. Ja zawiózłbym panów ministrów i króla



Maksymilian Jackowski,
Patron Kółek włościańskich.

pruskiego zdala od muzeów i bibliotek i teatrów i gazonów na ulicę Piaskową, na Barlebenshof, w zaułki zamieszkałe przez nędznych helotów, klnących z wyciągniętą ku niebiosom ręką „Deutsche Wirtschaft“, która buduje wspaniałe gmachy, monumenty próżności, a zapomina o tych zaułkach, o tej nędzy, wołającej ratunku.

Potrzeba tylko napisać, że dzieło tego a tego autora jest „*in Deutschland polizeilich verboten*“, a z pewnością dzieło się rozejdzie w tysiącach egzemplarzy. Wiem n. p., że sztuka Eryka Hartlebena: „Rosenmontag“ kwestyonowaną była przez policyą berlińską i *właśnie dlatego* stała się *sztuką kasową*, chociaż sztuka sama w sobie nie jest tak nadzwyczajną.

Lecz jakżeż ja mogę wydawać sąd o tem, co stosowne lub niestosowne, wobec „nadmądrości“ pruskich władz? To też pewno owe władze mają racyą, a ja się mylę!

Mają też może racyą, że pomimo nędzy i głodu buduje się u nas wspaniałe muzea, biblioteki, teatry. — Budowle te pochłaniają miliony! Upiększa się miasto gazonami kwiatowemi, słowem czyni się wszystko, aby wywołać *pozory zadowolenia, pozory zamożności i dobrobytu.*

W tę stronę zwróćcie miliony!

Gdyby tam ministrowie zajrzeli, przekonaliby się, że *bajką jest dobrobyt, bajką jest zadowolenie, że bajką jest* ***wyższość kultury niemieckiej nad polską.***

Te liczne rzesze z zazdrością patrzą na te błyszczące gmachy, z zazdrością liczą pieniądze wydawane na upiększenia, a z nienawiści wylęga się jadowity wąż: „Komunizm, socyalizm, anarchizm.“

W tych głodnych duchowo i cieleśnie rzeszach tkwi zarodek przyszłości strasznej dla tych, co budowali wspaniałe gmachy, a nie pamiętali o głodnych na duchu i ciele...

Ubiegły tydzień daje mi zresztą tyle materyału kronikarskiego, że nie potrzebuję roztrząsać zagadnienia, czy mój rozum kronikarski przewyższa „nadmądrość“ pewnych władz, bo oto odbyły się walne zebrania najpiękniejszych, najwięcej humanitarnych i najpożyteczniejszych naszych instytucyi, bo Czytelni Ludowych i Tow. Pomocy Naukowej śp. Karola Marcinkowskiego. W przyszłym zaś tygodniu d. 12 marca zbiorą się delegaci „Kółek włościańskich“, aby się naradzić nad sprawami bieżącemi.

Tego też roku na tem właśnie zebraniu nastąpi akt ważny i równocześnie rzewny. Oto sędziwy i wielce zasłużony patron p. **Maksymilian Jackowski** złoży swój urząd w ręce młodszego, dzielnego obywatela, szczerego Polaka, dobrego rolnika, światłego i zacnego człowieka p. *Chłapowskiego z Rzegocina.*

Poważny to akt i rzewny. Czcigodny Patron raz jeszcze spojrzy na to dzieło swego serca i swej duszy, na dzieło, któremu całe swe zdolności, cały swój niemal czas, całe swe siły poświęcił, a spojrzeć może na nie z dumą, ponieważ przed nim stać będą na starej sali bazarowej zastępy światłych włościan, których on uważa za dzieci swe, a oni go uważają za ojca.

Czyż nie zrosi się niejedno oko łzą wdzięczności, gdy wspomną uczestnicy tego zebrania, jak chętnie pan Patron dążył na mniejsze zebrania Kółek włościańskich i na walne zebrania tych Kółek nie dbając, czy zima, czy lato, czy pogoda, czy słota, gdy wspomną uczestnicy, że to jego ciągłym radom zawdzięczają, iż ubezpieczyli się od klęsk gradowych i od ognia, gdy wspomną, ile to wskazówek właśnie z ust jego usłyszeli! A wreszcie, czy nie zabłyśnie też łza żalu w oku niejednego, gdy pomyśli, że już odkąd tego, którego miał za ojca, nie ujrzy tak prędko, że ma się z nim rozłączyć?

Trzeba się pogodzić z tą myślą — pan Patron idzie zażywać *spoczynku z honorem.*

Mało komu danem patrzeć jest na dzieło swoje, na jego rozwój stały i świetny, tego dożył p. Patron i to po trudach i pracach największą i najlepszą dla niego nagrodą.

Wie też pan Patron komu powierza urząd bardzo ważny — zaiste w dobre oddaje go ręce.

Żegnamy więc starszego pana Patrona i witamy nowego — wyrażając nadzieję, że poprowadzi on dzieło w myśl swego poprzednika. *Acer.*

Z teatru.

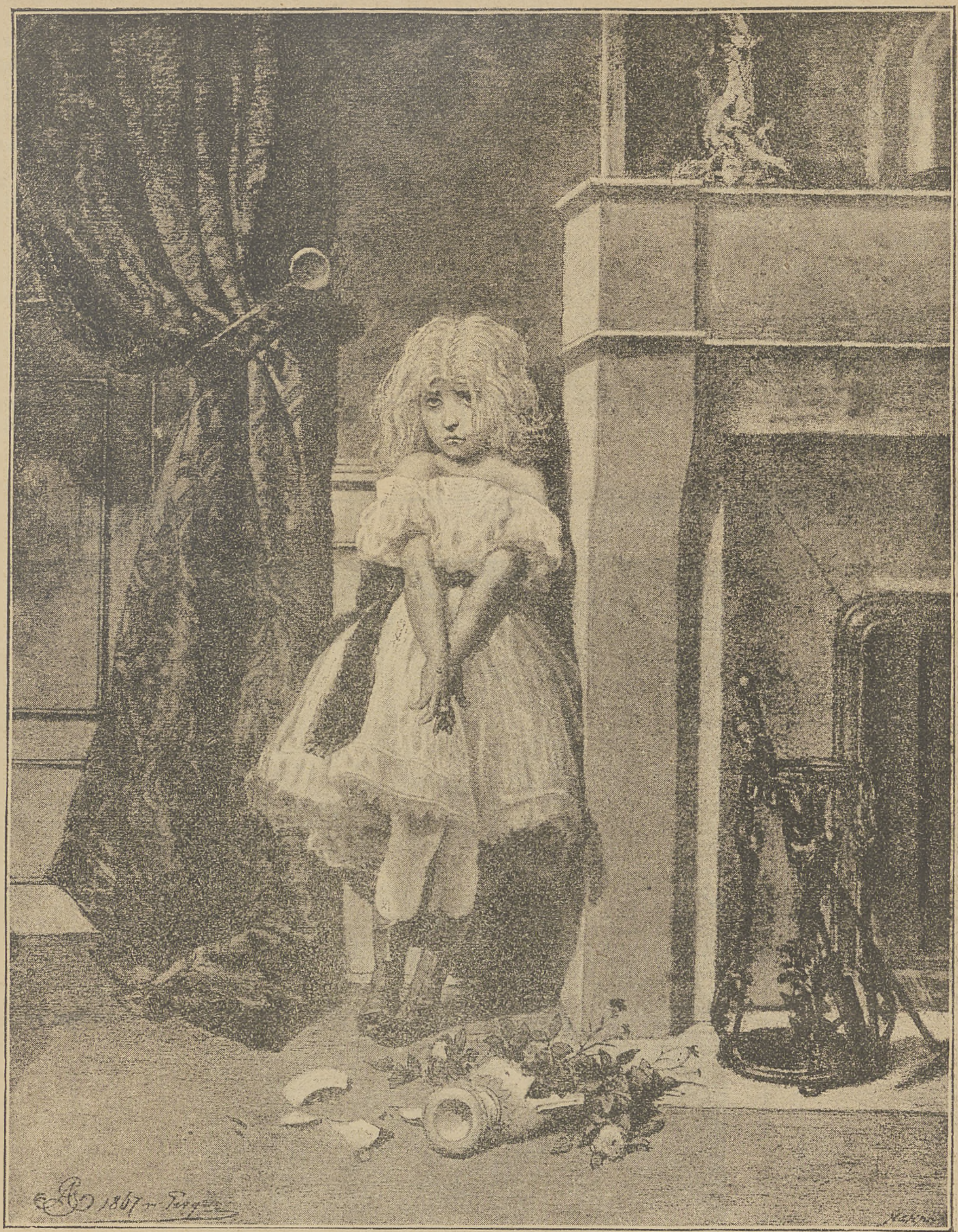
(*Powietrze wielkomiejskie, komedya w 4 aktach Oskara Blumenthala i Gustawa Kadelburga.*)

Komedyą wyżej wymienioną odegrano na scenie naszej w sobotę i niedzielę przy dobrze obsadzonej widowni.

W wielu niemieckich komedyach teściowa i stosunek jej do zięcia jest punktem, około którego skupia się akcya. W wyżej wymienionej komedyi wstawiono w miejsce teściowej *teścia*. Marcin Schröter, (p. Jakubowski), bogaty fabrykant z prowincyi, przybywa do Wiednia z córką Sabiną (panna Teodorowicz) i przebywa w domu przyjaciół, adwokata Lenza (p. Wysocki) i żony tegoż Antoniny (p. Mirska.) Lekkoduch wiedeński Oktaw Flemming (p. Okornicki) zdobywa serce Sabiny — i zyskuje jej rękę po zwalczeniu oporu Schrötera. Lecz Schröter stawia za warunek, aby Flemming zamieszkał przy nim w Ludwigsburgu. Stawia zaś ten warunek dlatego, ponieważ obawia się, że Flemming tak samo będzie bawił się po za domem, jak Lenz, szukający stosunków w wesołym świecie kobietek wiedeńskich. W drugim akcie młodzi Flemmingowie zamieszkują w małej mieścinie śmiertelnie nudnej, rojącej się od typów oryginalnych, zacofanych, plotkarek i tu Flemming poznaje się z dr. Crusiusem (p. Berski), który sam podobne przechodził koleje i rozumie, że Flemming w dusznej atmosferze małomiasteczkowej zgorzknieje i rychło się strawi.

Doktór radzi Flemmingowi opuścić Ludwigsburg. — Nagle jakby bomba wpadła do miasteczka! Plotkarki miejskie, pani Crusius (p. Niwińska) i pani Arnstedt, żona rektora (p. Szumlańska) spostrzegły, że do hotelu „pod białym koniem“ zajechała para Wiedeńczyków, lecz *nie mąż i żona*. W miasteczku zakotłowało! Ową parą to pani Lenz i dawny jej adorator Bernard Gempe (p. Knapczyński), typ gigerla wiedeńskiego. Pani Lenzowa odjechała w towarzystwie Bernarda Gempe od męża, dowiedziawszy się o jego sprawkach. Stosunek jej jednak do Bernarda, wiecznie spóźniającego się w miłosnych zapałach i pomysłach, jest całkiem niewinny.

Plotkarki atoli rzucają podejrzenia na Oktawa, że on stara się o względy Antoniny. Następuje kilka zabawnych scen pomiędzy Antoniną a mężem jej, który zatęskniwszy za żoną przyjechał do Ludwigsburga, pomiędzy Bernardem, sądzącym się u szczytu swych marzeń, w chwili, gdy Antonina godzi się z mężem i wreszcie pomiędzy Crusiusem a żoną jego. Flemming zdobywa się na energię i razem z Crusiusem, który od lat 30 po raz pierwszy stawia opór żonie, wyjeżdża do Wiednia. — Crusius używa w całej pełni wiedeńskiego życia, a Flemming urządza mieszkanie dla żony. Ma on pewne wątpliwości, czy żona przybędzie, lecz żona wykradła się z domu ojca i podążyła do męża, a teść przekonawszy się o wielkiej miłości obojga, godzi się z swym losem. Najgorzej wychodzi Bernard Gempe. Spodobała mu się Anulka, córka Crusiusów, oświadcza się więc o jej rękę. Stary Crusius go przyjmuje, lecz w tej chwili dowiaduje się Gempe od przybyłej także do Wiednia Crusiusowej, że Anulka już jest po słowie z kim innym i Bernard znowu spóźnił się o pięć minut i pewno zostanie kawalerem. *Bernard Gempe* w interpretacyi p. *Knapczyńskiego* zyskiwał huczne oklaski i wywołał salwy śmiechu. Swobodnym i bardzo dobrze pojętym był Oktaw p. *Okornickiego*.



Zrozpaczona.
Rysował Artur Grottger.

Podobał mi się też pan *Berski* jako dr. *Crusius*, tak samo zadowalali pp. *Jakubowski* i *Wysocki*. Cokolwiek sztuczną i zimną wydawała mi się gra panny *Mirskiej*, tem bardziej, że w grze panny *Teodorowicz* przebijała nuta szczerości. Wcale dobre w rolach plotkarek były panie *Niwińska* i *Szumlańska*. — Całość wypadła świetnie. Widać było staranne wyreżyserowanie sztuki i zupełne opanowanie ról przez artystów.

Widz.

Złote myśli.

Żaden morza nie próbuje przebrnąć, bo widzi niepodobieństwo; w kałużę niejeden łatwo lezie, bo się spodziewa przebrnąć. *A. M. Fredro.*

* * *

W ciężkiej dla wszystkich podróży życia nie godzi się własnych ciężarów na cudze barki zwalać.

Mickiewicz.



Moryc Loevy z Chojnic

skazany na 4 lata cuchthauzu za krzywoprzysięstwo; Loevy był też równocześnie posądzony o współudział w morderstwie Wintera, lecz na to brak dotąd dowodów.

Akta w tej sprawie zdaje się jeszcze niezamknięte.

Tutejsza żydowska „Posenerka“ rzęsiste łzy leje nad biednym, prześladowanym Moryckiem. — — —

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Zkąd pan wie, że to był czyn obmyślany z góry?

— Wnoszę z tego, co mi mówił Lheureuse. Pamiętam, jak dziś, każde słowo, które mi kładł w uszy na placu Panteonu.

Powiadał mi: Mój drogi byłbym zupełnie szczęśliwy, opływałbym w rozkosze, jak pączek w maśle, gdyby nie pewien frant, który się kręci około mojej Angielki i chce mi ją zdmuchnąć. Podobno znał już ją wpierw w Londynie i odnowili znajomość tutaj.

„Spotkałem go dwa razy: wychodził od niej, kiedym ja szedł do niej wieczorem. Przypuszczam, że namawia Maryą, żeby wróciła do Anglii, kazała nawet spakować kufry swojej pannie służącej i zagroziła mi, że wyjedzie.

„Bo to widzisz, pokłóciliśmy się o tego franta. Dowiodła mi jednak czarno na białem, że o niego nie dba; więc jej przebaczyłem i dziś o dziewiątej wyprawiam kolacyę."

— Co to był za osieł z tego Lheureuse! — zakonkludował Fanineux.

— Czemużeś pan nie poszedł z tem opowiadaniem do sędziego śledczego — pytał ojciec Lecoq, postanawiając sobie w razie potrzeby powołać się na tę opowieść swojego interlokutora.

— Nie poszedłem — mówił Fanineux, bo i pod tym względem mam swoje zasady. Uważam, że obywatel państwa powinien mówić prawdę przed sądem, jeśli go sąd wzywa. Ale nie ma obowiązku mówić, gdy go nikt nie pyta. Nie wzywano mnie. Cóż to? miałem sam się narażać na przykrość stawania w roli świadka? Sędziowie na to są płatni, żeby wyszukiwali prawdę. Niechże więc starają się zarobić swoje pensye uczciwie. Ja im nie myślę ułatwiać roboty.

— Czy Lheurense nic panu więcej nie mówił? — rzekł Lecoq, tłumiąc drżenie głosu.

— Opowiadał jeszcze dużo, rozklekotował mi głowę zupełnie. Wołał: „Jeżeli ten chłystek pokaże mi się na oczy, to zrzucę ze schodów. Chłopak rosły, barczysty lat dwudziestu ośmiu, ale go się nie ulęknę. To go nauczy wchodzić w drogę poważnemu kupcowi. Mam tyle lat, ile tysięcy rocznego dochodu, ale pomimo to silne pięści. — Miał się czem chwalić, — dodał imć Fanineux z ironicznym uśmiechem. — ten łotr Lecoq rozbił mu czaszkę, zanim on zdołał rękę podnieść.

Słysząc swoje nazwisko z takim epitetem, ojciec podsądnego drgnął, jak gdyby po wtóry raz usłyszał wyrok śmierci na Ludwiku. Był okropnie przygnębiony, bo rysopis mordercy nie odpowiadał wcale wyglądowi Tolbiaca, lecz był jakby portretem jego syna.

Nieszczęśliwy ojciec chciał pytać o dalsze szczegóły rozmowy, lecz w tej chwili do pokoju wpadł jegomość niemniej chudy, jak długi, z figury i twarzy przypominający Don-Kichota.

Był to p. Tamburnac z Tuluzy, z zawodu komiwojażer, rozwożący pasztety, z zamiłowania trubadur i sztukmistrz.

Stanął przed imć panem Fanineux i tęsknym głosem zanucił pieśń do Niezabudki.

Stary Lecoq nie był usposobiony do śmiechu, jednak rozchmurzył się na widok tej komicznej postaci. Wiedział zresztą, że ów dryblas przebiegł wzdłuż i wszerz okolice Savigny i miał nadzieję, że mu udzieli potrzebnych wskazówek.

— Mój panie — zawołał oprysklíwie Fanineux — wzdychaj pan sobie do Niezabudki, gdzie chcesz, byle nie w mojej obecności. Ja z zasady jestem nieczuły na wszelkie wdzięki niewieście, z zasady nie znoszę śpiewu.

— Wiem, wiem, papa Fanineux napchany jest zasadami, jak pasztet strasburski truflami. Dziś wyjątkowo nie będę wam dokuczał mój ojcze. Dosyć się już nadokuczałem przez dwie godziny temu Anglikowi z młyna Grette.

Te słowa obudziły czujność p. Lecoqa. Lada wzmianka o Angliku lub Angielce, przywodziła mu na myśl sprawę z ul. Arbaléte. Był jednak zbyt zręcznym, żeby podchwycić tę aluzyę. Szczęśliwym trafem wyręczył go Fanineux.

— Sądzę raczej, że Anglik panu dokuczył, wyrzucając go za drzwi — rzekł zjadliwie.

— Dowiedz się pan, że nikt jeszcze nie wyrzucił za drzwi Tambournaca — odparł komiwojażer z patosem. — Wasz Anglik ma silne pięści, ale ja jeszcze silniejsze.

— Co tu gadać. Założę się, że pana nawet nie przyjął.

— Chcesz się pan założyć? I owszem, ale o sześć butelek szampana, conajmniej, bo tyle mi trzeba, żeby ugasić pragnienie, które wzbudziłem w sobie namawianiem ludzi na pasztety.

Pan Lecoq skorzystał ze sposobności i nalał komiwojażerowi kieliszek wina.

— Nie odmawia się koledze — rzekł.

— Naturalnie. Pozwolicie obywatelu, że się przedstawię. Jestem obywatelem Oskarem Tambornac z Saint-Gaudens, posłem zwyczajnym i nadzwyczajnym jej książęcej mości pani Trufli.

Lecoq chciał się także zarekomendować, ale dryblas powstrzymał go ruchem komicznym.

— To zbyteczne obywatelu. Wiem, kim jesteś. Objaśnił mnie czcigodny Bonasson. Mam przed sobą Arystydesa Chalumet, przedstawiciela firmy Rawson, Jenkins et Cie. Podróżujesz, obywatelu dla umieszczania win, zbieranych w ojczyźnie pięknych hiszpanek. Ja umieszczam pasztety miasta, w którem ujrzał światło dzienne Klemencyusz Isaure, wynalazca igrzysk kwiatowych. Jesteśmy więc braćmi. Piję za zdrowie twoich miłostek.

Pan Lecoq wychylił kieliszek, bo chciał sobie dodać animuszu.

— Mój kolego, będziecie musieli mi dopomódz — rzekł, siląc się na wesołość. — Spadam tu, jak z księżyca. Pryncypałowie przysłali mnie, bym sprzedawał ich Porto, a ja tu nie znam żywej duszy. Kolega zechcesz kierować mojemi krokami.

— Z wielką radością, obywatelu. Znam ten kraj, jak swoją kieszeń dziurawą i dlatego przepowiadam ci, że nie wpakujesz ani jednej butelki swojego Porto.

— Jakto! nie znajdę nawet klienta w tym Angliku — rzucił Lecoq na chybił trafił.

— Prawda, zapomniałem o *goddamie*. Ten pije wszystko, ale najchętniej wina ciężkie. Łatwo pan w niego wsuniesz całą tonnę Porto; radzę zaprawić ją wódką. Nie braknie mu gorzałki, ma pełne piwnice, ale wsiąka wniego, jak w bibułę, więc zapas wciąż potrzebny.

Radzę ci, obywatelu, zawrzeć z nim znajomość. Tylko trzeba iść wcześnie. Bo już w południe leży, jak kłoda.

— Trudno się z nim dogadać?

— Nie tak dalece, trzeba tylko znać sposób. Niezły to chłopak i w gruncie dobroduszny. Funty szterlingi płyną mu przez palce tak, jak wódka płynie do gardła. Ja naprzykład chwyciłem go za serce, naśladując Gil-Perésa z Palais Royalu. Uwielbia Gil-Perésa, choć go widział dwa razy zaledwie. Dzięki temu naciągnąłem go na dwadzieścia tuzinów rynek z pasztetami. Teraz musi je czemś oblać.

— Czy mieszka na wsi przez cały rok?

— Zapytaj o to papy Fanineux. Ja zjeżdżam tu zwykle na wiosnę, ale co roku od dwu lat znajduję go zawsze na stanowisku i zawsze pijanym, jak trzydzieści sześć tysięcy dragonów.

— Jeżeli się upija, to nie bez powodu — wtrącił Fanineux z miną tajemniczą.

Pan Lecoq domyślił się, że plotkasz szuka sposobności, by wdać się w nowe opowiadanie i nastręczył mu pretekst.

— Czyżby miał sercowe zgryzoty? — rzekł z uśmiechem.

— On! Cóż znowu! — oburzył się Fanineux. — W życiu swem nie kochał nic, oprócz trunków. Zalewa raczej wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty? Czy pan przypuszczasz, że się jakiej zbrodni dopuścił?

— Niejednej może, ale ja o tem niewiem. Dowodzę tylko, że Anglik pędzi życie nienormalne. Naprzód, nigdy z domu nie wychodzi. Nie widuje nikogo, oprócz

swoich młynarzy, a ci wyglądają także na przestępców. Powtóre, niech mi kto wytłomaczy, po co on tu osiadł.

— Od jak dawna tu mieszka?

— Od półtora roku, a nikt nie wie, co go tu sprowadziło. Młyn Yvette wystawiony był na sprzedaż i nie znajdował nabywców, bo budynki waliły się, a przytem miał złą renomę... Otóż pewnego dnia kupił go jakiś pan z Paryża, kupił tanio i zapłacił gotówką, nie mówiąc, na co nabywa. We dwa tygodnie potem Anglik przyjechał koleją ze służącym, który tak wyglądał, jak gdyby uciekł z lasu. Pan i sługa zamieszkali w ruderze, przytykającej do młyna z dziurawym dachem.

— Papo Fanineux, przesadzasz! — zawołał Tambournac. — Ciecze z dachu tylko na drugiem piętrze. Parter i pierwsze piętro urządzone bardzo wygodne... wszędzie dywany.

— Tak, podobno kupił meble. A za co? Wcześniej czy później będzie musiał to wytłómaczyć prokuratorowi Rzeczypospolitej. A młynarze, których umieścił w młynie, nie wyjdą także biało z tego śledztwa.

W chwili tej oberzysta wsunął głowę przezedrzwi i zawołał:

— Panie Tambournac, weterynarz i aptekarz czekają na pana w kawiarni. Chcą rewanżu w bilard.

— Idę, natychmiast — zawołał komiwojażer. — Daruj, kolego, lecz wobec karambolów, wszystkie inne sprawy schodzą na dalsze plany.

Wybiegł, pozostawiając pana Lecoqa na cztery oczy ze śledziennikiem.

Pan Fanineux, tak chętny przed chwilą do gawędy, siedział teraz jak mruk. Wino, zamiast rozwiązać, przeciwnie, spętało mu język. Przyczem czuł się obrażony, że Tambournac wie coś więcej od niego o Angliku z młyna Yvette.

Naprożno Lecoq zwrócił znowu rozmowę na starego Lheureuse; stary plotkarz milczał uporczywie. To też nie chcąc wzbudzać w nim podejrzeń i bojąc się, żeby go nie wziął za agenta policyi tajnej, ojciec Ludwika zaniechał wszelkich pytań w tym przedmiocie. Rozmowa wlokła się leniwie; wkrótce Fanineux wstał i pożegnał się, idąc po codzienną porcyę plotek.

Chalumet obszedł dostojników miejskich i sklepy. Ma się rozumieć nie sprzedał ani jednej butelki wina. Zjadł obiad sam, gdyż Fanineux wychodził ze swej jaskini tylko rano; po obiedzie stary policyant błądził nad brzegami Orge. Gdy mrok zapadł, udał się pod kościół i zastał już tam Piédouche.

— Dowiedziałem się mnóstwa rzeczy — oświadczył mu eks-numer 29 na wstępie.

— Przedewszystkiem zobacz, czy nas nikt nie podsłuchuje. Dziś runo poznałem wielkiego plotkarza i śledziennika. Gotów nas szpiegować. To do niego podobne.

— Ten plotkarz nazywa się Fanineux. Wszak prawda?

— Zkąd wiesz?

— O! nie trudno było się dowiedzieć. Wszyscy go znają w Savigny i wszyscy nie cierpią.

— Gdzie mieszkasz?

— „Pod Zwycięzcą“, to jest pierwsza oberża miejska na drodze do Longjumeau. Pan, panie pryncypale, zatrzymał się „Pod Jeleniem“ u ojca Bonasson. Jadł pan śniadanie z owym Fanineux i z komiwojażerem nazwiskiem Tambournac. Wiem wszystko.

— A czy się dowiedziałeś czego nowego?

— Wpadłem na dwa tropy. Naprzód mówiono mi o pewnym dworze w okolicy, wynajętym na cały rok przez Paryżan, mężczyznę i kobietę. Nie mieszkają w nim, tylko przyjeżdżają na dzień, na dwa, czasem na tydzień. Nie przyjmują nikogo i nikt ich nie zna. To coś jakby nasza para. Dalej dowiedziałem się, że w pobliżu mieszka jakiś Anglik...

— Przy młynie?

— Więc i pan pryncypał o nim słyszał? Podobno żyje, jak wilk w jaskini, nikogo do siebie nie dopuszcza. Młyn stoi bezczynny, a młynarz wyrusza w świat ze swoją młynarką i niewiadomo gdzie się błąkają.

— Zkądże się o tem wszystkiem dowiedziałeś?

— Chodziłem od domu do domu z igłami i nićmi. Słuchało się, co ludzie mówią. Od pani aptekarzowej wiem, że ten Anglik nazywa się Atkins. Służąca proboszcza opowiadała, że ma lat czterdzieści, żona weterynarza, że musiał być przystojnym i że dziś jeszcze nie brzydki. Wszycy w Savigny zajmują się jego osobą.

— A kto mieszka w młynie? — pytał pan Lecoq.

— Jest tam troje ludzi: mężczyzna, kobieta i wyrostek do grubszych robót. Ale co dziwniejsze, to, że mężczyzna i kobieta zmieniają się co czas jakiś. Przez kilka dni siedzi w młynie jedna para, potem przychodzi inna, a tamta znika.

— Doprawdy? To już jest podejrzane.

— Wszystko tam podejrzane. Muszę jutro dostać się do tego młyna.

— A ja jutro pójdę do Anglika.

— Żeby mu proponować wino. Dobrze się składa, bo w niego wsiąka, jak w gąbkę.

— Jutro rano spotkamy się tu o tej samej godzinie. Na pojutrze zostanie nam do zwiedzenia ów dwór.

— To niedaleko, o trzy kilometry, a o 1,500 metrów od młyna. Miejscowość nazywa się Sequigny...

Piédouche chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pan Lecoq ścisnął go znacząco za ramię. Noc była ciemna. Rozmawiali ze sobą w zagłębieniu muru kościelnego, w cieniu i będąc niewidzianymi, widzieli drogę.

Pan Lecoq spostrzegł jakiś cień, zakradający się pod domami.

— Trzeba się rozejść — szepnął. — Spotkamy się jutro.

Podążył na prawo, Piédouche skręcił na lewo.

Człowiek, który ich zaniepokoił, wsunął się w boczną ulicę i zniknął. Przechodząc obok apteki, jeszcze oświetlonej, pan Lecoq dojrzał lepiej to indywiduum i zdawało mu się, że po ruchach poznaje pana Fanieux.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz pan Lecoq wstał bardzo wcześnie i oznajmił oberżyście, że chce jeść śniadanie o ósmej. Miał do tego swoje powody. Nie chciał się spotkać z nieznośnym Fanineux. Przewidując, że ten zechce go śledzić z nudów i przez wrodzone zamiłowanie do szpiegostwa, niby od niechcenia powiedział ojcu Bonasson, że obejdzie Viry, Grigny i Ris; w istocie miał zamiar wyjść z Savigny drogą, wiodącą do Viry i o pół kilometra dalej skręcić w stronę młyna Yvette. Obznajomił się już dokładnie z topografią kraju, przytem miał w kieszeni doskonałą mapę całej okolicy.

Wyruszył pieszo. Doszedłszy do Orge, szedł wzdłuż tej rzeczki, bardzo bystrej, do której o kilometr po za miastem wpada Yvette, w pobliżu stacyi kolejowej z jednej strony, a wioski Villemoisson — z drugiej.

Po półgodzinnym marszu, ojciec Lecoq ujrzał zdala dom, przytykający do lasu; dom miał dwie spiczaste wieżyczki, co mu nadawało wygląd pałacu.

— To musi być Sequigny, o której wspominał Piédouche — myślał sobie Lecoq.

W chwili tej na zakręcie ścieżki, wśród drzew nadbrzeżnych, zobaczył księdza. Szedł czytając brewiarz i wcale go nie widział.

Takie spotkanie nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa, to też Lecoq chiał ukłonić się siwowłosemu kapłanowi, gdy ten nagle ze ścieżki zeszedł na brzeg, nie przerywając czytania.

Stary policyant postanowił przyglądać się mu nieznacznie, bo go nagle tknęło przeczucie, że ksiądz nie przyszedł po to tylko, by czytać brewiarz.

Jakoż istotnie, stanąwszy nad brzegiem, osłonił sobie ręką oczy i coś upatrywał.

W tejże chwili po drugiej stronie podniósł się z ziemi tęgi chłopak i począł wymachiwać rękoma. Ksiądz odpowiedział na to znakiem przyzywającym.

Chłopak zniknął. W miejscu tem rzeczka Orge jest bardzo gęsto zarosła, a p. Lecoq stał o jakie trzydzieści metrów nad brzegiem prawym. Tłómaczył on sobie, że chłopak zeszedł w zarośla i dlatego jest niewidocznym. Ksiądz spuścił się ku nim także i znikł z przed oczu starego policyanta.

— Musi tam być jakaś łódka — pomyślał Lecoq. — Ten chłopak jest zapewne przewoźnikiem. Przyjechał po księdza. Dziwna jednak... Most o trzysta stóp wyżej. Czemuż ksiądz nie poszedł po moście?

Ta myśl skłoniła starego policyanta pozostać na miejscu i czekać, co będzie dalej. Nikt jednak nie ukazywał się ani na drodze, ani na polu, a w pobliżu była tylko mała chałupka, służąca zapewne za schronisko dla pasterzy lub dla myśliwych.

Po chwili ksiądz pojawił się na drugim brzegu. Oparty o ramię przewoźnika, szedł do owej chatki. Rozmawiali z wielkiem ożywieniem.

Lecoq był zadaleko, aby usłyszeć ich słowa, nie dochodziły go nawet dźwięki, ale widział gesty bardzo żywe i częste.

— Widocznie rozmowa interesująca. Możnaby sądzić, że to nauczyciel z uczniem — myślał ojciec Ludwika.

Tymczasem tamci dwaj doszli do chałupy, chłopak drzwi otworzył, przepuścił księdza naprzód i wszedł za nim.

Chałupa musiała mieć okna, wychodzące na łąki, od strony rzeki nie było ani jednego.

Stojąc na lewym brzegu obserwator nie mógł widzieć, co się dzieje za ścianą drewnianą. Dał więc za wygraną spostrzeżeniom i poszedł dalej.

— Wszystko jest dziwne w tej okolicy — Myślał. — O czem ten przewoźnik może rozmawiać z księdzem w pustej chałupie? Muszę to wyświetlić.

Odwrócił się jeszcze kilka razy, bo go korciło, że pozostawia tajemnicę za sobą, ale szedł dalej i niebawem oczom jego przedstawił się nowy krajobraz.

Wybrzeże, dość płaskie, na zakręcie drogi spuszczało się stromo ku rzece; Yvette płynęła pomiędzy dwoma nagiemi wzgórzami, tworzącemi swoim ponurym widokiem dziwną sprzeczność z otaczającą ją wesołą naturą. W miejscu tem Orge wpadała do Yvette.

Na półwyspie, utworzonym przez ten dopływ, wznosił się młyn, a dalej dom, pokryty dachówką, wyzierający trzema oknami o wybitych szybach. Po bokach dachu sterczały dwie chorągiewki zardzewiałe, pośrodku strzelał w górę piorunochron. Do drzwi wchodowych wiódł ogromny ganek na kolumnach omszonych; schody zarastała trawa i pokrzywy. Słowem, zewsząd wiało pustką i opuszczeniem.

Po prawej stronie od młyna była kładka na Yvette, o sto kroków na lewo — stary mostek rzucony był na Orge. Z dwóch stron ułatwiony był dostęp.

Koła młynu stały nieruchome z braku wody, albowiem śluzy były spuszczone.

Zresztą koła nie mogłyby się już obracać: osie były przegniłe, brakło szpryc. Młyn był jednak zamieszkały. W otwartych oknach suszyła się bielizna.

P. Lecoq nasłuchiwał: w pierwszej chwili nic nie mógł dosłyszeć, dopiero potem do ucha jego doleciały dźwięki jednostajne, wydobywające się jakby z łożyska rzeki.

Możnaby sądzić, że ktoś rozwala młyn siekierą. Zaciekawiony p. Lecoq przeszedł po kładce i mógł zobaczyć, co się dzieje w głębi kanału idącego od rzeki. Ów kanał był suchy. Mur dość jeszcze mocny zbudowany był wpoprzek wód Yvette, śluzy były jeszcze w niezłym stanie.

Jakiś człowiek kopał na dnie tego kanału. Stał odwrócony plecami do p. Lecoqa i tem samem nie mógł go widzieć. Kopał otwór w kształcie wydłużonego kwadratu.

Stary policyant chciał się już oddalić, gdy nagle pod jego nogami zaskrzypiała deska. Grabarz odwrócił się i ujrzał nieznajomego.

Natychmiast odrzucił łopatę, podbiegł do drabiny przystawionej do muru i wdrapał się na nią żywo. Po chwili podniósł śluzy, a woda zalała kanał.

— Co za dziwne manewry! — pomyślał p. Lecoq. — Ten człowiek podnosi śluzy, ale widocznie nie po to, by młyn w ruch puścić. Dlaczego też uciekł, gdy mnie zobaczył.

Pozostawiając zwiedzenie młyna Piédouche'owi, który się tego podjął, p. Lecoq zwrócił swe kroki ku domowi.

Musiał przechodzić obok młyna. Drzwi były otwarte na oścież, jak gdyby dla zawiadomienia, że młynarze nie potrzebują się z niczem ukrywać.

Nie było jeszcze dwunastej, więc p. Lecoq spodziewał się zastać Anglika w stanie trzeźwym.

Przyspieszył kroku i torując sobie drogę przez zarosły dziedziniec, wszedł na ganek zarzucony pustemi butelkami. Popchnął drzwi uchylone i znalazł się w dużej izbie, która dawniej musiała służyć za przedpokój.

W tej sali nie było innych mebli, oprócz ogromnego stołu jadalnego. Na kominie płonął ogień, przy nim klęczał rudy mężczyzna, warząc coś w mosiężnym rondlu.

P. Lecoq zakaszlał, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mężczyzna odwrócił się i ukazał twarz zarosłą po same oczy. Podobny był do orangutanga.

— Czego pan chce? — zawołał z akcentem angielskim.

— Chcę się widzieć z p. Atkinsem?

— Jerzym?

— Tak z p. Jerzym Atkinsem.

— Spi.

— Poczekam, aż się obudzi.

— Jak się obudzi, będzie pił grog.

— No to się z nim zobaczę, jak grog wypije.

— Czego pan chce od niego?

— Chcę mu sprzedać wino.

— Wina nie pije — odparł orangutang, widocznie służący Atkinsa. — Używa tylko wódki i *ginu.*

— Moje wino jest mocniejsze od najmocniejszej wódki. Zechce go pić, jak tylko skosztuje. A nawet ręczę, że nie zechce pijać nic innego.

Orangutang zamyślił się, wreszcie spytał:

— Czy pan sprzedaje to wino na kredyt?

— Twój pan będzie mógł mi go spłacać przez trzy lata — odparł mniemany komiwojażer, gotów ma się rozumieć do wszelkich ustępstw.

— A kiedy pan dostarczy swoją beczułkę? Mój pan nie kupuje inaczej, jak w beczułkach.

— Za tydzień najdalej otrzyma ich dziesięć.

— A ja jedną, co?

— Ty dwie.

— No, to niechże pan idzie na górę. Jerzy tylko co wstał, prawie trzeźwy. Sposobność jedyna.

— Czy nie pójdziesz ze mną?

— Nie, ja nie mogę odstąpić kociełka.

— Powiedz że mi przynajmniej, gdzie znajdę p. Atkinsa?

— W pokoju na prawo, nad schodami. Wejdź pan bez stukania. Drzwi otwarte.

P. Lecoq pośpieszył na górę. Schody były miejscami powyrywane, brakło poręczy.

Trzeba było nielada zręczności i dobrych nóg, żeby się nie poślizgnąć.

Tynk opadał z sufitu, a tapety ze ścian, tworząc co krok przeszkody, które trzeba było przesadzać. P. Lecoq wszystkiemu temu podołał i doszedł szczęśliwie na pierwsze piętro.

Popchnął drzwi na prawo. Pośrodku pokoju, na bujającym fotelu, przed kominkiem siedział mężczyzna olbrzymiego wzrostu i przerażającej tuszy. Włosy konopiaste spadały mu w kosmykach na oczy, błędne, przygasłe, podobne do oczu ryby ugotowanej. Dolna warga spadała na potrójny podbródek, ukazując zęby białe i spiczaste.

Ten hipopotam ubrany był w spodnie płócienne i czerwoną koszulkę wełnianą. W ręce trzymał pełną szklankę i podnosił ją do ust w chwili, gdy Lecoq stanął na progu.

Skoro go ujrzał, mruknął przeraźliwie, a potem zaklął po angielsku:

— *Damn your eyes! Go in the hell rascal!**)

Lecoq wiedział co to znaczy, lecz udał, że nie rozumie. I wypowiedział po francuzku małą oracyę, którą był sobie z góry ułożył.

— Szanowny panie — zaczął — czy pozwoli pan wina, prawdziwego Porto, wyrabianego umyślnie dla Anglii? Po dwadzieścia szylingów sześć pensów za galon! Płatne za trzy lata!

Słysząc te ostatnie słowa, olbrzym postawił szklankę na stole i spojrzał ze wściekłością na człowieka, który mu robił tak korzystną propozycyę.

— Coś ty za jeden? — mruknął, tocząc groźnym wzrokiem. — Pewnie łotr, jak wszyscy komiwojażerowie? Chcesz mnie oszukać. Ale mnie nikt nie oszuka. To ja oszukuję innych.

— Pan lubi żarty, panie Atkins. Śmiejmy się; i ja nie od tego — rzekł ojciec Ludwika.

— Ja nie żartuję. Powiadam ci, że ofiarujesz mi kredyt na przynętę, a potem będziesz mnie nudził i pozywał o zapłatę.

— Ja miałbym pana pozywać! Oszalałbym chyba! Kto pozywa tak bogatego gentlemana?

— Zkąd wiesz, że jestem bogaty? Zapewne powiedział ci to twój kolega, ten, który tu był wczoraj i wkręcił mi stęchłe pasztety. Otóż powiedz mu odemnie, że nie zobaczy moich pieniędzy za swój towar.

— Dobrze pan zrobisz: nie należy płacić za towar lichy. Ale moje Porto wyborne, a jak się go pan napijesz, to ręczę, że pieniądze dostanę. Prawdziwe Porto firmy Rawson, Jenkins *and C-ie.* Ile pan chce beczułek? Napiszę zaraz dzisiaj do Liverpolu.

— Do Liverpolu? Więc jesteś Anglikiem? Idź do djabła! Nienawidzę Anglików. Chciałbym, żeby Liverpol zapadł się w ziemię. Tam wygwizdano moją matkę.

---

*) Przeklęte twoje oczy! Idź do piekła łotrze!

Ostatnie słowa uderzyły p. Lecoqa. Nie dbał o wymyślanie pijaka. Zamiast się wynosić, usiadł i rzekł najspokojniej:

— Powiadasz pan, że wygwizdano pańską matkę w Liverpolu. W takim razie pańska matka byłaby aktorką. Ale wiem, że to żart. Nigdy nie uwierzę, że pan nie jest gentlemanem.

— Milcz — wrzasnął pijak, uderzając w stół pięścią — nie mówiłem ani o wygwizdaniu... ani o mojej matce... Zabraniam ci wspominać o tem.

Chwycił szklankę i wychylił ją do dna.

— Mniejsza o to. Wolę mówić o swoich sprawach, niż o pańskich, — odparł udany komiwojażer. — Mówiliśmy więc, że pan niecierpi Anglików. Cieszy mnie to, bo ja jestem Francuzem z dziada pradziada.

— Więc czemuż służysz u łotrów z Liverpolu?

— Bo mi dobrze płacą i sprzedają przednie Porto. Lubię dogadzać swojej klienteli.

— Jak się nazywasz? — spytał pijak obcesowo.

— Arystydes Chalumet. Żaden syn Albionu nie zwał się nigdy Arystydesem Chalumet.

— Więc nie jesteś Tambournacem?

— Nie. Tambournac jeździ z pasztetami.

— Błazen. Nie pija *ginu*. A ty, czy pijesz *gin?*

— I owszem, ale grog więcej mi smakuje.

— Ręczę, że nie wiesz nawet, co to grog. Załóżmy się, że myślisz, że wlewa się w niego wodę z cukrem.

— Cóż znowu! Grog z wody to dobre dla dziewic. Czysty rum z cytryną, rzecz inna.

— Trzy kwaterki rumu, trzy *ginu*, trzy szczypty pieprzu i muszkatułowa gałka. Potem gotuje się to wszystko.

— Wiem. Pański groom mi pokazał.

— Czy chcesz skosztować?

— Ależ z rozkoszą. Groom idzie właśnie na górę.

W istocie drzwi otworzyły się i wszedł rudy służący niosąc ogromną wazę, napełnioną po brzegi napojem piekielnym.

— Mój chłopcze — rzekł Arystydes Chalumet — interes skończony. — Pan Atkins zamówił u mnie dziesięć beczułek mojego najlepszego Porto. Nie cofam obietnicy. Dostaniesz dwie darmo.

— Wypiją się — mruknął lakonicznie rudowłosy.

— Chalumet, jesteś bardzo hojny — wtrącił Atkins podejrzliwie. — Kto cię tu przysłał? Pewno ten gałgan Harry.

— Harry? — Nie znam żadnego Harry. — Co to za jeden?

— Gałgan, mówiłem ci, że gałgan, ale to nie twoja rzecz.

— O! Nikt mnie tu nie przysłał. Sam przyszedłem, bo mi mówiono o panu w Savigny.

— Dobrześ zrobił. Podobasz mi się, choć jesteś suchy, jak śledź wędzony. Kiedyż dostanę moje dziesięć beczułek?

— Za dwa tygodnie najwyżej. Wystawię na pana weksel, płatny za trzy lata. Ale po trzech latach pan zapłaci?

— Niech Harry płaci. Wystaw weksel na niego. A jak ci zapłaci, to go zastrzel. Przysłużysz się światu.

— Nie znam żadnego Harry — powtórzył fałszywy komiwojażer.

— Prawda — mruknął pijak. — No to wystawię weksel na siebie. Za trzy lata będę bogaty... a nawet przed trzema laty... Harry powiada, że za dwa tygodnie będę miał miliony.

Serce zabiło żywiej w p. Lecoq. Jerzy Atkins powiedział, że będzie bogaczem i to dzięki jakiemuś Harry. Poprzednio mówił, że wygwizdano jego matkę w Liwerpolu.

Słowa te miały doniosłe znaczenie dla ojca Ludwika: wiedział on, że Harry to po angielsku Henryk, że Tolbiac ma takie imię, dalej, że Helena Fassitt, młodsza siostra majora Sullivana, wyszła za mąż w Anglii za wędrownego aktora. Jej siostrzenica Zofia Nesley, wstąpiła może także na scenę.

Coprawda, przypuszczenia były jeszcze nie udowodnione, ale rzekomy komiwojażer miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej.

— Rudowłosy orangutang postawił na stole dymiącą wazę. Wyjął ze spróchniałego bufetu olbrzymią szklanicę postawił ją przed Arystydesem Chalumet. Złożywszy mu taki dowód swej wdzięczności odszedł w milczeniu.

— Czy umiesz pić?—zapytał pijak, patrząc na ojca Lecoq.

— Nie gorzej od pana — odparł tenże rezolutnie.

— To się pokaże. Musimy we dwóch wypróżnić wazę. Jeżeli ustaniesz wpół drogi, to nie kupię twojego Porto i każę cię za drzwi wyrzucić.

— Ustanę dopiero, gdy nie będzie ani kropli w wazie.

— Wtedy ja każę przynieść dla siebie drugą wazę, a ty możesz położyć się pod stół albo na stół, jak będziesz wolał.

— Kładę się tylko do łóżka. A teraz za pańskie miliony.

— Moje miljony! moje miljony! — powtarzał Anglik, do kilku łykach ognistego napoju. — Nie mam tych miljonów i nigdy nie będę miał.

— Jeżeli czeka pana spadek?

— Kto ci mówił, że mam dostać spadek?

— Pan — rzekł niestropiony Lecoq.

— Kłamiesz! Nie spodziewam się spadku, a gdybym się spodziewał, tobym o tem nie mówił nikomu. Nie wolno mi.

Lecoq zagryzł usta. Miarkował, że się zbytnio zapędził. Atkins nie był jeszcze tak pijanym, aby się serce otwierało do wyznań.

Tymczasem ojciec Ludwika myślał, jakby nieznacznie wlewać pod stół zawartość szklanicy, bo nie chiał się upić.

— No, to mówmy o czem innem — rzekł. — Będę musiał wrócić wcześniej do Tavigny, żeby trafić na pociąg paryski. Czy pan często jeździ do Paryża, panie Atkins?

— Nigdy! — zawołał pijak. — Harry nie pozwala.

— Wielka szkoda! Zjedlibyśmy razem obiadek, a potem poszlibyśmy do teatru.

— Do teatru! — wrzasnął Atkins. — Śmiesz mi wspominać o teatrze. Więc nie wiesz, że byłem aktorem... najlepszym w Anglii, i że gardzę komedyantami francuskimi!?

— Doprawdy! Pan byłeś artystą?!

— Tak, marny robaku, tak, byłem artystą... Grywałem na wszystkich scenach trzech królestw. Gdybyś mnie był widział w roli Falstaffa, poznałbyś co to wielki artysta.

— O! tak, pan stworzony na Falstaffa.

— Czy dlatego, że jestem gruby? Otóż dowiedz się, mydłku, że grywałem i Hamleta i Romea. Jestem urodzony na deskach teatralnych... i to z rodziców, którzy grywali na scenie Hag Market obok wielkiego Keana. Moja matka stwarzała Desdemonę. Jej imię pozostanie nieśmiertelnem. Nazywała się...

W chwili, gdy pijak miał wymienić jej nazwisko, oczekiwane tak niecierpliwie przez p. Lecoqa, drzwi otworzyły się nagle.

Komiwojażer odwrócił się ku i swemu zdumieniu ujrzał na progu żandarma.

Było to zjawisko wcale nie pożądane dla Arystydesa Chamulet. Nie stracił jednak fantazyi i czekał na wyjaśnienia.

— Czołem tak zacnej kompanii — rzekł uprzejmie żandarm — chciałbym powiedzieć kilka słów niejakiemu Arystydesowi Chalumet.

— To ja — oświadczył Lecoq, powstając.

— W takim razie zechciej pan wyjść ze mną na dziedziniec.

P. Lecoq stworzony był do trudnych sytuacyi i umiał oryentować się w nich szybko. Odgadł zaraz, że imć Fanineux doniósł żandarmeryi o pojawieniu się jakiegoś podejrzanego indywiduum i że teraz zażądają od niego papierów.

— Do usług waszych, panie brygadyerze — zawołał powstając.

— Ho! masz zatargi z policyą, przyjacielu Chalumet — wtrącił Atkins. — Szkoda, żeś się nie naturalizował w Anglii tam niema żandarmów.

— To zaraz widać — odciął żandarm. — U nas we Francyi, nie wypuszczają z kraju waryatów.

Atkins nie miał widocznie ochoty zadzierać ze zbrojną władzą, bo nic na to nie odrzekł, zwrócił się do przedstawiciela firmy Rawson, Jenkins & C-ie, wołając:

— A nie zapomnij o moich dziesięciu beczułkach. Trzy lata kredytu. Dostaniesz pieniądze, bo za trzy lata będę bogaty. A teraz idź się przespać w areszcie.

— Bądź pan spokojny. Dziś jeszcze napiszę do Liwerpolu i zamiast dziesięciu, dostanie pan dwanaście.

Poszedł za żandarmem. W sieni ujrzał rudowłosego pachołka. Uśmiechał się złośliwie. On to zapewne posłał żandarma na górę. Gdy wyszli z rudery, Lecoq zapytał:

— No, panie brygadyerze, powiedzcie mi, czego odemnie chcecie. Nie mam czasu na długie gawędy.

Żandarm pozwolił nazywać się brygadyerem, choć był zwyczajnym żołnierzem; pochlebiło mu to nawet, ale znał swój obowiązek.

— Naprzód pokaż mi pan swój paszport.

— Mój paszport? Nie mam go przy sobie.

Istotnie p. Lecoq, wyruszając na tę wycieczkę, zostawił papier urzędowy w kuferku, a zabrał tylko cenniki firmy Rawson.

— Więc pan nie chcesz się wylegitymować? — mówił żandarm.

— I owszem. Mam w portfelu dowody, że jestem komiwojażerem i zaraz je przedstawię.

— Nie o to chodzi. Można być komiwojażerem i złoczyńcą. Musisz mi pan wykazać, że jesteś upoważniony przez prefekta policyi do odbywania tych wędrówek po kraju.

— Dowiodę to panu dziś wieczorem w hotelu „Pod Jeleniem“, gdzie zamieszkałem. Właściciel jego p. Bonasson odpowie za mnie.

— Mało dbam o świadectwo Bonassona i nie mogę czekać do wieczora.

— Jeżeli panu powiadam, że papiery mam w porządku, to możesz pan chyba puścić mnie w spokoju. Pozostawiłem bagaż w hotelu, toć przecię nie ucieknę pieszo tak jak stoję.

— Nic nie wiem. Musisz pan iść ze mną.

— Dokąd?

— Do Savigny, a ztamtąd do miasta powiatowego, jeżeli pan nie potrafi udowodnić swej tożsamości.

P. Lecoq był wściekły. Spotykało go to w chwili, gdy miał już zdobyć klucz do zagadki. Ucieczka była możliwa, gdyż żandarm w ciężkich butach nie byłby go dogonił, ale taką ucieczką p. Lecoq zagrodziłby sobie drogę do dalszych eksploatacyi tej ciekawej okolicy.

Gdy się tak bił z myślami, Opatrzność zesłała mu wiernego Piédouche'a.

Szedł naprzeciw ze swoim tłomoczkiem, a zdążał wprost do młyna.

— Co ja się kłopocę — rzekł sobie ojciec Ludwika — ten poczciwy chłopiec wyręczy mnie do jutra. Tymczasem trzeba się poddać konieczności, bo innej rady niema.

— No, panie brygadyerze — odezwał się do żandarma — będę panu posłuszny, choć żal mi dnia straconego. Do pana żalu nie mam, bo spełniasz tylko swój obowiązek. I jabym to samo zrobił na pańskiem miejscu. Savigny ztąd niedaleko. Za godzinę przekonasz się pan o swojej pomyłce i pozwolisz mi prowadzić dalej mój interes.

— Nie mam nic przeciw temu — mruknął żandarm.

Oddalili się w najlepszej zgodzie, niebawem wszczęła się gawenda wśród której poczciwiec dał do zrozumienia Arystydesowi Chalumet, że jeden z mieszkańców Savigny podał na niego denuncyacyę, oskarżając przedstawiciela firmy Rawson, iż przybył tu w zamiarze propagandy socyalistycznej i że wina hiszpańskie służyły mu tylko za pretekst plądrowania po okolicy.

Pan Lecoq był pewny, że sprawcą denuncyacyi był Fanineux, a utwierdził się jeszcze w tem mniemaniu, gdy go ujrzał krążącego naokoło hotelu. Uśmiechał się nawet złośliwie, ale ta uciecha nie trwała długo, gdyż Bonasson dał jaknajlepsze świadectwo o swoim lokatorze, a nadto ten ostatni pokazał paszport, pozostawiony w kuferku. Żandarm puścił go swobodnie.

Ale nie na tem był koniec utrapień rzekomego Arystydesa. Podczas, gdy przeglądano jego paszport, p. Lecoq od niechcenia wziął do rąk dziennik, leżący na stole i oczy jego padły na słowa następujące:

„Wczoraj, izba karna sądu apelacyjnego odrzuciła rekurs Lecoqa, skazanego na śmierć 30 kwietnia r. z. przez sąd przysięgłych departamentu Sekwany“.

ROZDZIAŁ VII.

Piédouche, stosownie do planu, nakreślonego przez pryncypała wyruszył do Savigny dość późno i drogą prowadzącą wprost do Yvette.

Poprzednio jednak obszedł wszystkie chaty okoliczne, rozmawiał ze wszystkimi parobkami i pastuchami, sprzedając im za tanie pieniądze artykuły codziennej potrzeby.

Wszędzie zyskał sobie sympatyę. Przyjmowane go tem chętniej, że kolporterowie od pewnego czasu nie zaglądali w te strony. Mieszkańcy odpowiadali mu chętnie na jego pytania, byli jednak powściągliwi w słowach, gdy im wspominał o młynie Yvette. Kiwali tylko głowami, przybierając miny tajemnicze. Młynarze budzili widocznie strach przesądny wśród okolicznej ludności.

Piédouche dotarł właśnie do Yvette, przeszedł po kładce, gdy nagle ujrzał swego pryncypała, rozmawiającego z żandarmem na dziedzińcu.

Zaniepokoiło go to bardzo. Miał ochotę wtrącić się do tej rozmowy, ale zrozumiał, że to może tylko zaszkodzić sprawie i postanowił być ostrożnym.

— Lepiej usłużę pryncypałowi, pracując tutaj dla niego, niż biegnąc za nim — wytłómaczył sobie i podążył do młyna.

Drzwi były otwarte. Wszedł, a że izba była pusta, więc mógł jej się przyjrzeć dowoli. Na podłodze leżały żarna, worki, drabina przystawiona była do otworu w suficie, w podłodze było także kilka klap zamkniętych.

W ścianach ani jednego okna, światło przenikało przeze drzwi i przez otwór, wiodący na górne piętro; w izbie panował półmrok.

Piédouche mógł był łatwo przejrzeć wszystkie kąty, ale był ostrożny, w obawie, że go śledzą, przysiadł na kamieniu, jak człowiek zmęczony noszeniem tłomoka, potem zaczął uderzać kijem w podłogę do zameldowania swojej obecności.

Stukanie usłyszano u góry i na dole. Piédouche zobaczył głowę kobiecą w otworze nad drabiną. Nie dostrzegł jednak, że w podłodze otworzyła się także i wyłoniła się z niej głowa mężczyzny.

— Dzień dobry, matko — zawołał. — Może zechcecie zrobić początek. Mam towar przedni.

To zaproszenie zostało przyjęte mruknięciem. Głowa mężczyzny znikła natychmiast i zamknęła klapę. Jednocześnie po drabinie spuściła się kobieta i stanęła przed Piédouchém.

Była to istota sucha, długa, miała oczy zapadłe i skórę, jakby wygarbowaną, wytrzeszczała zęby żółte i niemniejsze jak u starego konia, potrząsała głową, na której sterczały siwe kosmyki włosów.

Typowa wiedźma, głowa Meduzy.

— Czego tu chcecie? — zawołała ostro.

— Łatwo się domyślić, kochana gosposiu: — odparł Piédouche — chciałbym sprzedać chustki, pończochy, płótno.

— Nic nie kupię. Nie potrzebuję fatałaszków! krzyknęła megera.

Zresztą widać było po niej, że nie dba o stroje, miała nogi bose, szyję gołą i spódnicę kusą, wytartą. Co prawda przeszła już granicę wieku, w którym kobiety bywają zalotne. Piédouche zrozumiał, że jego paciorki i kamyki sztuczne jej nie nęcą.

— Wynoście się ztąd! — zawołała wskazując mu drzwi ruchem groźnym.

Były agent zmienił ton odrazu.

— Nie gniewajcie się, matko, rzekł spokojnie, sprzedaję tanio, ale nikogo nie zmuszam. Wszedłem tu, bo mnie noga boli, a przy tem pić mi się chce okropnie. Czy nie mógłbym dostać szklanki wina i spocząć u was kilka godzin. Ma się rozumieć, zapłacę — dodał, uderzając się po kieszeni, która wydała dźwięk metaliczny.

— Tu nie oberża mruknęła wiedźma.

— Widzę — rzekł Piédouche łagodnie — ale to nie powód, żeby wyrzucać za drzwi biedaka, który nic nie chce, tylko odświeżyć się i odpocząć.

— Musicie mieć dużo pieniędzy, jeżeli chcecie koniecznie wydawać — wtrąciła stara ogarniając go spojrzeniem badawczem.

— Dzięki Bogu, nieźle mi poszło w tym roku. Zebrałem już cztery tysiące franków, i jak tak pójdzie dalej, to będę mógł dokupić łąkę za moim ogrodem. Bo to trzeba wam wiedzieć, matko, że jestem z Bourg d'Oisans w Delfinacie, i mam już tam kawał gruntu. Nie spadło mi to z nieba... O, nie.,. Człowiek włóczy się po kraju od lat piętnastu. Napatrzy się wiele rzeczy ciekawych, ale też się utrudzi. Dziś naprzykład idę z Palaiseau, chciałem dostać się do Morthery, albo przynajmniej do Saint-Michel, ale już daję za wygraną. Kupiłem nowe buty na jarmarku w Sceaux. Uwierają okropnie. Mam je na nogach od sześciu godzin zaledwie, a już chodzić nie mogę.

Więc jak zobaczyłem ten młyn, powiedziałem sobie: Młynarze to zwykle dobrzy ludzie. Wejdę, a choćbym nic nie sprzedał, to dostanę kilka łyków wina. Będzie mnie to taniej kosztowało niż w szynku.

— Mam tylko wino w butelkach po trzydzieści centymów.

— Jeżeli dobre, to niedrogo. Mogę sobie pozwolić na taki zbytek.

Piédouche wyjął z kieszeni spory trzos skórzany, rozwiązał rzemyki i podał młynarce pięciofrankówkę, znajdującą się licznie w doborowej kompanii.

Chytry agent domyślił się, że wiedźma chce wpierw przekonać się o jego wypłacalności i naumyślnie złotem jej zabłysnął.

Ojciec Lecoq zaopatrzył go obficie w monetę, wiedząc, że pieniądz jest nerwem wszelkich wypraw wojennych.

Ten popis wywarł skutek pożądany. Oczy starej zabłysły, chwyciła pięciofrankówkę łapczywie.

— Gdybyście mi pozwolili zostać tutaj do jutra, — rzekł Piédouche — to nie żądałbym reszty.

Wiedźma namyślała się nad tą propozycyą, a tymczasem wrzuciła pięciofrankówkę w otchłań swej kieszeni.

— No i jakże? — pytał rzekomy kolporter.

— „Mojego“ w domu niema — mruknęła stara. — Muszę z nim naradzić się. Tymczasem przyniosę butelkę. Jak ją wydudlicie, to wolno wam zostawić tłomok i pójść się przespać na trawie, zanim Chauffaille wróci. Poszedł do Corbeil z mąką, nie przyjdzie, aż wieczorem. Chauffaille, to mój stary.

— A więc, zgoda, mamo Chauffaille — zawołał Piédouche, wchodząc w dobrą komitywę z megerą.

Położył tłomok na workach z mąką. Stara uderzyła nogą w podłogę.

Klapa, która już się raz uchyliła przy wejściu Piédouche'a, podniosła się znowu, i ta sama głowa ukazała się w otworze.

— Jakóbie! butelkę zakorkowaną! — Prędzej! zawołała stara.

Jakób spuścił się w czeluści, po chwili przyniósł butelkę i odkorkował.

Wiedźma nalała winem kubek blaszany i podała go kolporterowi.

— Gdzieście nocowali w Palaiseau? — rzekła. — Pytam o to, bo mam kuzyna oberżystę na przedmieściu.

— Oberża, w której się przespałem, niema żadnego godła, ale możnaby ją przezwać *Pod Gołem Niebem.* Nocowałem w stodole na sianie. To taniej kosztuje i nie trzeba pokazywać papierów.

— A nikt was nie pytał, dokąd idziecie? — wycedziła wiedźma przez zęby.

— O! nikt. Gdyby za moim powrotem do kraju, mój mer chciał wiedzieć, gdzie byłem, to choćby rozpisywał listy po całym kraju, niewieleby wskórał, bo nie nocuję nigdy po wsiach, ani po miastach. To dla mnie za drogo. Zdrowie wasze, matko Chauffaille.

Piédouche miał swoje powody, dla których to kłamstwo wygłaszał, a stara miała zapewne swoje, dla których mu zadawała pytania.

Odpowiedź podobała się jej widocznie, albowiem rozchmurzyła nieco jej twarz wstrętną.

— Weźcie sobie tę butelkę — rzekła — dopijcie ją na trawie. Na drugim brzegu jest wyborne miejsce do drzemki, pod brzozami. Przyszlę po was Jakóbka, gdy „mój“ wróci.

— Zacna z was kobieta, matko Chauffaille, a macie wino przednie. Dziś wieczorem napijemy się razem za wasze zdrowie. Tymczasem pójdę się przespać.

Piédouche wyszedł, nie zapomniawszy o butelce. Podążył zwolna na miejsce wskazane. Trzeba było przejść po kładce, żeby się dostać do owej kępki brzóz. Kolporter, idąc, przyglądał się bacznie młynowi zewnątrz.

Koła były zatrzymane, ale śluzy podniesione; woda spływała do kanału, oddzielonego murem od rzeki.

Agent zauważył, że ten mur był zbudowany świeżo i zaopatrzony w śluzy na obu końcach. Gdy się je zamknęło obie, kanał pozostawał suchy, tak, jak w chwili gdy ojciec Lecoq dostrzegł w nim Jakóbka.

Podnosząc obie śluzy, wpuszczało się wodę równomiernie i szybko. Podnosząc śluzę zastawioną pod wodę, a zamykającą drugą stojącą przeciw prądowi wpuszczało się wodę do wysokości muru. Wtedy koła były zalane w dwóch trzecich.

Piédouche zanotował to sobie w pamięci, spostrzegł również, że w murze pod mieszkaiem młynarzy był długi, wązki otwór, na wysokość osi.

Ponieważ bał się zanadto przyglądać tym dziwnym urządzeniom, przeszedł więc na drugą stronę; idąc wzdłuż biegu Yvette, dotarł niebawem do kępki brzóz, wskazanej mu tak uprzejmie przez panią Chauvaille.

Miejsce nadawało się istotnie do drzemki, byle jej nie przeciągnąć po za zachód słońca, gdyż o zmroku ścielą się tu mgły wilgotne i niezdrowe.

Piédouche ani myślał o spoczynku; zapalił fajeczkę i zaczął się rozglądać na wszystkie strony, obserwując zwłaszcza młyn.

I oto w okienku, pod dachem, zobaczył człowieka trzymającego oburącz lunetę skierowaną w stronę Orge i lasów Séquigny. Tym człowiekiem nie był oczywiście Jakób, chłopak wątły z zapadłą piersią; obserwator zajmował swoją osobą całe okienko. Agent nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale domyślał się, że to musi być Chauvaille, szczęśliwy małżonek młynarki.

Jakim sposobem Chauvaille, który poszedł z mąką do Corbeil znajdował się w młynie Yvette? Po co wgramolił się na strych? i dlaczego przyglądał się okolicy przez teleskop?

Piédouche nie potrafił sobie odpowiedzieć na te pytania. Chciał przynajmniej zobaczyć, co jest przedmiotem obserwacyi młynarza. Otaczając się kłębami dymu, spojrzał uważnie przed siebie.

Po za biegiem dwóch rzeczek, łączka biegła aż do wioski Morsang, zabudowanej na wzgórzu, na prawo czerniał las, a w tym lesie wznosił się pałacyk.

Na łąkach nie pasła się ani trzoda, ani bydło. Nad brzegiem Orge nie było widać nikogo. Piédouche, dzięki swoim wybornym oczom, zlustrował wszystkie chaty w Morsang i nic w nich osobliwego nie dostrzegł.

Następnie zwrócił wzrok na pałac i zobaczył odrazu powiewającą nad piorunochronem olbrzymią białą banderę.

Po co ją wywieszono? Czy dla zaznaczenia politycznych przekonań, czy też, wedle angielskiego zwyczaju, dla obwieszczenia, że jest pan w domu. A może był to poprostu sygnał, umówiony z młynarzami?

Piédouche skłaniał się ku temu ostatniemu przypuszczeniu.

Niebawem wszelkie wątpliwości w tym względzie zostały rozproszone, albowiem bandera spuściła się wzdłuż piorunochronu, służącego jej za oparcie — i znikła.

Były numer 29 odwrócił się szybko i zobaczył, że obserwator z młyna odłożył lunetę i powiewał czerwoną chustą.

A zatem pomiędzy pałacem i młynem istniały porozumienia tajemnicze.

Piédouche był uszczęśliwiony z tego odkrycia. Nie wiedział jeszcze, jaką ztąd korzyść wyciągnie, lecz postanowił nie opuszczać tych stron, przed wyświetleniem tajemnicy. Wprawdzie zostając tu, omijał spotkanie z p. Lecoq, wyznaczone na dziesiątą wieczorem, ale wiedział, że jego mistrz da sobie sam radę i zrozumie, że go zatrzymała jakaś przeszkoda.

Powziąwszy takie postanowienie, zgasił fajeczkę, rozciągnął się na trawie i udawał, że śpi, żeby nie budzić podejrzeń w młynarzu, który przyglądał mu się zapewne przez lunetę.

Ale było bardzo gorąco, Piédouche był bardzo zmęczony i wydudlił całą butelkę dość mocnego wina, nie dziw zatem, że usnął na dobre.

Gdy się obudził, już zmierzchało.

Zerwał się poszedł do młyna. Bał się, że już przeszła godzina posiłku i dziwił się, że go megera nie przyzwała.

Zazwyczaj na wsi jadają wieczerzę o zmierzchu i zaraz potem udają się na spoczynek, aby światła zaoszczędzić; ale tutaj wszystko działo się opacznie.

Przechodząc po kładce, agent ujrzał nad sobą Jakóbka; siedział on z nogami zanurzonemi w kanale i coś poprawiał w śluzie. Piédouche udał, że nie zwraca na niego uwagi i podszedł do młynarki, stojącej na progu izby.

— Chodźcie prędzej — zawołała, dostrzegłszy go — miałam właśnie posłać po was chłopaka.

— Przepraszam, czekaliście zapewne na mnie z wieczerzą — odezwał się Piédouche.

— Miałabym też robotę — odburknęła młynarka. — Zjedliśmy, co było do zjedzenia, a drugi raz gotować nie myślę. „Mój“ nie wrócił jeszcze z Corbeil i nie wróci przed wieczorem. Możecie sobie zjeść kawał chleba ze słoniną. Nic więcej dać nie mogę.

— A do tego butelkę wina; cóż więcej potrzeba? — rzekł agent.

Przezorna młynarka miała już ją w pogotowiu i napełniła kubek blaszany.

Podczas gdy jadł i popijał, przyglądała mu się takiemi oczyma, jak kot na mysz, którą chce schrupać.

— Posłanie już gotowe — oświadczyła, gdy załatwił się z tym skromnym posiłkiem; — legniecie sobie tutaj na workach. Nie gorzej wam będzie, niż na sianie.

— Daleko lepiej, matko Chauffaille. Zakurzę tylko fajeczkę na dziedzińcu, żeby tutaj nie kopcić i położę się zaraz.

— Tylko prędzej. Za pół godziny zamknę drzwi, tem gorzej dla tych, którzy nie wrócą.

Piédouche obiecał, że się nie spóźni i wyszedł, kierując się znowu pod brzozy. Był już na drugim brzegu Yvette, gdy usłyszał pieśń, nuconą cichym głosem, który zaledwie do jego uszu dochodził.

Piédouch zdziwiony stanął i nadsłuchiwał. Był to raczej szept niźli melodya; głos dochodził z nieznacznej odległości, a jednak był dziwnie stłumiony.

Agent poznawał słowa; była to piosnka dziecinna.

Głos coraz bardziej słabł wreszcie umilkł. Piédouche rozejrzał się, aby zobaczyć, zkąd dolatywały dźwięki.

Pod kładką były fundamenty młynu i kanał, zroszony teraz małym strumykiem wody, wpływający opodal do rzeki.

Jakóbek, ukończywszy swoją robotę, znikł; zresztą taka melodya nie wyszłaby z jego gardzieli.

Piédouche zaczął przypuszczać, że padł ofiarą złudzenia, że mu się przypomniały melodye, nucone przez jego dziatwę, że poprostu szumiało mu w głowie od wina.

Przeszedł się, chcąc się otrzeźwić.

Noc już zapadła, nad rzekami unosiły się opary. Chciał skręcić w stronę młyna, gdy nagle w miejscu, gdzie się dwie rzeczki zbiedały, ujrzał przed sobą jakąś białą postać, poruszającą się zwolna.

W duchy nie wierzył, a jednak doznał dziwnego wrażenia, gdy to zjawisko wyłoniło się z mgły. Było podobne do widma, ciągnęło za sobą jakąś białą płachtę czy całun i sunęło zwolna po łące.

Piédouche przetarł sobie oczy.

— Co to nowego! — szepnął. — Upiłem się chyba i wzrok mi się mąci... A jednak nie, widzę wyraźnie... To widmo jest białe, ma ze sześć stóp i sunie zwolna... Mieszkańcy Savigny opowiadali mi o jakimś upiorze... to zapewne o tym...

Nie boję się go wcale... zdarłbym mu nawet biały kaptur, gdyby nas Orge nie dzieliła... Ten upiór trzyma się wciąż wybrzeża... To może duch opiekuńczy rzeki.

Piédouche zastanowił się na chwilę.

— I to być może — myślał. — Byłby to niezły sposób odstraszania przechodniów... Ludzie rozpowiedzą na całą okolicę, że widzieli upiora za młynem... Ręczę, że tu się coś gotuje i że noc nie przejdzie spokojnie. Wracajmy prędzej, bo wiedźma gotowa mnie nie wpuścić.

Agent, nie przestraszony wcale zjawiskiem, zawrócił do młyna. Nie bał się ani duchów, ani tajemniczych głosów, ani młynarki i wyrostka, choć oboje wyglądali na skończonych rzezimieszków, ale były agent miał silne pięści i serce nieulęknione. Nie nadarmo służył w marynarce, a potem w policyi tajnej.

Wiedźma siedziała w izbie na zydlu kulawym, obok zapalonej świecy.

— No nareszcie! — mruknęła, gdy Piédouche stanął na progu. — Młyn powinien być zamknięty od godziny.

— Matko Chauffaille — żartował kolporter — zaryglujcie drzwi mocno. Jakieś widmo chodzi po łące. Boję się, żeby mnie nie ściągnęło za nogi.

— Widmo! Może upiór! — zawołała stara. — Więc i wy tacy głupi, jak inni? Zobaczyliście pewno białą klacz ojca Mateusza i przyszły wam na myśl bajdy, które opowiadają w okolicy.

— Nie, nie matko, to nie klacz; ale bądźcie spokojni, ja tam nie jestem lękliwy, zasnę, jak kłoda.

— Dzięki Bogu — mruknęła młynarka. — Posłanie gotowe. Dalejże na worki. Ja gramolę się na strych. Jakóbek już chrapie.

Piédouche postanowił nie zmrużyć oka, i baczyć na wszystko, bo przewidywał, że noc nie przejdzie spokojnie.

Przy blasku świeczki obejrzał izbę, która miała mu służyć za sypialnię, połowa jej zawalona była workami i żarnami. Sprytny agent zauważył, że izba jest węższa od zewnętrznych rozmiarów młyna i domyślił się, że jedna ze ścian musiała osłaniać jakąś skrytkę, do której był dostęp przez strych.

Jego posłanie, z pustych worków, przytykało właśnie do tej ściany; pod głowę miał worek z mąką. Klapa, przez którą wchodził Jakóbek, była o dwa metry od posłania.

Drabina wiodąca na strych, przyparta była trochę dalej. Piédouche mógł więc leżeć spokojnie i nie groziło mu ani zapadnięcie się pod podłogę, ani przytłoczenie, gdyby kto spadł z góry.

Rozejrzawszy się nieznacznie, legł na swojem posłaniu, a tymczasem młynarka zamknęła drzwi na klucz i zaryglowała je od środka, poczem wdrapała się na strych po drabinie i już z góry zawołała:

— Dobranoc, obudzę was jutro, skoro świt.

Zamknęła klapę. Piédouche został pogrążony w ciemnościach: Był dziwnie senny, pomimo kilkugodzinnej drzemki, krew napływała mu do skroni, doświadczał ucisku na mózg, brzęczenia w uszach. Walczył z ogarniającem go odrętwieniem. Usiadł, ale zrobiło mu się jeszcze gorzej. Chciał wstać, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Przed oczyma zaczęły migać płomyki, w głowie dudniło, chwilami zdawało mu się, że mózg ją rozsadza, myśli się plątały, tracił pamięć, czuł, że ją traci i robił nadludzkie wysiłki, aby ją zachować, lecz naderemnie.

Musiał się dobrze zastanowić, żeby sobie przypomnieć gdzie jest, nie pamiętał już, po co przyszedł do młyna. Pan Lecoq, jego syn, Tolbiac, Angielka, panna Lecomte i Cambremer przesuwali się przed jego oczyma, jak postacie w latarni magicznej.

Zdarzało mu się nieraz być pijanym, ale nigdy czegoś podobnego nie doświadczał. Były to nie opary winne, lecz jakby działanie trucizny lub narkotyku.

Palacze opium i haszyszu doznają halucynacyi podobnych.

Zresztą zmysł Piédouche'a były czujne, a nawet zaostrzone. Lada szmer brzmiał mu w uszach, jak hałas, oczy jego widziały w ciemności, ale nie był pewny, czy istotnie słyszy i widzi.

Jak długo leżał w tym stanie, godziny czy też minuty — nie umiałby skreślić, bo stracił świadomość czasu; nagle dostrzegł światełko, błyskające przez szpary w ścianie, do której był obrócony twarzą.

Instynktowo zajrzał ,przez tę szparę i zdawało mu się, że widzi młynarkę, siedzącą przy stole z jakimś drabem pleczystym, o twarzy zbójeckiej.

Popijał wódkę z blaszanego kubka, wiedźma dotrzymywała towarzystwa.

Jakim sposobem weszli w tę przegrodę i co tu robili, Piédouche nie mógł zrozumieć, ale śledził każdy ruch tej potwornej pary.

— On powinien już tu być — mówił mężczyzna uderzając w stół pięścią. Czy on myśli, że będziemy na niego czekali całą noc?

— Jeszcze wcześnie — odpowiedziała młynarka. — Zresztą Czerwony może wyjechać z Paryża tylko po nocy, a końmi jedzie dwie godziny do Orge. Jeżeli się spóźni, tak jak przeszłym razem, to schrupiemy bachora. Czerwony tchórzem podszyty.

— Nie gadajmy na niego. Przecież nas żywi.

— Tak, ale jego pomysły wyprawią nas na gilotynę. Że też sam nie nie może skręcić karku bachorowi, jeżeli mu zawadza.

— Dziś skończy się ta nasza opieka — perswadował olbrzym.

— Niewiadomo. Czerwony chce, żeby zawieźć obie na tor koleiowy, jak *ostygną.*

— Rozumiem. Niby to kolej przejechała po nich. Dobry pomysł! Ale kto go wykona? Że nie my, to wiem.

— Niech sobie sam radzi. My dostaniemy, co nam się należy i dalej w świat za *zarobkiem* — oświadczyła wiedźma

— Czy widziałaś komiwojażera, który przychodził do Anglika? — pytał drab.

— Widziałam i coś mi patrzy na policyjnego szpicla.

— Trzeba zmykać tembardziej.

— Wpierw musimy wyłowić *machabeuszów.* *) Czerwony ich zabierze i rzuci pod koła pociągu — mówiła wiedźma.

— Że też *Czerwonemu* ciągle się czegoś nowego zachciewa. Naprzód kazał kopać dół w śluzie, a dziś dawał znaki, że dół niepotrzebny.

*) Trupy w żargonie złodziejskim.

— Uspokój się, mój stary. Jakóbek kopał niedarmo. Wrzucimy w dół tego osła, co tam śpi za ścianą — podchwyciła megera. — Sam mówił, że ma kilka tysięcy w tłómoku. Wsypałam mu też pieprzu do wina. Leży pewno, jak kłoda. Jutro wieczorem, jak się pozbędziemy tamtych, wrzucisz go do dołu, a potem zalejemy go wodą.

— Trzeba go sprzątnąć, zanim Czerwony przyjedzie, a jego tylko patrzeć. Już ta lafirynda włóczy się nad brzegiem w prześcieradle.

— Wiem, widział ją kupczyk.

— Byle nas teraz nie słyszał?

— Niema obawy uspakajała męża czarownica — mówiłam ci przecie, że wino było opieprzone, a choć by nas słyszał, nie może się ruszyć. Jak tylko spuszczę klapę, wpadnie do piwnicy, a potem woda zrobi swoje.

— Czy Jakóbek przy śluzach?

— Już od godziny.

— No, to wszystko pójdzie gładko. Dalej wódki stara.

Piédouche nie stracił ani słowa z tej budującej rozmowy, a choć niektóre aluzye nie były mu zupełnie zrozumiałe, domyślał się jednak o co chodzi w głównych zarysach i pewny był, że to Tolbiac ułożył ten plan piekielny.

Piédouche był tylko niepewny, czy to wszystko słyszy na jawie, czy we śnie.

Gdy wiedźma wspomniała o swoich zamiarach względem niego, uczynił nieludzki wysiłek, aby się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Były, jakby z ołowiu.

Gdy tak walczył z odrętwieniem, usłyszał w oddali dźwięk rogu myśliwskiego. W tejże chwili czarownica wyciągnęła rękę i uczuł, że się podłoga pod nim zapada i że leci w przepaść głową naprzód.

Wraz z punktem oparcia, Piédouche stracił świadomość tego, co się z nim dzieje. Czuł, widział, że wiruje w powietrzu, a potem nic już nie widział, nie czuł.

Gdy odzyskał zmysły, miał usta pełne czegoś sypkiego. Otrząsnął się, wstał, splunął i pomacawszy dokoła, zrozumiał, że spadając głową naprzód, zanurzył się w piasek po uszy.

Niema złego, któreby na dobre nie wyszło, jak słusznie powiada przysłowie.

To wstrząśnienie otrzeźwiło go zupełnie. Zdawał sobie sprawę z sytuacyi.

Domyślił się, że stara wiedźma ułożyła mu posłanie na klapie i że dość jej było wyciągnąć rękę, aby go wrzucić w podziemie.

Czekała tylko na hasło Czerwonego, a że tym Czerwonym był Tolbiac, to nie ulegało wątpliwości.

Piédouche rozumiał także, że piwnica miała być jego grobem, że przeznaczono mu śmierć głodową lub też zamierzano go udusić, a to dla zagarnięcia jego towaru i gotówki, o której sam opowiadał.

Dobra para miała niebawem go ograbić.

— Myślą zapewne, żem sobie kark skręcił i nie śpieszą się. Ale ze mną sprawa nie łatwa.

Powiódł ręką po trzosie skórzanym i stwierdził, że rewolwer i nóż są na miejscu. Dokoła panowały ciemności. Eks numer 29 siedział na kupie piasku, dzięki której nie zabił się, spadając.

Chciał wstać i obejrzeć podziemie, ale po namyśle zaniechał tego projektu. Jedyną szansą uniknienia śmierci było udawać nieboszczyka. Gdy przyjdą, by go zgładzić, powinien leżeć jak matrwy. Wtedy zostawią jego rzekome zwłoki w spokoju, ograbiwszy je należycie.

Położył się nawznak, wyjął broń z za pasa, otworzył nóż, nabił rewolwer i czekał bez trwogi, przypominając sobie każde słowo rozmowy dwojga łotrów i starając się przeniknąć ich znaczenie.

— Kują się tu jakieś zbrodnie — myślał. — Czarownica wspominała, że kogoś tu przywiozą, że go zamordują, że potem zwłoki podrzucą na szyny... Może to zasadzka na małą Cambremer... Nie, ta już znikła trzy dni temu... Kto wie, czy nie chodzi o pannę Lecomte... Ale ona dzięki Bogu, pod dobrą strażą i ma się pewno na baczności.

Te refleksye zostały nagle przerwane lekkim szmerem, jakby oddechem, czy też westchnieniem. Ten szelest zaniepokoił Piédouche'a. Czyżby podziemie było zamieszkane?

Agent przyczaił się i nadsłuchiwał. Niebawem do uszu jego doleciał śpiew cichutki, ten sam, który go już uderzył w ciągu dnia. Głos dziecinny nucił piosnkę, dobrze mu znaną.

— To Marta Cambremer, tak to ona — myślał — pamiętam, że śpiewała tę piosnkę, bawiąc się pod drzewami Jardin des Plantes, kiedy to chciano ją porwać.

Piédouche nie mógł już wytrzymać w tej niepewności. Miał przy sobie zapałki i kawałek świecy. Dotychczas nie chciał jej zapalić w obawie zwrócenia uwagi bandytów, ale teraz już się nie wahał.

Zaledwie potarł zapałkę, z głębi podziemia rozległ się okrzyk i w migotliwem świetle ujrzał wtuloną w kącik córeczkę Cambremera.

Siedziała na gołej ziemi, z głową opartą o kolana. Patrzała z przerażeniem na stojącego przed sobą człowieka, biorąc go zapewne za prześladowcę.

— Tatusiu, na pomoc! — krzyknęła, widząc, że ów mężczyzna zbliża się.

Nie poznawała widocznie Piédouche'a, pod kolporterską postacią.

— Nie bój się, mała — szepnął. Przybyłem, tu żeby cię ocalić. Jestem przyjacielem twego ojca.

— Pan?

— Tak, zapomniałaś już! Byliśmy razem w kawiarni za mostem Austerlitz. Kupiłem ci ciastek.

Marta wydała okrzyk radości i chciała się rzucić na szyję swemu wybawcy, ale w tej chwili zgrzytnęła klapa.

— Cicho, udawaj, że śpisz. Ja będę udawał nieboszczyka, szepnął Piédouche.

Zgasił świecę i położył się znowu na wznak. W samą porę; bo ktoś spuścił latarnię na sznurze i wodził nią po ziemi, chcąc zobaczyć, co się dzieje w lochu.

Marta skulona, ani drgnęła, Piédouche leżał z rękoma odrzuconemi, jak człowiek, który się zabił, spadając z wysokości.

— Ci już gotowi odezwał się głos drwiący. — Trzeba im posłać tamtą do kompanii.

Agent uchylił powieki i zobaczył nad swą głową jakieś ciało owinięte w płótno.

Spuszczono je na ziemię, a zaraz potem latarnia znikła i klapa zatrzasnęła się.

Głuchy łoskot świadczył, że ją przywalają workami i sprzętami, aby więźniowie nie mogli jej podnieść. Był to jednak trud zbyteczny, albowiem pomiędzy ziemią a sklepieniem było dobre piętnaście stóp, a w lochu żadnej drabiny.

— Grób zamknięty. Kruki się nie zlecą — pomyślał Piédouche i znowu potarł zapałkę.

Myślał, bardzo słusznie, że bandyci, pewni, że im ofiary nie umkną, nie będą już ich strzegli tak bacznie.

Mógł więc teraz działać, a przedewszystkiem chciał zobaczyć nowego towarzysza niedoli. Pochylił się nad zawiniątkiem i ujrzał postać kobiecą. Twarz była osłonięta chustką, usta zakneblowane, włosy w nieładzie; ręce spętane.

Piédouche rozwiązał chustkę, odkneblował usta i ujrzał piękną twarz, która mu się wraziła w pamięć w dniu, gdy aresztował Ludwika.

Była to Teresa Lecomte, blada, wycieńczona, ale żywa.

Spojrzała na niego i myśląc, że to morderca, szepnęła:

— Zabijcie mnie odrazu, ale nie dręczcie.

Poczciwy agent nie tracił czasu na objaśnienia: w razach podobnych czyny więcej warte od słów. Przeciął nożem powrozy, oswobodził ją od prześcieradła i posadził na piasku.

— Gdzie jestem? — szepnęła.

— U łotrów, którzy godzą na życie pani i tej małej — odparł Piédouche. — Ale ja was nie opuszczę i wyrwę z tych szponów.

— Kto pan taki? Zdaje mi się, że już pana widziałam.

— Tak, raz jeden, ale mniejsza o to. Powiem pani tylko, że jestem przyjacielem p. Lecoqa.

— Ludwika?

— Nie, jego ojca. Ręczę, że nadużyto jego imienia, aby panią wciągnąć w pułapkę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tryumfator....

„Orędownik“ tryumfuje!

Wskutek jego artykułów przeciw „Pracy“, którą z urzędu oskarżał i potępiał o zbyt ostre występowanie przeciw hakacie — nasamprzód zaaresztowano nam redaktora, a teraz skonfiskowano cały nakład wydrukowanych już numerów „Pracy“ z zeszłej niedzieli, w chwili wystania. Aby zaś tryumf „Orędownika“ był zupełny, policya obłożyła aresztem wszystkie papiery, nawet prywatne, naszego wydawcy p. M. Biedermanna, na którego palcem wskazał „Orędownik“ jako na tego, od kogo rzekomo zależy zmiana kierunku pisma. Mało tego: „Orędownik“ opublikował, że autorem tych artykułów jest Dr. Kazimierz Rakowski. Idąc za wskazówką tą, policya z niebywałą energią odbyła poszukiwania, aby się przekonać, czy od czasu swego wydalenia Dr. Rakowski przyjeżdżał do Poznania, i wykryła, że co parę miesięcy potajemnie przyjeżdżał. Możemy dziś powiedzieć nawet „Orędownikowi“, że Dr. Rakowski, bawił właśnie w Poznaniu parę dni, gdy „Orędownik“ ogłosił, że on jest autorem tych ostrych artykułów. To go zmusiło do natychmiastowego wyjazdu kuryerem, gdyż ogłoszenie „Orędownika“ mogło go wtrącić na lata w ciężkie więzienie.

Nawet w chwili konfiskaty „Orędownik“ nie zdołał zataić swej — podejrzanej życzliwości dla „Pracy,“ odgrażając się — późniejszą pomstą za nasze krytyczne uwagi o jego — poczciwej działalności...

Niechby „Orędownik“ na lewo i prawo z uwagą posłuchał, co po mieście o nim w kołach poważnych głośno opowiadają, a już by zaprzestał wodę mącić, nie chcąc się ustawicznie narażać na zasłużone miano — Schwarzweissera!...

„Orędownikowi“ bowiem niedość rewizyi, niedość aresztowań, niedość denuncyacyi — ba, nawet jak się zdaje, mu za mało, że cały zaledwo wydrukowany nakład pisma policya zabiera nam z drukarni. — —

Nie zazdrościmy tych tryumfów „Orędownikowi“, któreby każdą duszę szczerze polską upokarzać musiały! *Redakcya „Pracy,“*

Jeszcze można zapisywać

„PRACĘ“

na miesiąc marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na marzec

tylko 42 fenygi.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie w Niemczech niezwłocznie

tylko 42 fenygi,

na poczcie w Galicyi tylko 48 halerzy a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: Abtheilung II t. poln. Nr. 103.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„Czytelnię Polską“

na bieżący kwartał

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Wiadomości.

Rewizye, aresztowania, konfiskata i znów rewizye i tak bez końca, to dziś każdemu szczerze polskiemu pismu w udziale, a zwłaszcza „Pracy.“

To też nie mamy co tłomaczyć, z jakich powodów i przyczyn spotykają nas te przeszkody i nieobliczone koszta w wydawnictwie. Tak chyba być musi i tak być powinno, bo czem więcej aresztowań i konfiskat, tem jaśniejsza sprawa nasza.

W zeszłą sobotę nie mogliśmy dostarczyć Szanownym Czytelnikom nr. 9 „Pracy,“ gdyż policya takowy w całym nakładzie nam zabrała na rozkaz tutejszej królewskiej prokuratoryi. Nie pozostawiono nam ani jednego numeru. Skonfiskowano cały nakład, blizko 14,000 zeszytów „Pracy“ i za co? oto za to, że skreśliliśmy kilka cierpkich słów, wypowiadając zresztą prawdę, że policya i szkoła winny nie przeszkadzać młodzieży, czytającej książki polskie, lecz przeciwnie, policya i szkoła winny właśnie czuwać nad tem, ażeby młodzież pilnie zabierała się do czytania Sienkiewicza, Słowackiego, Mickiewicza i t. d., gdyż ta młodzież z pewnością nie pójdzie na bezdroża. — Potrąciliśmy też sprawę Chojnicką, a to wszystko razem wziąwszy poczytała nam królewska prokuratorya za taką zbrodnię, że skonfiskowała cały nakład „Pracy“, bo ani jeden numer nie dostał się w ręce Czytelników.

Przeszukano też wszystkie biurka, szafy i szafki, szukając manuskryptów i Bóg wie czego jeszcze, lecz zdaje się z małym skutkiem, pomimo że przybyło około 10 policyantów i 3 komisarzy. Większą część zabranych papierów zwrócono nam już następnego dnia.

Lecz trzy dni później, a więc we wtorek i to już rychło rano, gdy wydawca „Pracy“ p. Biedermann leżał jeszcze w łóżku — zatem wcale niespodziewanie władza policyjna, składająca się znów z kilku urzędników i dwóch komisarzy z polecenia królewskiej prokuratoryi odbyła ponowną ścisłą rewizyą w ekspedycyi, administracyi i nawet w prywatnem mieszkaniu wydawcy, szukając w pocie czoła za manuskryptami i t. d. Przerzucono wszystkie kąty, szafy i szufladki, biurka i pudełka, przerzucono nawet pościel, lecz i tym razem daremnie.

Z tej ponownej i niespodziewanej rewizyi wnosić trzeba, że pierwsza wielka rewizya, składająca się z 10 policyantów i kilku komisarzy, nie dostarczyła dostatecznych dowodów, o które mianowicie przeciwko wydawcy „Pracy“ prokuratoryi chodzi, przedewszystkiem o dowody, czy wydawca jest redaktorem, czyli duchowym kierownikiem pisma, lub nie. Znów zabrano pakę starych materyałów, które zapewne tak samo wkrótce odbierzemy.

Bądź co bądź był to krwawy tydzień dla nas, tydzień licznych strat, pełen kłopotu i niepokoju. Ciernista jest droga, po której nam stąpać przeznaczono, droga niesłana kwiatami. Lecz mamy nadzieję, że z pod tej groźnej chmury, która

nad nami zawisła, w miejsce zapowiedzianych gromów w całej pełni jasne słonko zaświeci, a zamiast burzy nastąpi pogoda.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy co się nad nami rozszalała teraz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i obcym zaimponuje liczbą swych zwolenników!

Do dzisiejszego numeru dołączamy kwit na miesiąc marzec, abonament kosztuje tylko 42 fen. Prosimy usilnie wyciąć kwit i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za tydzień przeszły.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie. Redakcya.

Wszystkim Czytelnikom, żądającym od nas nadesłania numeru 9-go „Pracy“ oświadczamy, iż cały nakład w ilości 14-stu tysięcy egzemplarzy zabrała nam policya. (Patrz artykuł wstępny p. t. „Konfiskata“).

Dla Czytelników na miasto Poznań i przedmieścia dołączamy do dzisiejszego numeru odezwę Komitetu wyborczego miasta Poznania, na co zwracamy baczną uwagę.

Z Gryfii otrzymujemy od jednego z naszych Czytelników następującą wiadomość prawie nie do uwierzenia, a jednak prawdziwą:

W niesłychany sposób zbezczeszczono tutejszy kościół katolicki i nabożeństwo w nim się odbywające. Oto we wtorek, dnia 19 II. t. r. wpadł podczas rannego nabożeństwa w nietrzeźwym stanie referendaryusz, który kilka dni przedtem zdał egzamin, z dwoma swoimi braćmi en conleur studentami do kościoła. Wszyscy trzej protestanci, zbliżyli się do ołtarza i zaintonowali piosnkę komersową: „Der Papst lebt herrlich in der Welt“ i inne. Kościelnemu, który chciał ich wyrzucić, stawiali opór, nawet księdza nie chcieli usłuchać; dopiero na groźbę, że policyantów sprowadzą, oddalili się. Niemieckie gazety, a przedewszystkiem „Greifswalderka“ nie wspomina nic o tem, ażeby sprawę tę nie miłą protestantom i potomkom Letziusa zatrzeć.

I nie dziw, że podobne zboczenie umysłowe, a raczej zzwierzęcenie mogło się stać w mieście, w którego murach zamieszkuje ów zażarty hakatysta, prof. tamtejszego uniwersytetu, który na zjeździe trójgłoskowych braci niezawahał się stawić wniosku, by dla Polaków ukuć wyjątkowe prawa i to „Kriegsdienste leisten, Steuern zahlen u. Maul halten.“ Jaka więc mać, taka też nać... Naszą odpowiedzią niech będzie: Wstręt pruskiemu ojcu pruskich synów — Przyp. Red. „Pracy.“

Juliusz Słowacki. Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina Juliusza Słowackiego wykonana została podług odlewu rzeźbiarskiego. — Zaszczytnie znany rzeźbiarz-artysta, pan Jan Piszcz wykonał piękny biust Juliusza Słowackiego, którego odbitkę w „Pracy“ umieszczamy. Biust sam nabyło tutejsze muzeum Mielżyńskich. Pan Jan Piszcz odznaczył się już kilkakrotnie jako rzeźbiarz-artysta o wyższym polocie i rokuje dobrą przyszłość. Jego utwory dotychczasowe wykonane z wielkim artyzmem i czuciem, znalazły chętny pokup u różnych muzeów polskich i niemieckich. Rodakowi Szczęść Boże!

Agentura „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Rożdzień i okolicę znajduje się u p. Jana Badury w Rożdzieniu na Górnym Śląsku. Tam można otrzymać okazowe numery i abonować „Pracę“ od każdego czasu.

Agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Baukau, Herne i okolicę otworzyliśmy u p. **Michała Wojciechowicza w Baukau we Westfalii, Kraugestr. 2.** — Nowi abonenci mogą sobie u p. Wojciechowicza od każdego czasu zamawiać „Pracę“ i „Czytelnię Polską“. Tamże można otrzymać bezpłatnie numery okazowe „Pracy“.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. M. S. z Wielkich Strzelców 3 mk., M. Bytyńska z Kórnika 5 mk., I. N. z Poznania 1 mk. Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 397 mk. 10 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na chleb św. Antoniego nadesłał nam p. St. Kwintkiewicz z Lüssum w Westfalii jako składkę zebraną na srebrnem weselu p. L. Stybaniewicza w Fähr przez Tow. śpiewu „Wesołość“ w Blumenthalu 2,35 m. Dalsze składki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej zebrane przy okazyi srebrnego wesela p. Stybaniewicza w Fähr przez Tow. śpiewu „Wesołość“ w Blumenthalu 2,65 mk., p. M. G. z Neu-Ruppen 50 fen.

Zebraliśmy dotąd na cel powyższy 403,69 mk. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ w dwóch ratach razem 403,19 mk., pozostaje zatem u nas 50 fen. Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Teatr. W sobotę dnia 9-go b. m. wystawioną będzie na benefis zasłużonego artysty naszej sceny, p. **Jana Jakubowskiego,** głośna nowość, sztuka z francuzkiego p. t. „Czerwona toga.“

Benefisant od lat kilkunastu stale pracuje u nas, dzierżąc wysoko sztandar prawdziwej sztuki, dlatego też należy mu się uznanie, które najlepiej publiczność okaże zapełniwszy w dniu benefisu salę po brzegi.

Wieczory ćwiczebne „Sokołów“ na miesiąc luty zmuszeni byliśmy cofnąć z powodu nawału materyału do następnego numeru.

Grottger na kartach korespondencyjnych. Nakładem firmy Niemojowskiego we Lwowie wyszło 6 seryi kart korespondencyjnych z reprodukcyami przeszło 80 obrazów nieśmiertelnego, tak przedwcześnie zgasłego mistrza. Pierwsza serya zawiera „Nieznane prace“, II. „Wieczory zimowe“, III. „Wojnę“, IV. „Polonią“, V. „Lithuanią“, VI. „Warszawę.“ Reprodukcye, wykonane na kartach korespondencyjnych z dobrego i twardego papieru, odznaczają się starannem wykończeniem i wyrazistością reprodukowanych postaci i miłym zapewne będą nabytkiem dla zbieraczy ilustrowanych kart pocztowych, tem więcej że przyczynią się do rozpowszechnienia i na tej drodze, choć w zdrobniałej formie, znajomości tak miłych sercu polskiemu arcydzieł genialnego artysty.

Generalne zastępstwo na sprzedaż tych kart w obrębie WKs. Poznańskiego i Prus Zachodnich, ma firma Antoni Rose w Poznaniu w Bazarze. Sądzimy, że publiczność nasza chętnie używać będzie tych pięknych grottgerowskich kart korespondencyjnych.

Szanownym Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na ogłoszony dziś bilans Banku Parcelacyjnego w Poznaniu, Piekary nr. 18. Swietnie się rozwijającą instytucyą tę zawsze polecaliśmy, a możemy to robić jeszcze gorliwiej i nadal, widząc jak ten Bank fundusze swe z roku na rok stale powiększa i znaczne rezerwy gromadzi.

Z bilansu widzimy przedewszystkiem, że Bank Parcelacyjny ma

236.745,92 m. rezerw.
136,125,95 „ wpłac. udz.
492,140,34 „ hip. w portf. i
192,665,00 „ lomb. hipot.,

a zaznaczamy, że za 663,200,00 „ członkowie Banku Parc. odpowiadają. To są liczby, które wprost imponują. Dokumenta hipoteczne, jakie Bank Parcelacyjny tworzy, przynoszą 5% i są zupełnie pewne, a już nabywanie takich dokumentów jest chociaż dla tego lepszem lokowaniem pieniędzy, niż kupno listów zastawnych, bo na kursie nigdy się nie może tracić.

Ruchliwość w obrotach pieniężnych sprawia, że Bank ten zarabia znaczne sumy na procentach i dlatego też aż $5^1/_2$% od depozytów płacić może.

„Sprawy okowiciane.“ Każda gałęź przemysłu, każda praca zawodowa w miarę rozwijania się wydaje literaturę fachową, a miara podnoszenia się też literatury wpływa dodatnio na dany przemysł.

Fabrykacya krajowa spirytusu idzie naprzód krokiem olbrzymim, zaczyna na ziemiach lekkich stawać się ogólną w nadziei, że zwiększona produkcya okowity nie przyczyni się do zwiększenia konsumcyi spożyw-

czej, lecz że znajdzie odpływ na cele techniczne, zamieniona na światło, siłę motorową, i ciepło, rugując powoli naftę.

Nadzieje te nie powinny zawieść, gdyż praca gorączkowa ludzi inteligentnych i całych instytucyi nad ulepszeniem przyrządów do technicznego zużycia spirytusu wydaje coraz to lepsze rezultaty i daje możność stawienia konkurencyi drogiej importowanej i przedsiębiorców swych zbogacającej nafcie.

Ten rozwój gorzelnictwa z jednej strony i życzenia szerokich kół interesowanych z drugiej strony spowodowały mię do objęcia redakcyi czasopisma fachowego pod tyt.: **„Sprawy okowiciane“**, poświęconego konsumcyi i produkcyi spirytusu. Wydawnictwo rozpocznie się od kwietnia rb. Czasopismo to wychodzić będzie miesięcznie, a traktować tylko najżywotniejsze kwestye tak fabrykacyi jak i zysku okowity. — Mając zapewnione współpracownictwo ludzi inteligencyi z kół fachowych i interesentów, jestem pewien, że wydawnictwem tem przysłużę się szerokim kołom interesowanym naszego społeczeństwa.

T. Swinarski, dyrektor gorzelń.
Dopiewiec p. Dombrowka, od lipca Wągrówiec.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski**.

Bilans

z dnia 31-go Grudnia 1900 r.

Aktywa.		Pasywa.
3.116,84 M.	Rachunek Kasy	
	Rachunek Udziałów Członków	136.125,95 M.
	Rachunek Depozytów	641.497,63 „
13.400,00 „	Rachunek Efektów w Portfelu.	
492.140,34 „	Rachunek Hipotek w Portfelu.	
64.268,99 „	Rachunek Weksli w Portfelu.	
192.665,00 „	Rachunek Hipotek lombardow.	
	Obligo hipoteczne	60.000,00 „
	Obligo wekslowe	64.268,99 „
31.864,42 „	Rachunek Banków.	
264.016,02 „	Rachunek Nieruchomości.	
1.211,75 „	Rachunek Ruchomości po odp. 25%	
	Rachunek Funduszu rezerwowego	102.516,41 „
	Rachunek Rezerwy specyalnej	36.414,90 „
	Rachunek Funduszu gwarancyjnego za dokonane parcelacye	38.263,55 „
	Rachunek Funduszu emeryt.	1.295,46 „
335.054,05 „	Rachunek Dłużników	
	Rachunek Wierzycieli	175.350,71 „
	Rachunek dywidendy z roku 1899	12,50 „
	Rachunek Kaucyi Urzędników	10.400,00 „
	Rachunek tantyemy, gratyfikacyi urzędników i dyet Rady Nadzorczej	3.025,00 „
	Czysty zysk	128.566,31 „
1.397.737,41 M.		1.397.737,41 M.

Uwaga. Walne Zebranie z dnia 30-go Stycznia r. b. przekazało z czystego zysku 58,255,60 M. na dotacyą funduszy, które teraz wynoszą:

Fundusz rezerwowy	115.373,04 M.
Rezerwa specyalna	81.055,91 „
Fundusz gwarancyjny	38.263,55 „
Fundusz emerytalny	2.053,42 „
Razem	236.745,92 M.

Członków mamy 820 z 3316 udziałami à 50 M. = 165,800 M.
i ze sumą gwarancyjną . . . . . à 200 „ = 663,200 „

Poznań, 1-go Lutego 1901.

Bank Parcelacyjny

Eingetragene Genossenschaft mit beschränkter Haftpflicht. 96

I. Sikorski. *P. Łopiński.* *M. Dalski.*

Nasza **Kasa Oszczędności** przyjmuje nadal depozyta już od 1 marki począwszy, płacąc od nich

5½% za półrocznem wypowiedzeniem, a
4½% za kwartalnem wypowiedzeniem.

Depozyta do wysokości 10,000 M. mogą być każdego czasu przyjęte, ponad tę sumę zaś tylko za poprzedniem porozumieniem się.

Bank Parcelacyjny w Poznaniu, Piekary 18.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für Monat März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)
für 42 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 42 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Obowiązkiem każdego
jest żądać w składach mydło z fabryki

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Mydło jest tylko wtenczas dobre, jeśli na każdym kawałku wytłoczone 42

St. Żychliński, Gniezno.

Hygieniczne mydełko-lanolin. upiększa i konserwuje płeć.

Wystawa Przyrodniczo-Lekarska. IX Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich w Krakowie w uznaniu umiejętnej pracy 1900. Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej. Vita brevis ars longa.

Osiedliłem się jako 90

weterynarz

w Śremie (Hotel Victoria).

M. Szymański, weterynarz.

Elektryczne **Gromochrony Dzwonki Telefony Światło Siłę** Elektryczne

zakłada, naprawia, rewiduje szybko i poprawnie pod gwarancyą 664

F. Biskupski, Poznań

Specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznej.

Nr. 11 ul. Berlińska Nr. 11

pierwsze! piętro pierwsze!

Firma fundowana w r. 1880. Telefon Nr. 108.

J. W. Nowak, księgarnia

Starogard (Pr. Stargard)
poleca:

Elementarze polskie po 10, 15, 25, 30, 40 fen. Wielki wybór książek do nabożeństwa. Książki dla dzieci i dorosłych. Książki kontowe (skład główny na Prusy zachodnie pp. J. C. Königa i Ebhardta Hanower.)

Książki rólnicze (skład główny na Prusy zachodnie księgarnia Dziennika Kujawskiego Inowrocław). Skład materyałów piśmiennych. Wielki wybór obrazów, krzyżów i innych dewocyonalii.

Agenturę na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“.

Prenumeratę na wszelkie czasopisma każdego czasu, bibliotekę polską oraz niemiecką. Wielki wybór nut. Kalendarze kartkowe po cenie zniżonej. Wielki wybór kart koresp. z widokami Starogardu, wojska polskiego i innych. Papier listowy z napisami polskiemi. Drukarnia i introligatornia *dostarcza każdego czasu książki polecane przez księgarnie Poznańskie.* 68

Premiowane w Lwowie i Poznaniu.

Koniki na biegunach i kółkach.

Torby do podróży.
Torby szkolne.
Torby do pieniędzy.
Torby do polowania.
Torby na rynek.
Kufry do podróży.
Szelki, portmonetki.
Siodła i przybory do jazdy konnej.
Bicze, biczyska i baciki

poleca skład drobnych towarów skórzanych

N. Wolniewicz w Bazarze,
3-ci skład w Nowej ulicy. 704

Lecznica,

Poznań, Stary Rynek 74 I.,
otwarta codziennie
od godz. 9—1 z wyjątkiem świąt.

Na choroby krtani, nosa i uszu od 9—10 godz.

Na choroby ócz we wtorek, środę i piątek od 9—10 godz.

Na choroby skórne i płciowe w środę i sobotę od 9 do 10 godz.

Na choroby kobiece od 10—11.

Na choroby chirurgiczne od 10—11 godziny. 73

Na choroby skórne i wewnętrzne od 12—1 godziny.

Atelier dentystyczne

C. Ogiński

Poznań, 736
św. Marcin Nr. 68 I.
Przyjmuje od 9—1 i 3—6

J. K. Jasielski

adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.



Edmund Paulus
Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą. 338

Cenniki franko.

R. Tilgner, Pleszew.

Płaszcze gumowe nieprzemakalne, fabrykat angielski, ceny bardzo tanie. Dla Panów od 20 do 30 mk. Przy zamówieniu wystarczy nadesłać objętość piersi, i objaśnie wysokości osoby. Przesyłka za zaliczką, którą ewentualnie się zwraca. 728

Ból zębów spróchniałych

usuwa natychmiast na pewno **„Kropp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Teodora Mülera Berlińska 16 i Głogowska ul. 87.

Mała omyłka.

— Co to jest, że tam u was we dworze tak przeraźliwie pies wyje?

— Głupiś, to dziedzicka zaczęła brać lekcje śpiewania solowego.

Rodzicom,
którzy **dzieci** swoje zamierzają oddać

do szkół w Bydgoszczy,

polecam mój dom, zapewniając praw. macierzyńską opiekę, rozsądną i skuteczną pomoc w naukach wszelkich pod bardzo przyst. warunk. **Panienki** chcące pryw. douczyć się rozm. przedm. lub książkowości także mile przyjmie 107

Maciejewska, egz. nauczycielka.
Bromberg, Gammstr. 16

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne

J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,

545 **Fryderykowska 78.**

(Właśc. firmy: **A. Mühle i W. Ziołecki.**)

W konc. Zakładzie Fröblowskim
i w szkółce dla młodszych dzieci

rozpoczynają się nauki w czwartek 11 kwietnia. Zapewnia się pieczołowitą opiekę, sumienną i skuteczną naukę, obszerne zdrowotne mieszkanie z ogrodem. 84

Po bony, ochroniarki i wychowawczynie Polki, Niemki i Francuzki można się zgłosić *bezpłatnie do zarządu.* Pensya tych panien: od 180 do 500 m. (z muzyką i francuzkiem).

Walerya Puffke, przełożona zakładu.
Poznań. Długa ulica 4.

W mieście liczącem do 30,000 mieszkańców do sprzedania pod korzystnemi warunkami

skład żelaza

etc., przed 16-tu laty założony i dobrze prosperujący, dla braku zdrowia właściciela. 86

Oferty z podaniem kapitału pod cyfrą **A. B. C. 1155** przyjmuje ekspedycya „Pracy.“

Rzutki kupiec, Polak Górnoślązak, posiadadający interes towarów łokciowych i krótkich w Katowicach, poszukuje

w celu ożenienia

się, znajomości pań.

Panienki lub młode, bezdzietne wdówki, z lepszem wychowaniem i poczuciem narodowem, posiadające odpowiedni majątek raczą z nadesłaniem swej fotografi zgłosić się do Eksp. „Pracy“ pod **Górnoślązak 109.** 109

Nagła zmiana gustu.

Żona, pokazuje mężowi dwa kapelusze.

— No, mężusiu, powiedz, który kapelusz ładniejszy, czy ten toczek, czy też ten rembrandtowski z piórami? Stosując się do twojego gustu, kupię ten, który się tobie podoba.

— Zdaje mi się, moja kochana, że ładniejszy jest ten z piórami.

— W takim razie biorę go, choć jest trzy razy droższy.

— Tak?... hm... — podchwytuje teraz małżonek, — wiesz co, że tobie jest daleko lepiej w tym toczku!

Pensyonat mój

dla uczennic do szkół wyższych uczęszczających, oraz dla panienek **dokształcić się mających prywatnie** polecam uwadze 83

Rodziców i Opiekunów.

Opiece mej powierzone uczennice znajdą w domu mym pomoc w przygotowywaniu zadań szkolnych, **sposobność wydoskonalenia się w języku ojczystym** oraz wprawiania się w rozmawianiu językami francuzkim czy angielskim.

Córki dorastające lub dorosłe, które rodzice powierzyć mi zechcą, znajdą sposobność i bódźca do sumiennego wypełniania włożonych na nie obowiązków.

Poznań, św. Marcin 9 II.

Helena Rzepecka.

Warunki przystępne.



Księgarnia Katolicka

w Poznaniu (Rynek 53)

wydała i poleca:

Wojsko Kościuszki.

Książka ta wielkiego formatu (26×21 cm.) składa się z 22 tablic, które obejmują 105 figur tak pieszych jak i konnych żołnierzy. Rysował M. Stachowicz, z natury. Z dokładnym opisem oraz historyą wojska polskiego i spisem żołnierzy, oficerów i jenerałów z r. 1794.

Ceny: Wydanie czarne: z opr. *2 m.*, z przes. *2,30 m.* Wydanie szare: Odbite w trzech szarych kolorach. Z opr. *3 m.*, z przes. *3,30m.* **Wydanie kolorowe:** Z opr. *6 m.*, z przes. *6,50 m.* Toż samo w pięknej oprawie płóciennej czerwonej z wyciskanym orłem i pogonią w złocie, z futerałem: *9 m.*, z przesyłką *9,50 m.* **Historya powstania Kościuszki** z dodatkiem spisu osób, które uczestniczyły w temże powstaniu oraz żywotów osób wybitne zajmujących stanowisko w r. 1794. Z *40* rycinami, stron *264.* **Cena:** bez oprawy *1 m.*, z przes. *1,20 m.*, z opr. w pół płótno *1,30 m.*, z przes. *1,50 m.*, z opr. w czerwone płótno z wyciskami złotemi *2 m.*, z przes. *2,30 m.*

Obrazy Kościuszki malowane przez W. Eliasza.

Portret Kościuszki, wielki olejny druk *40×58* cm. *1,60 m.*, z przes. *2 m.* Tenże obraz czarna litogr. *33×40* cm. *0,40 m.*, z przes. *0,70 m.*

Bitwa Racławicka, wielka kolorowa chromolitogr. *51×70* cm. *1,60 m.*, z przes. *2 m.* Tenże obraz czarna litogr. *0,80 m.*, z przes. *1,20 m.*

Przysięga w Krakowie, wielka kolor. chromolitogr. *51×70* cm. *2 m.* z przes. *2,50 m.* Tenże obraz czarna litogr. *1 m.*, z przes. *1,40 m.*

Kościuszko na koniu piękna kolorowa chromolitogr. *33×40* cm. *0,50 m.*, z przes. *0,80 m.* Obrazy te nagrodzone zostały srebrnym medalem na wystawie Lwowskiej. Kupujący od razu kilka obrazów opłaca tylko jednorazowe porto w sumie *0,50 m.* Należytość trzeba nadsyłać naprzód przekazem pocztowym do **Księgarni Katolickiej w Poznaniu** (Stary Rynek 53). Inne wydawnictwa Kościuszki podane są w osobnym cenniku, który wysyła się darmo i franko. 688

Rodzicom, którym zależy na wychowaniu córek w duchu religijnym i narodowym polecam mój

pensyonat,

w którym panienki znajdą obok troskliwej opieki sposobność do gruntownego wykształcenia w języku ojczystym. Konwersacya francuzka i niemiecka pod kierunkiem egzam. nauczycielki. 85

M. Gońska,

Bydgoszcz, Kasernenstrasse 9.

Folwarczek

mam zamiar sprzedać z wolnej ręki, składający się z 400 mórg dobrej ziemi, w tem jest 50 mórg łąki z torfem. Ziemia na zimę była dobrze obsianą; także i zasiew latowy, który będzie sprzedany z żywym i martwym inwentarzem, budynki są w bardzo dobrym stanie; na gruncie zostanie 30,000 talarów. Zgłoszenia przyjmuje 119

Jan Szymczak,

Ryszewo p. Gościeszyn, powiat żniński (Żnin.)

Monopol

tablica rachunkowa **błyskawiczna.**

Patent w Niemczech i za granicą.

Bardzo pojedyńcza i tania.

6 mk.

Wypiera wszelkie maszyny rachunkowe.

Przyjąwszy wyłączne i jeneralne zastępstwo na W. Ks. Poznańskie, wysyłam przez zaliczkę lub odebrawszy należytość. 110

Koszta przesyłki 25—50 fen.

A. Cybulski,

księgarnia — Poznań.

Słabość męzką

skutki szczególn. tajnych grzechów młodości, oraz innych nadużyć, niszczących zdrowie, jak pewno i trwale usunąć, poucza jedynie w licznych wydaniach rozpowszechniona już książka illustrowana 187

Dr. Retau'a

Ochrona własna.

Cena wydania polskiego 1 markę.

Cena wydania niem. 3 mk. Tysiące znalazło w niej objaśnienie swych cierpień, a za użyciem kuracyi w książce tej zaleconej zupełną swą siłę męzką. Za nadesłaniem franko przez Magazyn wydawnictw R. F. Bierey w Lipsku (Verlags-Magazin Leipzig, Neumarkt 21.) W Poznaniu dostać można w księgarni **A. Spiro**, napr. poczty.

Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 108

Adam Spektorek

w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia katolickiego św. Rafaela, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Poszukuję

UCZNIA

liczący 16—17 lat. 70

F. Radecki,

Krotoszyn,

Handel towarów kolonialny, destylacya, handel win.

Najserdeczniejsze podziękowanie

składam WPanu **Drowi Stasińskiemu**, okuliście przy placu Piotra nr. 4, za szybkie i skuteczne wyleczenie z choroby ocznej.

Poznań, w marcu 1901.

Bolesław Rakowski,

redaktor „Pracy."

Do nabycia w księgarniach dzieła pedagogiczne **Reussnera**

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela**, z objaśnieniem **wymowy** i z **kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" **Polsko-Niemiecki**, kurs wstępny (Elementarz) po 25, 50 i 90 fen. kurs I-y 1,25 mk., kurs II-gi 3,35 mk., komplet (oba kursy) 4,20 mk.

„Samouczek" **Polsko-Francuzki**, kurs I-szy 2,50 mk., kurs II-gi 6,30 mk., — Gramatyka Polsko-Francuzka 2,50 mk. Wypisy Francuskie (Chrestomathie Française) 1,65 mk.

„Samouczek" **Polsko-Angielski**, kurs I-y 1,55 mk., kurs II-gi 2,50 mk. kompl. 3,55 mk. 603

„Samouczek" **Polsko-Ruski** 32 zeszyty po 20 fen.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami (**741 figur**) po 4, 13, 43, 65 fen.

Skład główny **w Warszawie ul. Złota 6** wysyła książki tylko za **poprzedniem otrzymaniem** należności gotówką lub pocztowemi znaczkami niemieckiemi. — Zeszyt I-szy Samouczka francuskiego i ruskiego wysyła się **gratis.**

Niebezpieczeństwo.

— Jakże się hrabiemu podoba wytresowany mój koń „Lord Kimberley?"

— Owszem, dość powiewny, w każdym razie chowaj go baronie tymczasem w stajni, aby go nie zobaczył którykolwiek z członków opieki nad zwierzętami.

Skład maszyn do pisania.

Lekcyi maszynowego pisania według najlepszego systemu

„Caligraph i Densmore"

udziela aż do biegłości.

Później bezpłatne wskazanie miejsca.

United Typewriter & Supplies Co.

m. b. H.

Hamburg	**Berlin SW.**	**Köln a/Rh.**
Gr. Bleichern 65.	Beuthstr. 9.	Gereonstr. 5.
Leipzig		**Breslau**
Grimmaischer-Steinweg 20.		Oderstr. 18/19.
Königsberg Pr.		**Strassburg Els.**
Fleischbänkerstr. 20.		Am Roseneck 6.

Zastępca fabryki w Poznaniu 620

Franciszek Prawniczak,

Rycerska ul. 37.

Grzyby

karpackie i litewskie

56 poleca

Stanisław Gurgul

ces. i król. dostawca dworu w Krakowie.

Sprzedaż tylko dla pp. handlujących.

Zle zrozumiała.

— Panno Jagato — przygrywka do kadryla — możeby tak panna sprobowała?

— To pan szam może szobie szprobować, bo ja to takiej ordynaryjnej wędliny nie jadam!

Dla sprzedających podeszwy bardzo tanio.

Emil Süsskind, handel skór w Gnieźnie.

Każdej ciężkości i grubości.

Skóry na podeszwy		Wielki wybór wszelkich	Dla siodlarzy!
	za funt	**cholewek** i **artykułów szewskich** bardzo dobrych i tanio. 102	Skóry łyszczące najlepsze od $^{16}/_{30}$ funtów ciężkości funt 1.10—1,25
Skóry na podeszwy	od 0,90-1,40		skóry ałunowe bráz. 1,05
bráz. kipsy	„ 0,90-1,75		skóry piersiowe 1,40
czarne	„ 0,90 3 05		skóry maszynowo rzemienne bez odpadków od 1,60—1,90
faledrówka	„ 1,30-1.40		za funt krupony angielskie i belgijskie od 1 80 – 2,40
la	„ 1,50-1,60		
Skóry cielęce, brązowe i czarne, skóry satynowe, kozie, safianowe w wielkim wyb.			

Dla sprzedających podeszwy bardzo tanio.

Gniezno, handel skór, Emil Süsskind.



Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Najlepsze w swoim rodzaju! Najzdrowsze w swoim rodzaju! Przeszło 500,000 rodzin używało tegoż. Od 60 lat w użyciu. Dowód dobroci i nadzwyczajnych własności. Rzetelny środek domowy, pomocniczy i sprawiający ulgę. Nie powinno zbywać w żadnym domu! Zdumiewająco pomyślne wyniki. Dobrowolnie udzielone, świetne uznania, tysiące dziękczynnych listów! Nazwisko, etykieta opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Uznane jako najlepszy i najskuteczniejszy środek, sprawiający ulgę w kaszlu każdego rodzaju, kaszlu dzieci, kokluszu, kaszlu duszącym, kaszlu kurczowym, kaszlu łechcącym, kaszlu, w którym krew się okazuje, w zaflegmieniu, także najsilniejszego rodzaju, duszności i chrypce, odwilżający, uspakajający kaszel, łagodzący i odwilżający. Jako środek odżywiający i wzmacniający u osób chorych na żołądek i słabowitych, w blednicy, bezkrwistości, influenzie, suchotach szczególniej wielkiej wartości.

Wypróbowany miliony razy. Co raz większy popyt. Prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka starej, znanej i znacznej firmy C. Lücka w Kołobrzegu są znakomitymi środkami domowymi, które skutkiem ich działania i rzetelności zdobyły cały świat. Żądać należy za darmo sposobu użycia od C. Lücka z Kołobrzega. Cena but. 1 mk., 1,75 mk. i 3,50 mk. **Prawdziwe tylko w aptekach do dostania.**

Części składowe: 180 kg. czyszczonego miodu 36 kg. soku jarzębinowego, 36 kg. destylowanej wody, 10 kg. wina białego, 1,2 kg. podbiału pospolitego, babki lancetowej, przetacznika, krwawnika, nogietka, 0,6 kg nostrzyka, kłębu wężownika, mchu płucnego, po 2 kg. korzenia omanowego, korzenia goryczki, korzenia fiołkowego i żywokostu.

Nie powinno zbywać w żadnej rodzinie jako pierwsza pomoc.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

Opakowania, wyglądające inaczej, jak powyżej zamieszczony rysunek, czerwonego opakowania, należy odrzucić jako nieprawdziwe. Nie ma żadnego równoważnika, który mógłby zastąpić prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka! C. Lücka miód ziółkowy zdrowia wyrobu C. Lücka z Kołobrzegu może być tylko jakprawdziwy sprzedawany.

Ucznia

z dobrem wykształceniem szkólnem poszukuje pod korzystnemi warunkami od 1. kwietnia 88

Księgarnia J. Wiśniewskiego w Gnieźnie.



Instrumenta muzyczne
wszelkiego rodzaju
z pierwszej ręki
z fabryki
Herm. Oskar Otto
Markneukirchen Nr. 610
Wielki wybór.
Główny katalog illustrowany gratis i franko. 47

KARTY WIZYTOWE

100 sztuk od 1,50 Mr. począwszy wykonuje i odwrotną pocztą wysyła

DRUKARNIA „PRACY"

Poznań, Rycerska ulica Nr. 38.
Telefon Nr. 295.



Piękne

bukiety,

kosze,
wieńce,
dekoracye
wszelkiego rodzaju
tanio wykonuje 41
zakład ogrodniczy
„FLORA"

Anna Kwiatkowska

ul. Wodna nr, 2. **Poznań.** ul. Wodna nr. 2.

Wysyłki pocztą w starannem opakowaniu.

Zakład dentystyczny

S. K. Grabowski,

Poznań, 766
Wielkie Garbary nr. 18, róg Butelskiej.
Przyjmuje od 9—11 i od 2—7.

Ale kiedy skończyła?

— Ciekawym ile też panna Balbisia ma lat?
— Skończyłam dwadzieścia.
— O, żeś panna skończyła, to i pytać nie trzeba, ale przed iloma laty?

Odpowiednio wynagrodzę

tego, który mi wskaże i poleci odpowiedni, **dobrze zaprowadzony lokal i miejscowość** (w prowincyi Poznańskiej, na Ślązku lub w Prusach Zachodnich) celem założenia na większą skalę 77

zakładu krawieczczyzny męzkiej

oraz handlu sukna.

Zgłoszenia pod lit. P. H. 77 do Eksped. „Pracy."